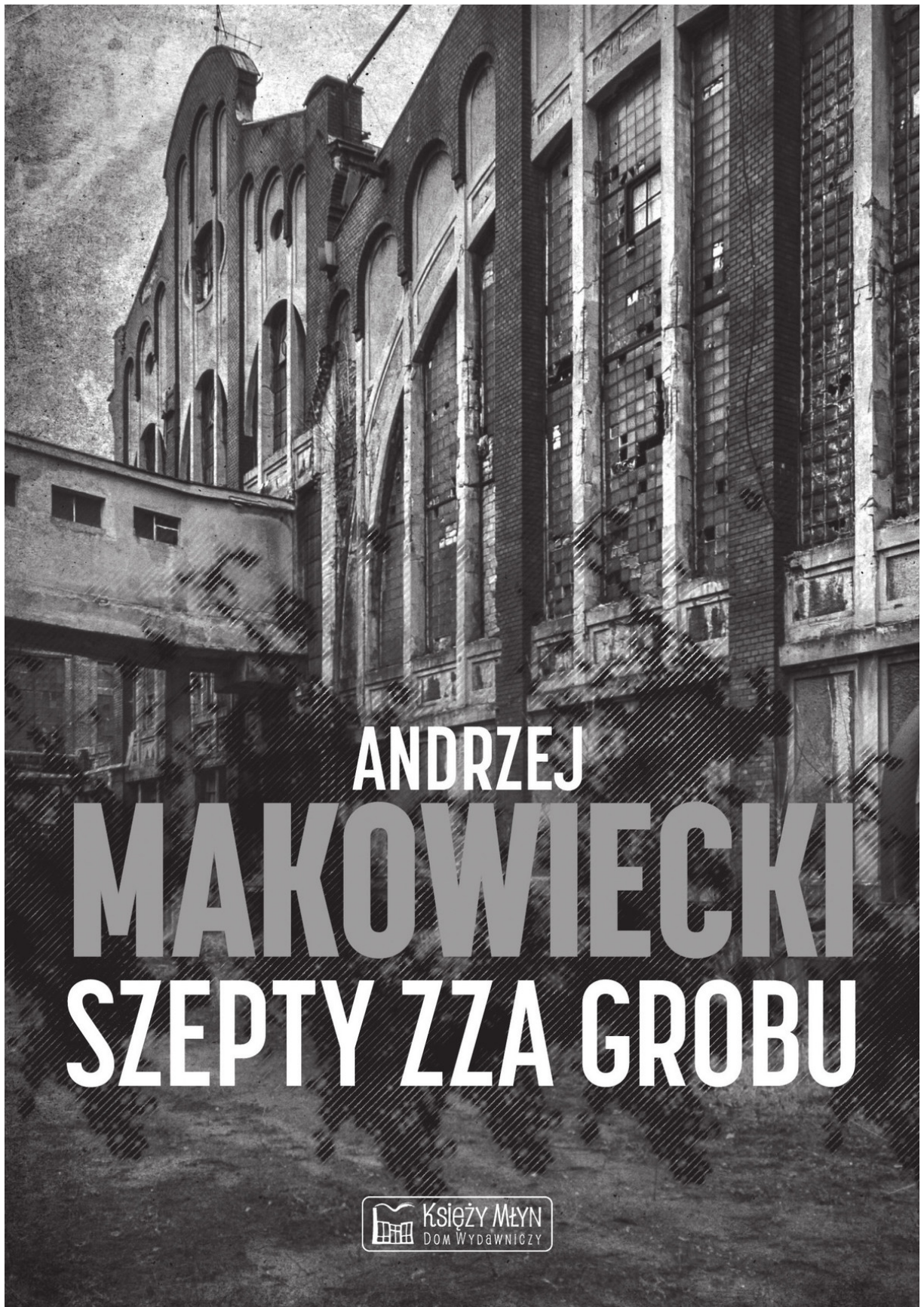




ANDRZEJ

MAKOWIECKI

SZEPTY ZZA GROBU



ANDRZEJ
MAKOWIECKI
SZEPTY ZZA GROBU

 Księży MŁYN
DOM WYDAWNICZY

Korekta:
Monika Ulatowska

Fotografia na okładce:
Rafał Tomczyk

Projekt okładki:
Wojciech Miatkowski

Skład:
Joanna Pelc

Opracowanie e-wydania:
mobisfera

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2017

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę. Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia. Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-472-7



KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54
www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2017. Wydanie 1

CZĘŚĆ PIERWSZA
WŚCIEKŁE PSY. ZDRADA!

1

Damian Ross, primadonna jednego sezonu, literat, którego sława zbladła już w świadomości współczesnych, mężczyzna wszelako nie stary, czterdzieści dziewięć lat liczył był sobie (żeby użyć czasu zaprzeszłego), kiedy musiał opuścić najpiękniejszy ze światów. Otóż człowiek ten na rok przed śmiercią, która była aktem wyboru i pieczęcią prawa, golił się wczesnym rankiem w hotelowej łazience. Dużo pijany, brzytwa. Podciągając palcem skórę na skroni, śledził bez nadmiernej satysfakcji chudą twarz – wysokie czoło, długi, ostry nos, usta wreszcie, wąskie, o znużonych kącikach, zdradzających, jak się zdaje, pewne symptomy twórczej dojrzałości, właśnie to! Jeśli Damian Ross przerywał na chwilę golenie i wpatrywał się badawczo w lustrzane *vis-à-vis*, nie było w tym narcyzmu, żadnej kokieterii, szukał w sobie natomiast, powiedzmy szczerze, owych szczególnych znamion mądrości i wiedzy, które pozwalają tworzyć arcydzieła.

Damian Ross, niespełniona nadzieja ludzkości. Golił akurat drugi policzek, ściągając wprawnymi, zamaszystymi ruchami brzytwy szron zarostu, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Przez moment patrzył jeszcze w lustro. Perełka krwi nad wargą. Otarł ją grzbietem dłoni i opuszczając brzytwę, powiedział:

– Proszę.

Kłasnął zamek. W szerokim, szczodrze oświetlonym korytarzu pojawił się najpierw wózek na kółkach, a potem młody człowiek w białym fraku; zapach kawy i chrupkiego pieczywa.

– Pan zamawiał śniadanie?

– Owszem.

– Dwadzieścia jeden pięćdziesiąt.

Damian Ross, który postąpił w stronę pokoju, przyjrzał się swoim namydlonym rękom. Trochę zakłęsłej piany, upstrzonej czarnymi kielkami włosków, kapnęło z ostrza na spodnie; zerknął

na łóżko; spod niebieskiego koca wystawał zaledwie róg poduszki; uspokojony, wskazał kelnerowi marynarkę zawieszoną na poręczy krzesła.

– Pan będzie łaskaw wyjąć portfel z prawej, wewnętrznej kieszeni...

Wystawił obydwie dłonie na dowód, że nie może zrobić tego sam. Kelner mruknął coś z dezaprobatą, ale wykonał polecenie. Miał ładną, pyzată twarz i sprośne czerwone wargi. Ross machinalnie szukał porównania: tłuste i krągłe niby rozcięta na połowę szminka. Przeniósł wzrok na szyję kelnera, różową, rozdętą lekko przez tarczycę, pokrytą czymś w rodzaju wiecznej gęsiej skórki; cień odrazy i buntu. Widząc, jak chłopak wyciąga z portfela pięćdziesiąt złotych, rzekł pospiesznie:

– Proszę wydać mi dwadzieścia.

Tamten poszperał dla przyzwoitości w kieszeniach i choć słyhać było brzęk przesypującego się bilonu, zapytał przekornie:

– Nie ma pan drobnych?

– To pan powinien je mieć, nie ja – zauważył z uśmiechem Damian Ross.

– A gdzie tak pisze? – zachnął się kelner. Jego wzdęte, różowe podgardle pokraśniało o cały ton. – I po co od razu te nerwy?

– Nerwy?

– Aha. Nerwy!

Ross umilkł. Piękny hotel, przytulny pokój; wygodne łoże, stół, dwa fotele, krzesło, obraz z Pałacem Poznańskich na ścianie. Dywan i ciężkie, zielone kotary w oknach zdawały się odgradzać go od świata. Cisza, która tak bardzo sprzyja myśleniu. I nagle ten zgrzyt.

– Bo chyba grzecznie pana pytałem?

– Ależ tak, bardzo grzecznie. Wyda mi pan resztę innym razem.

Kelner rozważał jakiś czas propozycję, nurzając dłonie w wypchanych kieszeniach. Szyja wróciła na chwilę do swojej normalnej barwy, a potem znowu nabiegła krwią.

Sapiąc, wyciągnął garść monet.

– Ja pana pieniędzy nie potrzebuję – powiedział i nie licząc, rzucił je na stół.

Ross przymknął oczy i wtedy, właśnie wtedy, kiedy chłopak strzelił za sobą drzwiami, miał swoje wielkie literackie objawienie, mgliste jeszcze, bez wyraźnych konturów, wystarczająco przecież ponure, aby poczuć na czole kropelki zimnego potu.

2

Był gotowy od dobrych kilkunastu minut; czekał niecierpliwie przy drzwiach paląc jednego z tych długich, amerykańskich papierosów, które kurczą się o centymetr po każdym pociągnięciu. Kobieta jeszcze marudziła w łazience.

– Pospiesz się, na miłość boską – powiedział. – I tak już jesteśmy spóźnieni.

Poprzez szmer wody w rurach usłyszał jakąś niezrozumiałą odpowiedź, a w chwilę później przeciągłe, beztróskie pytanie:

– Sprawdziłeś gaz?

– Tak.

– To zamknij okno w sypialni, będzie deszcz.

Artur cofnął się w głąb mieszkania posłuszny owemu śpiewnemu, kapryśnemu altowi, który w równej mierze drażnił go, co podniecał. Mijając otwartą łazienkę, zobaczył w lustrze jej profil; poprawiała burzę jasnych włosów nad czołem, wydymając pełne, czerwone wargi; woń pudru i drogich perfum. Poczł zazdrość. Wchodząc do pokoju, poruszył ręką i grudka spopielonego tytoniu padła na dywan, roztarł ją podeszwą z niejasnym poczuciem winy.

– Pomyślałeś o kwiatkach?

– Nie – przyznał Artur ze skruchą.

– Twoja sprawa.

– Sądzisz, że to konieczne? Nie lubię dawać mężczyznom kwiatów.

Była już w korytarzu. Nie spiesząc się, wyjęła z szafy wzorzystą, japońską parasolkę i spojrzała na męża z rozbawieniem.

– Mógłbyś dać je Stefani.

– Stefani? A bo to ona dostała nagrodę?

– W pewnym sensie. W pewnym sensie właśnie ona, nie mówiąc o tym, że jest panią domu i że inni na pewno przyjdą z kwiatami.

- Dręczysz mnie - powiedział Artur. - Może kupi się gdzieś po drodze... W tym kiosku na placu Komuny.

- Już zamknięty.

- Więc w jakiejś kwiaciarni.

- O tej porze? Jest tylko jedna dyżurna kwiaciarnia w Śródmieściu - Zielony Rynek. Jeśli uważasz, że wypada spóźnić się dalsze pół godziny...

Puścił ją przodem, zatrzasnął drzwi i zamknął je starannie na wszystkie trzy yale'owskie zamki. Zgodnie z wieloletnią rutyną nacisnął jeszcze klamkę i napał barkiem na miejsce przy futrynie. Obcasy kobiety wesoło stukotały na schodach. Dogonił ją na półpiętrze. Wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu. Ich brzęk łagodził nieco jego rozterkę, ale tego dnia i tu czekała go niespodzianka.

- Słuchaj. - Jej wzrok spoczął na reklamowym, srebrnym breloczku, który pieśczośliwie obracał w palcach. - Nie rób sobie jutro co do auta większych planów.

- Nieee? A to czemu?

- Chcę trochę pojeździć wieczorem.

- Sama?

Przewidywał odpowiedź i nie pomylił się zbyt.

- Z Tomaszem.

Milczał chwilę, a potem wybuchnął:

- Dlaczego akurat z nim?!

- Nie powiesz chyba, że jesteś zazdrosny. To taki miły, starszy pan i taki cierpliwy instruktor...

Przełknął ślinę. Wraz z nieufnością, która nawiedzała go ostatnio przy lada okazji, narastało również pożądanie. Ten krok! Rozstawiała lekko stopy, aby zdobyć na wąskich, wyslizganych schodach pewniejsze oparcie. Lędźwie grały pod obcisłą sukienką, musiał zmrużyć oczy, aby ukryć swoją niewczesną namiętność. Teraz, kiedy znał sekret tego pięknego, dojrzałego ciała, znowu ją kochał, a w każdym razie - ciągle jej pragnął, i to znacznie bardziej niż w szczęśliwych, ufnych latach narzeczeństwa.

Miał ochotę objąć ją w pól, ale brakło mu odwagi. Rzekł pojednawczo:

– Może chciałabyś pojeździć ze mną?

– Jutro?

– Tak.

– Przecież masz zebranie.

– Nie muszę iść – powiedział. – Znajdę jakiś przyzwoity pretekst.

– Mówiłeś, że to ważne.

– Nieważne.

Pomógł jej obejść kilka wykruszonych stopni, przyczynę niejednego bolesnego upadku. Ten dom w samym pępku Łodzi... zastały smród kotów, duszna, drażniąca woń smażonej ryby. W duchu wyrzucał sobie, że tak wspañiała kobieta musi mieszkać w tej okropnej kamienicy.

Na podeście przytrzymał ją za łokieć. Szepnął cicho:

– Bądź dzisiaj dla mnie dobra, Krystyno.

Uniosła brwi z figlarnym zdziwieniem.

– Co przez to rozumiesz?

– Chciałbym, żebyś zachowała dystans i żeby ci różni faceci nie biegali za tobą z kąta w kąt.

– Podejrzewasz, że ich prowokuję?

– Nie. Ale kiedyś było inaczej.

– Jak? – Uwolniła delikatnie ramię. – Miałam mniejsze powodzenie?

Obcasy znowu stukotały na schodach. Potrząsnął kluczykami. Boże – pomyślał – boję się własnej żony. Teraz, po sześciu latach małżeństwa, czuję treść, jakby była obcą kobietą. Dawniej mogłem obudzić ją w środku nocy, a w dzień zdobyć się na każdy, najbardziej sprośny gest; jeszcze dwa miesiące temu stosunek z nią był jałowym, pozbawionym emocji obowiązkiem, i nagle, za sprawą tego cholernego wymoczka, tej bladej, zagłodzonej, artystycznej miernoty... Jak ona mogła? Biustonosz, majtki... Zwariuję!... Gdybym był prawdziwym mężczyzną, jednym z tych jurnych osiłków, od których roją się ekrany kin, zaciągnąłbym ją teraz, chce czy nie chce, do domu i rzucił na łóżko.

3

Stefania i Janusz Magielińscy, absolwenci Akademii, która produkuje artystów – co ich w dość szczególny sposób łączyło, jako że obydwójce uprawiali malarstwo – byli poza tym małżeństwem ze wszech miar niedobranym. Janulek, jak go pieśczośliwie nazywali znajomi, to niezwykle utalentowany, śliczny, maleńki mężczyzna, troszeczkę tylko większy od liliputa, gościnny i przyjazny wobec wszystkich, którzy odwiedzali go w pracowni na poddaszu. Jego żona tymczasem, starsza o cztery lata Stefania, wyższa od Janulka o półtorej głowy i chuda jak szczapa, przejawiała wszelkie cechy domowego satrapy. Jej sępia twarz o zakrzywionym nosie i zapadłych policzkach świadczyła o stalowym charakterze i nienasyconej żądzy użycia. Chciała sławy, której zazdrościła mężowi, chciała seksu, chciała pieniędzy.

Sprawę tej pierwszej, sławy, załatwiała w trybie tak bezczelnym, że ludziom żyjącym ze sztuki opadały ręce. Kiedy Janusz miał jakąś wystawę w Łodzi, Warszawie czy też innym mieście, powiedzmy: trzydzieści obrazów, ona wtrzywała tam na siłę cztery swoje żalosalne bohomy. On podpisywał swoje dzieła maleńkimi literami u dołu, skromnie, Stefania natomiast waliła kulfonami: MAGIELIŃSKA. Kilkakrotnie udało jej się nawet wcisnąć ze zdjęciem do drukowanych katalogów, nigdy jednak nie sprzedała żadnego ze swoich arcydzieł. Mawiała, że jej czas jeszcze nie nadszedł. Czyż nie była podobna do van Gogha?

Janusz zaś miał na swoje pejzaże i portrety wielu amatorów, którzy brali je na pniu, pieniędzy więc ambitnej żoźie nie brakowało.

Co do seksu... Zostawmy na razie ten naładowany emocjami temat, prawda bowiem jest taka, że mansarda Magielińskich, usytuowana w jednej z owych tajemniczych łódzkich bram, rzucających całkiem inne światło na otwarte i czyste pozornie Śródmieście i biegnących mrocznymi zakolami od Piotrkowskiej

aż po Sienkiewicza, właśnie z powodu erotycznych napięć i wyładowań ściągała wieczorami w swoje progi „towarzystwo”.

Przychodzili lekarze obojga płci i to nie żadna tam początkująca medycyna, tylko osobistości z tytułami i sukcesami, którym nierzadko uderzył już groźny dzwon pięćdziesiątki.

Przychodzili prawnicy i tu znowu trzeba zrobić zastrzeżenie, gdyż nie wyłącznie adwokaci, za którymi zawsze podążała w trop rozwiązałość i chciwość, lecz również pewien paskudny z wyglądu i zawodu prokurator Pucharek i pewien emerytowany sędzia – tfu! – który zaprotestowałaby w tym momencie, wrzeszcząc: – Nie jestem emerytem! Jestem Koroną Temidy w stanie spoczynku!

Przychodzili, rzecz jasna, selekcyonowani przez Stefanię artyści, koledzy po fachu: graficy, malarze, rzeźbiarze (a jakże! każdy widział ten gipsowy pomnik, sterczący to tu, to tam na parcelach Łodzi), ilustratorzy książek dla dzieci, pornograficznych albumów, mrozących krew w żyłach komiksów, kalendarzy, w których na dwanaście miesięcy roku przypadało dwanaście najpiękniejszych łodzianek, włącznie z tą nieżyjącą już, lecz wskrzeszoną aktorką, która zapłała się na śmierć po stracie rodziców.

Przychodzili, pod krzywym okiem pani domu, wygłodniali poeci, skrachowani pisarze, znani ongiś filmowcy o naburmuszonych minach i dziurawych kieszeniach, w których nie utrzymał się złamany grosz; piosenkarze, konferansjerzy, urzędnicy magistratu, animatorzy kultury, podkreślający każdym łaskawym uśmiezkiem swoją wyższość; biznesmeni, nieskorzy raczej, aby sponsorować frajerów, łakomi wszakże na uroki telewizji, która tego dnia z pewnością odwiedzi Magielińskich, Januszek bowiem odebrał wczoraj za swoje portrety prestiżową nagrodę Witkacego.

Nieco spóźnione już wejście na tę zatłoczoną scenę państwa Krystyny i Artura Nawrotów przyjęte zostało nader serdecznie i ciepło. Posypały się mokre pocałunki, trafiające czasem blisko ust. Januszek wystrzelił z krzesła przy komputerze, w którym grzebał, nie zważając na gości, i przypadł z radosnym okrzykiem

do żony Artura, który zarejestrował to kątem oka, grzęznąąc jednocześnie w chudych ramionach Stefanii.

– Och, mój ty mężczyzno – wyszeptała, muskając go wargami w skroń. – Myślałam, że o nas zapomniałeś.

Był wysokim, przystojnym, znanym aktorem, budzącym wśród kobiet równie tkliwe uczucia, co Krystyna wśród panów.

– Zrobić ci drinka?

– Jestem samochodem.

– Możecie wrócić taksówką albo spać tutaj. Przecież już... zapomniałeś?...

– No już dobrze, Stefanio – uciął. Pomyślał, że i tak jutro samochód należy do Krysi. Wręczając kobiecie zamiast kwiatów butelkę whisky, powiedział: – Zrób mi tego drinka, niech ci będzie.

– Mali wódkowie, czy duzi wódkowie?

– Duzi.

– Z lodem?

– Trzy kostki.

Odpłynęła uszczęśliwiona. Wtedy odwrócił głowę i zauważył, że Krystyna prowadzi ożywioną rozmowę z tym żulem, z tym sześćdziesięcioletnim niby to reżyserkiem, laureatem jakiejś enigmatycznej nagrody w Berlinie. Ruszył niczym rozjuszony byk w ich stronę, zaciskając zęby i pięści, lecz wówczas trącili się koniuszkami palców z utajoną, ale jednak czytelną poufałością i odbili od siebie, Artur zaś usłyszał wymówione głośno i wyraźnie nazwisko najbliższego przyjaciela.

– On w dalszym ciągu goli się brzytwą? – rzucił ktoś od niechcienia kpiącym tonem.

– Tak – wyrwało się zbyt szybko z ust ślicznej niegdyś, choć tęgiej prezenterki telewizyjnej.

– A ty skąd o tym wiesz?

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Bo...

– Co?

– Przeprowadzałam z nim wywiad.

– Towarzyszył wam kamerzysta?

- Nie był potrzebny, bo uzgadnialiśmy dopiero szczegóły. - Obfity, znany w całym mieście biust prezenterki falował pod stanikiem.

- I uzgodniliście? - zapytał pękniętym głosem urażony najwyraźniej mąż owych legendarnych piersi i zdjął z nich rękę, cofając się o krok.

- Dajcie spokój! - napomniała ich Stefania, podając Arturowi szklankę whisky, w której kostki lodu stukotały jak obcasy na schodach. I dodała z prostotą, aby pocieszyć zdruzgotanego męża: - Przespać się z Damianem Rossem to bardziej zaszczyt niż grzech, a poza tym - wbijała ostatni gwóźdź - może to było przed ślubem.

Raczej nie było przed ślubem, gdyż „Piersi” i mąż wraz z pracującą niezależnie ekipą telewizyjną opuścili pośpiesznie mansardę w zakolistym podwórku przy Piotrkowskiej. Wszelako Damian Ross w dalszym ciągu był na tapecie.

- Podobno jest chory.

- Kiedyś dzień w dzień drałował po Piotrkowskiej i grzał stołki w pubach, teraz nigdzie go nie widać.

- A ja go niedawno widziałem.

- Gdzie?

- Raz w „Pozytywce”, raz w „Łodzi Kaliskiej”.

- W ogródku czy w środku?

- W środku.

- Z dziewczyną?

- Z facetem. I dziwne jest to, że w obydwu wypadkach był to ten sam facet.

- Może zmienił orientację seksualną - zauważył złośliwie pozbawiony nawet śladowego talentu pisarzyna.

- Jak pan śmie! - zgromiła go postawna pani doktor. - Umie się pan wszędzie wkręcić, ale on i tak jest od pana lepszy.

- Nie mam jakoś kompleksów.

- Szkoda! On tworzy, pan kradnie. Jego się czyta, pana się sylabizuje.

Niewysoki, czarniawy, bezgranicznie zapatrzony w siebie konus spłonął cegłą. Bełkotał coś pod nieforemnym nosem, ale w słowie

żywym był jeszcze gorszy niż w pisanym i nie potrafił wygrzebać się z matni.

– Ross, w przeciwieństwie do Barnaby, jest anachroniczny – ruszył mu z odsieczą inny literat, zdeklarowany i nie kryjący tego pederasta (nie gadać mi tu, że kogoś obrażam, bo tego właśnie określenia używa w swojej *Uczcie* Platon). – Barnaba to pełną gębą współczesny autor: komputer, internet, kino domowe, odtwarzacze filmowych i muzycznych płyt, łączność telefoniczna z całym światem, natomiast Ross, bardzo przepraszam, niech się goli brzytwą, niech się nawet namydla pędzlem z borsuczej sierści, ale żeby w dwudziestym pierwszym wieku gryzmolić książki długopisem...

– On nie gryzmoli – zaprotestowała spowinowacona z Rossem korektorka. – Jego teksty są czyste i czytelne, bez skreśleń.

Gej, żeby już nikogo nie obrazić, łypnął na nią zapłyniętym oczkiem i ciągnął swoje:

– ...i nie mieć nawet komórki...

– Ma komórkę.

– Ale ładuje ją tylko wtedy, kiedy wyjeżdża za granicę albo idzie do szpitala.

– Sporo pan o nim wie – zauważyła z przekąsem solidnie zbudowana pani doktor.

– Podobnie jak pani.

Uczciwą i zatroskaną twarz lekarki pokrył lekki rumieniec.

– Był moim pacjentem.

– Wychudł okropnie – powiedział z autentycznym ubolewaniem człowiek, który widział Rossa w „Pozytywce” i w „Łodzi Kaliskiej” w towarzystwie obcego faceta.

– Jest chory – szepnęła pani doktor.

– Bardzo?

– Bardzo.

Spragniony towarzyskich splendorów pisarzyna, zawistny i zazdrosny o Rossa, burknął pod zniekształconym, tłustym nosem:

– Będziemy się bawić w chowanego.

– Na to wygląda – parsknął gej.

Artur oddał Stefanii pustą szklanę i oswobodziwszy ramię z jej uścisku, zrobił dwa zamaszyste kroki w ich stronę, wszakże nim zdobył się na trzeci, odeszli, pogodnie poklepując jeden drugiego, aby roztaczać blaski w innej grupie.

Nie wiedział nawet, kiedy Stefania wetknęła mu w dłoń drugą napełnioną po brzegi porcję scotcha, w której nawet jeśli stukotały kostki lodu, to już tego nie słyszał. Pod rękę trzymała go teraz nie pani domu, lecz inna, powabna i śmiała kobieta, dawno wycofana z obiegu modelka Telimeny. Przemawiała do niego czułym, młodzieżowym żargonem:

– Luzik, Arturku, luzik. Daj na wstrzymanie. Pogięło odmieńców, kumasz? Kto jak kto, ale ty jesteś kumaty. Bzyk, bzyk. Zaraz pójdą do kibla. Znasz tę muzę. Noc ponura, wichur duje, tańczą dwa garbate chuje.

Upił łyk. Był w owej początkowej fazie znieczulenia, kiedy człowiek staje się niebywale odważny, porywczy i szlachetny. Od trzech co najmniej miesięcy nie dzwonił do Rossa. A on jest chory. Poważnie chory. I samotny. Zbyt dumny przy tym, aby prosić kogokolwiek o pomoc. Miłość jest zdradna, przyjaźń nieśmiertelna. Ja tymczasem – myślał – martwię się o żonę. Jakby nie było w pobliżu innych kobiet. Ramię modelki grzało go, słodko go grzało. Lecz przed wszystkim trzeba zadzwonić do ukochanego, jedyne, wspaniałego Damiana Rossa.

– Jak masz na imię?

– Lolita.

– Zaczekaj tu.

– Nigdy nie spadam, jak jest browar i skręt, jak można wniuchać ścieżkę i jest dobra imprezka. Wrócisz?

– Wrócę, muszę tylko zadzwonić.

– No to nara. A w ogóle to szacun, Arturku. Jesteś w porzo.

Co to on usłyszał ostatnio z ust młodej, brzemiennej, proszącej go o autograf fanki? Zachichotał. „Na maksa pokochałam ciula, panie aktorze, i zaciążyłam z palantem, niestety”. Wybrał w kącie stacjonarny numer Damiana, ale nie odpowiadał; dziesięć długich, pustych sygnałów świadczyło o tym, że albo nie ma go w domu, albo celowo nie odbiera połączeń, z czego był znany.

Spróbuję później – postanowił i ruszył w gwar rozbawionych głosów, ku modelce, do której tulił się maleńki i śliczny Januszek laureat.

– Gratuluję, mega wystawka, kochanie – mówiła zdetronizowana, ale wciąż niesłychanie atrakcyjna Królowa Wybiegu.

– Widziałaś?

– Słyszałam. No i matka czytała mi coś w gazetach.

– Ja też ci serdecznie gratuluję – powiedział Artur, ściskając drobną, ale twardą dłoń malarza. Miał ochotę podnieść go i potrząsnąć nim w górze, choć Januszek też już dobijał pięćdziesiątki. To naprawdę przemiły gość, szczery jak złoto. Jeśli ma jakieś grzechy, to pociąg do kobiet, pod tym względem jednak dogadał się ze Stefanią. – W tym mieście, gdyby nie ty, nie byłoby prawdziwych artystów.

– I gdyby nie ty! – wykrzyknął Januszek z leciutką nutką uniżenia. – A i Damian jeszcze. On jest prawdziwą legendą. Szkoda, że nie wzięłeś go tutaj.

– Dzwoniłem przed chwilą, ale nie odpowiada. Chyba gdzieś wyszedł, może do Jędrasa.

Krzepkie ramię modelki znowu go grzało. Druga szklanka była już pusta i Stefania podreptała po trzecią. Pijackie znieczulenie osiągnęło stan, w którym błędny wyrzuty sumienia (Ross) i folguje udręka zazdrości (Krystyna). Żona zresztą prowadziła się przykładnie. Łakoma na miłosne igraszki, nie lubiła alkoholu. Wypijała dla przyzwoitości kieliszek czerwonego wina, ale to wszystko. Nienawidziła Damiana Rossa i czarowała teraz zwolenników pisarzyny. Gej pruł się na całe gardło:

– On nie tylko goli się brzytwą i pędzluje borsukiem. Dam głowę, bardzo przepraszam, że jak idzie do łóżka, naciąga na włosy siatkę. Kałamarz i gęsie pióro. Sienkiewicz się znalazł! A Barnaba, nawet jeśli coś uk... zapożycz, oddaje to w dwójnasób.

– Zamknij się! – Pisarzyna nie był zachwycony. Miał już trzy żony i syna, wszakże częste przebywanie z gejem stawiało pod znakiem zapytania jego i tak już nadwątloną męskość. I plecie

bydle androny o jakichś zapożyczeniach, a on jest przecież samodzielnym artystą.

Januszek ciągle jeszcze kleił się do modelki.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przyszłaś, Lolitko – szczebiotał. – Buzi.

Nie puszczając Artura, pochyliła się i pocałowała go w usta.

– Ja też się cieszę.

Stefania przyglądała się temu z zamyślonym uśmiechem. Stała obok potężnego, wysokiego faceta o głowie wygolonej do połysku. Snuła swoje własne plany. Nie oparła się jednak pokusie i bąknęła:

– Co dwa chłopy, to nie jeden.

– Nie chcesz mi chyba zabrać Lolity, przyjacielu? – zapytał żartobliwie Artur.

– Kto wie? – odparł wesoło Januszek. – Noc jest długa, zaczyna się dopiero rozpędzać.

Artur znowu poszedł w kąt, gdzie zgiełk rozmów był trochę mniejszy, i znowu zadzwonił do Rossa. Z tym samym efektem. Tym razem jednak dziesięć pustych sygnałów nie zraniło już jego duszy. Telefony działają w obie strony, nawet te stacjonarne. A że nie odwiedzałem go – myślał – aktor nie ma tego komfortu, aby tworzyć w ciszy czterech ścian, pisarz pracuje samotnie, aktor musi się ruszać: dzisiaj Łódź, jutro Warszawa, pojutrze Wrocław. Wywiady, utarczki z reżyserem i producentem, męczy to wszystko jak cholera. Zresztą Ross, choć nie cierpi z wzajemnością Krystyny, również mógłby ich czasem odwiedzić, korona by mu z głowy nie spadła.

Wrócił do modelki i Januszka, którzy obściskiwali się bez żenady. Stefania wciąż miała na ustach zagadkowy uśmiech. Stojący obok niej ogolony na pałę mężczyzna, młody, po czterdziestce dopiero, podszedł do Artura i wystrzelił z ręką. Po czym ni to stwierdził, ni zapytał:

– Pan lubi hazard.

– Niestety.

– Poker, ruletka, oko, same nudy.

– Zna pan coś ciekawszego?

- O, tak, o wiele ciekawszego. - Artur, choć nieźle już zamulony, odnotował, że osiłek mówi z nienagannym akcentem, że jego szare, przymrużone oczy są rozumne i że w opozycji do większości zaproszonych jest kompletnie trzeźwy. - Jeśli tylko nie brakuje dobrej woli, mogę to panu pokazać.

- Kiedy?

- Choćby dzisiaj.

- Dzisiaj to na pewno nie - zaprotestowała kategorycznie Stefania. - Dzisiaj oblewamy naszą nagrodę.

Artur zerknął na pustą szklankę, wszakże limit gościnności został wyczerpany.

- *Help yourself, but don't take too much.* - Wskazała stół nakryty białym obrusem. - Masz tam wino, jeśli lubisz mieszać, a lubisz; masz gorzałę, whisky i butelkę armaniaku, na którym nie poznali się jakoś nasi wytworni goście. Chodź! - Szarpnęła ramieniem osiłka. Stał jak słup, jakby go wbili w podłogę. Szarpnęła zniecierpliwiona ponownie - ani drgnął, nieruchomy głaz, intruz spoza towarzystwa. Potem sam ruszył w inne rejony obszernego poddasza, sto dwadzieścia metrów kwadratowych co najmniej, rzucając Arturowi wymowne spojrzenie.

- Co to za gość? - zdziwił się aktor.

- Indykator - wyjaśniła Stefania i podążyła tropem zagadkowej osoby.

Podniósł do góry brew; był zorientowany w politycznych i społecznych kwestiach, lecz to słowo usłyszał chyba po raz pierwszy.

- Czym zajmuje się ten... indykator?

Modelka, posługująca się wprawnie językiem młodzieży, wyjaśniła go leniwie:

- Wymuszaniem długów.

- To znaczy?

- Pożyczyłeś od kogoś tysiąc złotych i nie oddałeś w terminie, więc odwiedza cię indykator i żąda pięciu tysięcy. Płacisz - dobrze, nie płacisz - obija ci mordę, demoluje mieszkanie i wyznacza kolejny termin, z tym że teraz chodzi już o dziesięć tysięcy.

– Za co? – Nie umknęło Arturowi, że pijana modelka przestała mówić młodzieżowym slangiem.

– Za fatygę i ku przestrodze. Za dojazd, za benzynę, za czas, no i procenty.

– Skąd o tym wiesz?

– Matka ma takie kłopoty – odpowiedziała z troską modelka.

– Z tym tutaj?

– Nie. Z innym. Ten tutaj jest fajny.

– A co tu robi wśród wytwornej łódzkiej socjety?

– Pomógł kiedyś Stefani – przyznał niechętnie Januszek.

– Jak?

– Bo pożyczyła w Warszawie sto złotych. Wyczerpała kartę i brakowało jej do bluzki Diora. On przyszedł, prosząc grzecznie o trzy tysiące.

– I co?

– Nic. Stefa ma swoje sposoby. Skończyło się na tym, że to zleceniodawca dostał od warszawskiego wymuszacza po gębie i musiał jeszcze zapłacić patola za obrazę damy.

Zafascynowany, mocno już zawiany aktor słuchał tego z zapartym tchem.

– Nieprawdopodobne.

– Przeciwnie. Odkąd Widzew przestał bruździć Legii w lidze, stosunki między stolicą a Łodzią są poprawne.

Muszę natychmiast zadzwonić do Rossa! – postanowił Artur. – Jemu, odciętemu od świata, takie informacje się przydadzą, nie mnie. I ani słowa o chorobie! Rozrywkowo należy zadzwonić, a jak go nie ma, to do Pawła.

Pijacka faza, w jakiej znajdowały się teraz jego znieczulone zmysły, pobudziła bezczelność i wyobraźnię. Zawsze tak jest. Grzeczny, spokojny mężczyzna pokazuje nagle kły. To, co było niedawno jeszcze niemożliwe, staje się możliwe. Zazdrość, która zatruwała duszę, ustąpiła miejsca pożądaniu. Szczera troska uległa niezdrowej euforii. Nieosiągalna, racjonalnie biorąc, kobieta zamienia się w łatwy cel.

– Chodź, idziemy. – Pociągnął modelkę za rękę.

- Gdzie, dokąd i po jasny gwint, przecież tu jest zajebiście - wróciła nagle do slangu.

- Zobaczymy, jak smakuje armaniaczek.

- Dzisiaj w sam raz pasuje mi browar. - Oswobodziła delikatnie swoją dużą, lewą dłoń. Prawą trzymała na szyi Januszka. - Dasz zajarać? - Pociągnęła z wysokiej szklanki.

- Jasne. - Artur wyciągnął paczkę długich, czerwonych marlboro, stwierdzając z niepokojem, że zostały mu tylko cztery sztuki.

- Ja też mogę? - zakwilił niewinnie Januszek.

- Ty możesz wszystko.

- Po byku, po byku imprezka, niech skonam. - Ciągnęła z kolejnej szklanki, bo miała zapas na parapecie. - Gdzie poniosło tego wymuszacza?

- Podoba ci się? - spytał aktor.

- Jest w porzo. Zarąbisty gościu, sorki.

- Gdzieś ty się tego wszystkiego nauczyła?

- Mam dopiero czterdzieści pięć lat. Do szkoły wieczorowej chodzę. Trzeba zaliczyć maturkę, kumasz? A w ogóle o co ci biega? O szybki numererek?

- Nie chcesz?

- Tego nie powiedziałam. Ale pełno tutaj, jak zalukasz, niedobzykanych lasek. Ty?! Takie ciacho?! Każda stuknie się z tobą. Uważaj tylko, żeby nie podłapać francuza i żeby któraś nie zaciążyła, bo obedrże cię z kaski.

Odszedł i choć był pijany, poczuł się dotknięty. Rozpaliła go ta kobieta. Zazdrość o żonę zbladła zupełnie, bo Krystyna stała grzecznie, gdzie stała, trzymając w ręku nietknięty kieliszek.

Wtem Januszek, rzucił mu koło ratunkowe:

- Wróć do nas!

- Wcale tego nie chcecie.

- Chcemy! - zawtórowała modelka i brzmiało to szczerze. Była starą panną i objawiała to w osobliwy sposób. - Nie przeginaj tylko, czekamy na ciebie, spoko!

Jego myśli biegły teraz kilkoma torami; armaniak, nawet czystego szkła nie było, musiał opłukać pod zlewem szklankę;

Lolita, lubi ostrych chłopaków, wymuszacz długów zamieszał jej nie tylko w głowie; i Damian Ross, żadnych trosk, żadnych chorób, żadnej śmierci, skreślamy tę kurwę! w radosną nutę należy uderzyć; dziwadło, odludek, krąży po mieście z własnym cieniem za plecami, lecz na baby chciwy jak Rasputin, ta szatynka o zielonych oczach, którą obracali wspólnie w Świnoujściu, a ona, męzatka, ciągle nie miała dosyć. „Jeszcze! Jeszcze!” Idioci twierdzą, że w odróżnieniu od panów panie są powściągliwe.

Zadzwonił z mrocznego kąta mansardy i znowu usłyszał dziesięć głuchych sygnałów. Ale Paweł, jedyny poza nim przyjaciel Rossa w Łodzi, wysoki blondyn o niebieskich oczach i skręconych w pierścionki włosach, odebrał nieoczekiwanie.

– Cześć.

– Cześć.

– Nie ma u ciebie przypadkiem Damiana?

– Skąd. Trzy tygodnie go nie widziałem.

– Martwię się, Paweł. Dzwonię i dzwonię, lecz nie podnosi słuchawki. Podobno jest chory.

– Jest twardy. Obu nas przeżyje.

– Może wziąłbyś po drodze flachę i wpadł do Magielińskich na poddasze.

– Po co?

– Niezła zabawa się rozkręca.

– Z dziewczynami?

– No... z kobietami.

– A ja właśnie jestem z cudowną dziewczyną, więc dziękuję bardzo za pamięć, ale nie skorzystam.

– Twoja strata.

– Przeboleję. Pogratuluj Januszkowi nagrody. – I przerwał połączenie.

Miły to on raczej nie był. Dość zimno rozmawiał. Wolał panienki od dojrzałych, biegłych w miłosnej wirtuozerii kobiet i Artur nie mógł tego zrozumieć. Zawsze wielbił te starsze, doświadczone, nawet jeśli zdrowo przekroczyły pięćdziesiątkę. To one były naprawdę piękne, a ich usta, oczy i policzki – czytelne.

Wystarczało mu jedno spojrzenie, aby wiedzieć, która jest sprytna, która fałszywa i która może dać spontaniczną rozkosz.

Minęła już dwudziesta trzecia i zabawa, jak to mniej więcej określił Januszek, nabierała rozpędu. Damy wierne swoim kochankom i mężom opuszczały poddasze. Te, które zostały, rozwiązały i zdecydowane, flirtowały w obecności partnerów z obcymi panami. Artur ugrzązł w ramionach ponętnej blondynki, która wepchnęła mu gorący język w usta, nie zważając na purpurową z wściekłości Krystynę.

– Uwielbiam cię – bełkotała blondynka.

A masz, nie tylko ty z filmowcem, ja też potrafię – pomyślał mściwie i całował w najlepsze.

Ktoś załomotał w drzwi. Nastąpiła pora wieczornych udojów, łaskawa dla tych, co nie mieli pieniędzy, znienawidzonych przez Stefanię pijaków i głodomorów. Jednak wejść mogli tylko ci, co przynieśli ze sobą butelkę lub kwiaty. Jeśli chodzi o butelkę, to najlepiej markowy koniak bądź whisky, co zaś do kwiatów, to bukiet w cenie szlachetnego alkoholu, w żadnym wypadku róża z kolcami, urżnięta nożem w ogródku sąsiada.

Magieliński byłby wpuszczał wszystkich, bo miał dobre serce, gotowe dzielić się ostatnią kromką chleba, Magielińska tymczasem była twarda jak gład. Nawet jeśli nieraz wdarł się jakiś nachalny menel-artysta bez daniny w łapie, trzymany był w przedpokoju niczym bezdomny, zapchlony pies. Mówiła zjadliwie, niby słodko i czule, aczkolwiek z hamowaną furią:

„Patrzcie! Witamy, witamy! Któż to nas nie odwiedził. Pewnie by się coś wypilo i zjadło?”

„Przestań, Stefa – jęczał nieszczęśnik. – Przecież byliśmy przyjaciółmi”.

„Może byliśmy, ale nie jesteśmy”.

„Chciałem pogratulować Januszkowi”.

„Zrobisz to kiedy indziej; spotkacie się na pewno w mieście”.

„A dzisiaj nie można?”

„Wykluczone! Cuchniesz. Kiedyś ty się ostatnio kąpał? Na Wielkanoc chyba w rynsztoku”.

„Och, nie bądź okrutna! Muszę z nim tylko chwileczkę porozmawiać”.

„Jasne – drwiła, chichocząc pod swoim garbatym nochem. – Porozmawiać, he, he! A może pogadać, pogaworzyć, ponarzekać, żeby w końcu pożyczyć dwie dychy na wieczne oddanie”.

„Nie chcę pożyczać – zarzekało się biedaczysko, istotnie roztaczające wokół siebie przykre aromaty”.

„Zaczekaj tu; dostaniesz kielicha i coś na ząb, lecz potem sio! na klatkę schodową! Czaisz bluesa?”

Artur Nawrot nie sfabrykował tej sceny. Zaalarmowany o późnej porze beczelnym, desperackim czy też rozpaczliwym waleniem do drzwi poddasza, przypomniał sobie, że dokładnie taką wymianę zdań słyszał był (trzeba znowu użyć czasu zaprzeszłego) kilka miesięcy temu. Stefania, pani domu, wypraszała wówczas z mansardy pewnego piosenkarza i gitarzystę w jednej osobie, który nieźle się zapowiadał, lecz wpadł w szpony niewłaściwego otoczenia, które wciągnęło go w hazard i alkoholizm.

– Ciekawe, kogo teraz diabli niosą – szepnął do siebie. – Zresztą, co mnie to obchodzi.

– Do mnie mówisz? – Blondynka trąciła go kolanem, zniecierpliwiona jego nagłą erotyczną apatią.

– Coś przyszło mi do głowy – odburknął.

– Tylko do głowy? – dopytywała kapryśnie.

– Nie tylko. – Dziwił się, że jest już trochę zawiany, a tak dobrze pamięta tę utarczkę Stefanii z piosenkarzem, tę niepohamowaną wrogość kobiety i natarczywość zdeklasowanego chłopaka.

Z tego bieżącego dnia, z tej „nabierającej rozpędu” nocy zapamiętać miał raczej niewiele. Jak to na „wieczorku” u Magielińskich: suto zakrapiana impreza, początkowo figlarna tylko i naładowana erotycznie, zamieniała się w orgię. Kilku obdartusów, którzy sforsowali drzwi, gdyż „nie chodziło im, żeby popić, lecz koniecznie musieli złożyć szacun Januszkowi”, zostało usuniętych sprawnie i bezwzględnie z poddasza przez tęgiego wymuszacza długów. Dwóch wypchnął jedynie na klatkę schodową z łagodnym pouczeniem, że „uroczystość jest

zamknięta”; trzeci, agresywny, oberwał pięścią w brzuch i przestał na chwilę oddychać; czwartego zaś, najbardziej nieustępliwego, chwycił oburącz za włosy i rozkwaślił mu twarz o kolano. I zapanował względny spokój.

Odtąd w mansardzie słyhać już było wyłącznie lubieżne westchnienia, jęki, nerwowe chichoty, szelest pocałunków i eksplozje orgazmów. Skojarzone spontanicznie pary znikwały gdzieś, może w łazience, może za jedną z dwóch zielonych kotar, za którymi czekały na nich szerokie łoża. Niektórzy uprawiali seks i pieszczoty na widoku, i to z upodobaniem. Wszystkie parapety były w tym celu zajęte – kobiety po prostu siedziały, niscy mężczyźni musieli stawać na palcach, wysocy uginali kolana; jeden klęczał nieomal, uprawiając ze swoją wybranką miłość po francusku. Dwie niemłode już lesbijki, przystojna i brzydka, szczepiły się żarłocznie ustami, coś tam w przerwach mamrocząc o dziecku.

– Uczciwość i prawość, tym właśnie kierowałem się od małego w życiu – czarował podstarzały sędzia trzydziestoparoletnią, farbowaną blondynkę o czarnych oczach i obnażonych kolanach, na które spoglądał co i rusz z oskoma. – Lubię płęć piękną, owszem, nie wypieram się tego, wszelako mówię zawsze do kolegów: żadnych flirtów, żadnych przelotnych miłostek, panowie, liczy się jedynie wierność i trwały związek z niewiastą.

Czarne oczy patrzyły na niego z gryzącą ironią.

– A co z żoną i dwojgiem dorosłych dzieci, panie sędzio?

– Nie wypieram się, nie wypieram – bełkotał, zagryzając olśniewająco białe zęby staruszek, zmieszany najwyraźniej i wytrącony ze swoich zakamufLOWANYCH zalotów. – Dzieci są już dojrzałe i samodzielne, żona zaś osiągnęła już ten wiek, kiedy, że tak powiem...

– Ale żyje?! – przerwała brutalnie blondynka o smolistych, rozbawionych oczach.

– Żyje.

– Więc niech pan do niej czym prędzej wraca. Nie sądzi pan chyba, że uwierzę w pańską uczciwość i prawość. Oj, panie sędzio, panie sędzio... – I odeszła energicznym krokiem,

zostawiając emeryta nie tyle „w stanie spoczynku”, co silnego wzburzenia. Jeśli nabroi, ona, nie on, postara się, żeby dostała pięć lat.

Nie lepiej wiodło się prokuratorowi. Pan Pucharek, wysoki, chudy oskarżyciel publiczny, usiłował pocałować inną fałszywą blondynkę o czarnych oczach. Zupełnie jakby wpakować w głowę śniegowego bałwana dwa węgielki. Prawdziwa epidemia tych jasnowłosych piękności o czarnych ślepiach. A jeszcze niedawno każda blondynka uchodziła za idiotkę.

Pulchna, o wydatnym biuście damulka, którą napastował Pucharek, broniła się dzielnie.

– Zostaw mnie! – pokrzykiwała, odpychając go rękami, a on tymczasem wprost mówił jej to, co między wierszami usiłował powiedzieć swojej faworycie sędziego:

– Szanuję kobiety. Mogę ci zapewnić ochronę prawną i godziwe życie.

– Zostaw, do cholery! Nie słyszałeś?! Zostaw!

– I jestem dyskretny jak każdy szanujący swoje powołanie prokurator. Spotkamy się od czasu do czasu i nikt nie musi o tym wiedzieć. Nie pożałujesz. Będziesz egzystować jak królowa.

– Z każdym, byle nie z tobą, palancie! – krzyk był teraz wrzaskiem, tonącym jednak w ogłuszającym hard rocku, który buchnął nagle z głośników.

– No chodź. Popieprzymy się. Popatrz! Wszyscy to robią. Korona ci z głowy nie spadnie.

Włączona przez kogoś przypadkiem muzyka zacichła raptem i znowu rozdarła się molestowana jejmość:

– Stefcia, ratunku! On chce mnie zgwałcić!

Lecz Stefcia nie było. Stefcia załatwiała swoje sprawy, odwdzięczając się za „dobrą robotę” wymuszaczowi długów. Czarnooka blondynka sięgnęła zatem po telefon komórkowy i zamiast wrzeszczeć, zasyczała jak żmija:

– Dzwonię na policję.

– A dzwoń, proszę bardzo, dzwoń – zarechotał Pucharek. – Już ja widzę tego glinę, któremu przyjdzie aresztować prokuratora. I to za co? Za niewinne żarty w tym burdelu.

- Ktoś może zaświadczyć – powiedziała niepewnie.

- O, tak – zmienił ton napalonego zalotnika w chłodny i rzeczowy głos prokuratora. – Wszyscy tutaj mogą zaświadczyć i będą nader wiarygodni z opuszczonymi spodniami i bez majtek. Nie to nie, twoja strata. – I puścił ją, a ona rzuciła mu wyzywająco:

- Przeboleję!

Było chyba około drugiej i zaspokojone zmysły domagały się snu, więc jedni spali, gdzie się dało: na dywanach, na fotelach, na kanapach, inni krążyli lunatycznie tu i tam, poszukując legowiska. Dwie rozwiązały, choć wciąż o siebie zazdrosne małżeńskie pary czyniły sobie wyrzuty:

- Jak mogłaś?! I to akurat z tym bydlakiem!

- Nie byłś lepszy!

- Jestem mężczyzną i to był tylko seks, a ty oprócz tego całowałaś się jak szalona i wymieniałaś z nim czułe słówka.

- Bo jestem kobietą.

- Dziwką!

- Uważaj, kochany. Sam mnie do tego namawiałeś. Gdyby nie ty, nigdy bym tutaj nie przyszła.

- Ale przyszłaś. I powiem ci dlaczego. Bo chciałaś tego, chciałaś, i to jeszcze bardziej niż ja. No, mów! Kiedy ustawiłaś się na kolejne rżnięcie?! A tak cię kochałem!

- Kochałeś?! Ja wciąż cię kocham! Myślisz, że nie cierpiałam, jak posuwałeś tę wywłokę?

- Teraz chciałbym cię posuwać.

- Ale nie tu.

- A gdzie?

- We własnym domu i łóżku.

- Spadamy stąd?

- Natychmiast!

To, co miało ich rozdzielić, jeszcze bardziej rozhułało wzajemne uczucia i pożądanie. Ale skaza już była i kiedyś zrobią to znowu; podobnie jak u prostytutki, najtrudniejszy jest ten pierwszy raz.

Nakryty białym obrusem stół świecił już pustką, podczas gdy kilku panów chętnie by jeszcze umoczyło dziób. Wśród tych

panów najbardziej suszyło Artura Nawrota. Że też nie „skitrał” za pazuchą „unijki” (dwieście gramów) lub metalowej piersiówki, z której pociągał z upodobaniem przystojny, dobrze ubrany dżentelmen, na błagalne spojrzenie Artura jednakże pokazał mu plecy. Wracił więc ciągle do tego pustego szkła na stole z białym obrusem w nadziei, że może coś jednak zostało. Jak to powiedział w *Pod wulkanem* Malcolm Lowry, ten angielski Kanadyjczyk? „Nie ma nic gorszego od pustej butelki, chyba że pusty kieliszek”. – I tak właśnie było. Ani kropli w butelkach, ani kropli w kieliszkach i szklankach, co oczywiście, o czym wie każdy gazmajster, nie do końca jest prawdą. Jak z siusianiem: choćbyś strząsał trzy tygodnie, tak z butelką: choćbyś potrząsał i walił pięścią w dno, zawsze odrobina zostanie. I pijany jak nieboskie stworzenie aktor, który wcale tego już nie potrzebował, podnosił butelki, usiłując wysączyć te resztki wyschniętymi wargami.

Jeśli następnego dnia miał coś zapamiętać, to właśnie tę haniebną walkę z pustym szkłem. Wielu artystów, często sławnych i zamożnych, miało takie epizody. Jedni na samo wspomnienie płonęli ze wstydu, inni mieli to w nosie. Artur należał do tych pierwszych.

- Przeginasz – mruknął ktoś z przyganą.
- Muszę coś wypić – mamrotał.
- Jesteś już zaprawiony na maksa.
- Królestwo za setkę.

Czyjeś ręce, ni to czułe, ni zalotne, powlekły go do wnęki za zieloną kotarą, coś tam szepcząc, że pora się przespać, ale tego już nazajutrz nie pamiętał.

4

A więc przyjedzie! Dwadzieścia jeden lat gorącej, grzesznej, skrywanej obustronnie miłości. Mógłby nawet powiedzieć dwadzieścia dwa, bo przecież później była jeszcze jedna noc. Na nogach z waty, nadrabiając miną przed portierem patrzącym na niego badawczo, Damian Ross wyszedł z hotelu Andel's i zagłębił się w Manufakturę, miasto w mieście.

Dobijało południe, sobota, upalny czerwcowy weekend. Parking za murem był już zatłoczony. Nadciągały rodziny z dziećmi; nadciągali samotni i zakochani; młodzi i starzy; podglądacze obyczajów; zafascynowani Łodzią cudzoziemcy; kieszonkowcy i złodzieje samochodów; młode panienki, które bardzo by chciały, i młodzi chłopcy, którzy nie mieli odwagi; kurwy o anielskich twarzach bez makijażu i upatrujący ofiar bandyci o zmrużonych oczach; opoje, których było stać „na zaczęcie”, i ochlapusy, które mogły tylko łykać ślinę i tych, co zaczępiały, prosiły o dwadzieścia groszy na bułkę. Sędzia: „I oskarżony zabił człowieka dla pięciu złotych?”. Morderca: „No wie pan, panie sędzio, tu pięć złotych, tam pięć złotych”.

Szedł powoli, krokiem chorego, który uciekł ze szpitala, co zresztą nie było kłamstwem: może i nie uciekł, ale powinien tam być. Aldona! Przyjedzie. Ściślej biorąc: przyleci. Och, urznąć się! Ale nie z wydawcą w domu; w którejś z tych uroczych knajpek. Wydawca, Mi-Kolo, sympatyczny chłopiec, zechce ustawić go po swojemu: dość już Savoyu, Grandu, Halki, Honoratki i ogrywanej przez wszystkich Piotrkowskiej. Przydałby się pejzaż i klimat współczesnej i nowoczesnej Łodzi, a istnieje taka, panie Damianie, proszę mi wierzyć. Choćby Łódź Fabryczna, dworzec kolejowy o światowym formacie, a tuż obok EC-1, niegdyś elektrownia, dzisiaj perła architektury i sztuki; a te nowe pasaży w Śródmieściu, a Manufaktura, ekskluzywne hotele...

Dość, dość! Jestem w Manufakturze i w ekskluzywnym hotelu, no i mamy rok dwa tysiące szesnasty. Ciekawe, czy to pomoże mojej powieści.

Damian Ross klapnął na kasztanowym krześle pierwszego z brzegu kawiarnianego ogródka i wdzięczny był, że nikt do niego nie podchodzi. Chciał tylko chwilę odpocząć; te cholerne nogi z waty, te bolące kolana. W tym ogródku jednak nie zamówi jeszcze kielicha. Pomarzył przez moment z tęsknotą o tych cudownych stronach, które zdążył odwiedzić: nieomal cała Afryka, obydwie Ameryki, wyspy greckie i wyspy hiszpańskie, portugalska Madera... Sześć razy brał ze sobą Aldonę. Bzdura, te wszystkie zagraniczne wyjazdy! To tylko stan umysłu. Posadź tu kaktusy i palmy w doniczkach i masz dookoła cały świat. Kafejki, bary, puby, tawerny. Chcesz wypić coś lub zjeść po włosku? Możesz. Chcesz po hiszpańsku, proszę bardzo. Knajpka rybna, tajska, hinduska. Niektóre padały, a nowy właściciel zmieniał wystrój, szyld i personel i uderzał w inne smaki.

Ta kelnerka, młoda, ładna i nabzdyczona, podeszła wreszcie, wachlując się kartą. Studentka zapewne. Niedługo zostanie panią doktor lub panią magister, a musi obsługiwać takich cherlawych pacanów, u których każdy następny oddech graniczy z cudem.

– Co podać?

– Nic, najmocniej dziękuję – odpowiedział słodko. Wstał, wspierając się o blat stolika. – Chciałem sobie tylko chwileczkę odsapnąć. I odstawię ciastka z kremem, kochanie, bo twoja uroda rozplynie się w fałdach tłuszczu.

Minął ogrodzenie i poczłapał dalej, nie widział więc, jak jej twarz spąsowiała; gdyby nie patron, usłyszałyby, co myśli o takich darmowych „odsapkach”.

Z knajpką chińską, gdzie kilku ambitnych klientów próbowało wpakować coś do gęby pałeczkami, graniczyła „Anatewka”, siostrzyca tej z 6 Sierpnia. Miły, antyczny lokalik bez nowoczesnych gratów i akcentów, z piętrem wewnątrz i ogródkiem na zewnątrz. Współwłaścicielem i szefem „Anatewki” w Manufakturze był bliski przyjaciel Damiana, więc ominął oczywiście „Chińczyka” i rozsiadł się wygodnie pod parasolem na

tarasie „Anatewki”. Kelnerka, też młoda i ładna i też studentka, podeszła natychmiast.

– Dopytywali tu o pana wczoraj – powiedziała Bóg wie czemu z zawahaniem, kładąc na stoliku menu i kartę win.

– Kto? – Od razu się nieprzyjemnie zdenerwował, choć nie miał ku temu żadnych powodów.

– Ten aktor, pan Artur.

– Nawrot?

– Tak. – W owym „tak” można było usłyszeć cichutką nuteczkę uwielbienia.

– Czego chciał?

– Porozmawiać albo zobaczyć się z panem.

– Był trzeźwy?

– Hmm... trudno powiedzieć...

Jak coś trudno powiedzieć, to wiadomo, że nie był – pomyślał. I przypomniał sobie pewne szalone wysoki Artura, na którym jednak zawsze mógł polegać.

Idiotyczne poirytowanie powinno ustąpić, ale trzymało. To cecha i ułomność pisarzy. Tych prawdziwych. Jedno krzywe spojrzenie wystarczy, albo zjadliwe, celnie wymierzone słówko, i już gotowi są mordować za obrazę majestatu bądź też targnąć się na własne życie.

– Pani Marysiu, kochanie, daj mi tatara i zimną setkę.

Przestraszyła się.

– Nie zaszkodzi panu?

– Mam nadzieję.

– Bo...

– Co?

– Przepraszam, ale zdrowo pan nie wygląda.

– Dziękuję, podniosła mnie pani na duchu. Pawła nie ma?

– Pawła? – uniosła brwi. – To pan nic nie wie?

– A co mam wiedzieć?

– Przecież Paweł zrezygnował. Nie prowadzi już „Anatewki”! – rzuciła z taką miną, jak by sama doznała krzywdy.

– Czemu?

– Woli podróże. Złapał okazję i poleciał z synem na Karaiby.

– W końcu to poeta, nie restaurator. – Tym razem smutek dopadł Damiana Rossa; dołączył do rozdrażnienia; czuł ból za mostkiem, do czego przywykł i z czym żył od lat. Wypije, to przejdzie. – A ten drugi Paweł, ze Śródmieścia?

– Wziął sobie nowego współnika.

– Fajny gość?

– Fajny.

– No to co, daj mi tę setkę zamrożoną na śmierć.

– I tatara.

– Niech będzie – mruknął bez entuzjazmu; tych dwóch warszawskich cwaniaków; kalieka, panie kelner, migusiem, i lornietę; „kalieka” to był befsztyk tatarski z jednym jajkiem, a „lornieta” to dwie setki. – Mogłaby pani zorganizować mi papierosa?

– Nie palę.

– Ale ktoś tam pali.

– Zobaczę. – Odeszła, trochę zagniewana, trochę zamyślona, trochę smutna, po czym zawróciła na pięcie.

– Ten pan prosił o kontakt.

– Nawrot?

– Tak.

– Nie mam nawet komórki.

– Pożyczę panu.

– Może później.

Nie miał ochoty na rozmowę z pijanym Arturem. Zadzwoni, jak wytrzeźwieje. Papieros nie pomoże mu, rzecz jasna, lecz alkohol zlikwiduje ból w klatce piersiowej i te parszywe nastroje. To przepiękne, niebieskie niebo bez chmurki; ten srebrniutki, malutki, lecący na wschód odrzutowiec, ciągnący za sobą dwie pierzaste smugi spalin; Aldona jutro przyleci, tylko to się liczy. Do łóżka chyba nie pójda, chociaż to jej słaba strona. Nie ma, nie było i nie będzie piękniejszej kobiety na świecie. I nie będzie większej miłości – jeśli o niego chodzi, bo ona w miłość nie wierzyła; „uzależniłam się od ciebie, to wszystko”.

Zdziczałe koty i gołębie żerowały za parkanami ogródków. Nie brakło kawek o siwych główkach, rozpychały się bokami niczym

stare baby w tramwaju. Młoda, śliczna zakonnica oprowadzała po rozległym, zatłoczonym placu kilkanaścioro przedszkolaków, innych jakoś od rozwrzeszczanych bachorów z publicznych placówek wychowawczych. Dziewczynki były w bladoniebieskich, wykrochmalonych sukienkach, i trzymała jedna drugą za rączkę; chłopcy – w bladoniebieskich koszulkach z krótkim rękawkiem i czarnych spodenkach do kolan i maszerowali w równym dwuszeregu. Dziewczynki były zadowolone i uśmiechnięte, chłopcy też; strzelali dookoła zachwyconymi oczami. Zakonnica w czystusięńkim habicie, także uśmiechnięta i zadowolona, nie oglądała się za siebie co chwilę, nie przywoływała do porządku, nie pokrzykiwała. Zagadką pozostaje tylko, co sprawiło, że przywiodła swoją zdyscyplinowaną gromadkę akurat tutaj, do Manufaktury.

Odwróciwszy głowę, zauważył, że mała, oszroniona karafka, kieliszek, talerz z tatarem i brunatny, przypominający miniaturowe cygaro papieros są już na stole. Musiałem ją czymś urazić – pomyślał o kelnerce; imienia raczej nie pomylił, Marysia; ta skrzypaczka z Teatru Wielkiego, która wraz z ojcem przygrywała wieczorami gościom do kolacji, to Joasia. Marysia bez słowa mu podała wszystko dokładnie, co zamówił, lecz zawsze wobec niego serdeczna i cierpła, podeszła cicho jak ten kot i odeszła.

Napełnił kieliszek, zostawiając w karafce drugie tyle, i wypił na dwa tempa. Od jakiegoś czasu nie miał apetytu i nie czuł smaku jedzonych potraw. Przez lekarstwa zapewne, których zażywał dzień w dzień trzynaście. Ale po winie i po mocnym alkoholu smak i apetyt wracały. To śniadanie w hotelu po utarczce z kelnerem ledwo tknął; kawa i kęs bagietki; teraz zaatakował „kaliekę”. Znał swój organizm; ból fizyczny i podły nastrój ustąpiły, lecz coś pchało się do gardła, z czym również był oswojony. Wypił na dwa tempa drugi kieliszek; jak u Malcolma, pusto. Zerknął na otwarte drzwi lokalu. Drugiej setki potrzebował i butelki gazowanej wody; ona powinna pomyśleć o wodzie, nie on, i podać ją od razu. Toczył ze sobą wewnętrzną sprzeczkę:

„Zapalę”.

„Nie pal”.

„Ale mam taką straszliwą ochotę”.

„Więc ją zabij”.

„Jeszcze nie słyszałem, żeby jeden papieros...”

„Słyszałeś”.

Zapalił wszakże, wciągając głęboko, z równą rozkoszą, co trwogą, dym do płuc. Potem zrobił to jeszcze raz, i to wszystko. Zwalił się z krzesła twarzą na podłogę i stracił przytomność.

Nim kelnerki przy pomocy kucharza wciągnęły Damiana do chłodnego wnętrza „Anatewki”, dwóch panów, dłubiących u „Chińczyka” pałeczkami w miseczkach z ryżem, wymieniło się uwagami.

– To nie Einstein wynalazł teorię względności.

– A kto?

– Churchill, też noblista.

– I co on takiego zrobił?

– Powiedział: „Lepiej stać, niż iść; lepiej siedzieć, niż stać; lepiej leżeć, niż siedzieć”.

5

Ocknął się o jedenastej rano i patrząc na obelkowany, wyłożony brązową boazerią sufit, nie wiedział przez dłuższą chwilę, gdzie jest, co tu robi i jak tu, do cholery, trafił. Coś grzało go w prawe obnażone ramię; lewe obnażone ramię modelki. Odwrócony tyłem, po drugiej stronie szerokiego łóża, posapywał słodko Januszek.

Zastanawiał się, czy uprawiał z nią miłość. Januszek na pewno nie zmarnował okazji. Biała koszulka zakrywała pępek, lecz łono było odkryte, wygolone zgodnie z obowiązującą modą, ale jakiś tam ślad cudownego trójkąta pozostał.

Miał erekcję, krew waliła mu w skroniach. Wszedł w nią, choć spała, i przyjęła go chętnie. Pomrukiwała pod nosem, oddech był czysty jak u dziecka. Nie zabezpieczył się i, biegły w tych sprawach, wiedział, że malarz też tego nie zrobił, co sprawiało dodatkową rozkosz. Ślizgawka. Czar nie mającej nic do stracenia starej panny.

Kiedy skończył, leżał na plecach, wpatrując się w obelkowaną boazerię sufitu. I nagle, z całą siłą, chlusnął go grad wyrzutów sumienia. Ciekawe, co by pomyślały wielbicielki moich seriali i filmów – rozważał, demonizując swoje wybryki. – Kobiety, z którymi dokazywał, mogłyby mu jeszcze wybaczyć, ale złachany idol wylizujący puste kieliszki i szklanki? Masakra! Oby tylko ktoś nie pstryknął mu zdjęcia, za które chętnie zapłaciłyby szmatławce.

I Krystyna! Żona, kochanka, największa namiętność w życiu; nie wiedział, że wkrótce czeka go jeszcze silniejsze doznanie. Był o Krystynę chorobliwie zazdrosny, wszakże ona, wczoraj, poza tą krótką rozmową z tym niby to artystą-instruktorem i tym czułym, pożegnalnym trąceniem się koniuszkami palców, nie zrobiła nic złego. On natomiast znieważył ją publicznie, emablując,

obustronnie zresztą, modelkę i tę napaloną blondynkę, która do niego przypadła. Krystyna nie znieważyla go, a on – przeciwnie!

Wyjść stąd! Wyjść! Natychmiast! I wypić coś, żeby ukoić nerwy!

Ubrał się roztrzęsionymi rękoma, stwierdzając z ulgą, że portfel jest na miejscu. Nie ma gorszej nędzy od braku pieniędzy, które podobno szczęścia nie dają, ale pozwalają w wygodny sposób być nieszczęśliwym. W łazience odkręcił kran i ze złożonych w miseczkę dłoni zachłannie i długo pił wodę, po czym odlał się mściwie do zlewu. Wsparty o poręcz zbiegł na podwórko, poślizgując się co i rusz na wydeptanych schodach.

Samochodu nie było. Ano, Krystyna nie piła, więc mogła sięść za kierownicą. Może to i lepiej, bo mógłby to zrobić on. Wyszedł na opustoszałą ulicę. Spojrzał na pomnik Kościuszki, ale ruszył w przeciwnym kierunku. W sobotę, w Warszawie o tej porze, w Krakowie, w Sopocie, w Zakopanem roi się na deptakach od mieszkańców i turystów, w Łodzi ogródki i chodniki zapełnią się dopiero około drugiej.

Usiadł pod oszkloną ścianą „Pozytywki”, niegdyś „Grandki”, przy jednym z wystawionych na ulicę stolików. Serwowali tu doskonałe naleśniki, a w soboty, w ramach promocji, siedem „szotów”. Wziął jednak szklankę whisky i wysączył ją, nim zabrał się do naleśników, po czym, pijąc kawę, zapalił, wypalił i zostawiwszy zapłonionej kelnerce napiwek z autografem, ruszył dalej.

Wynajmował w Warszawie kawalerkę, ale wolał Łódź, choć z urodzeniem było odwrotnie: tam przyszedł na świat, tu skończył szkołę i studia. Maszerował różnym krokiem. Drzenie rąk ustało. Czuł się dobrze. Jutro też będzie jeszcze nieźle. Piekło zacznie się pojutrze, w poniedziałek, a w środę musi być w Toruniu na planie.

Zahaczył o „Esplanadę” i poprawił sobie przy barze. Z Krysieńką da się cały ten zamęt odkręcić. Nie przyzna się, rzecz jasna, że był z modelką w łóżku. Przerabiał w myślach dialog, jaki zapewne czeka go z opryskliwą i szyderczą żoną.

Ona: „I to ty jesteś niby zazdrosny o mnie?”

On: „Bo cię kocham i nienawidzę tego perfidnego wymoczek”.

„Wymoczek, w przeciwieństwie do ciebie, był wczoraj u Magielińskich w porządku”.

„Ja też byłem w porządku, wierz mi! Nie zrobiłem nic złego”.

„A kto się migdałił z tą modelką i tą wulgarną blondynką?”

„Chciałem po prostu podrażnić się z tobą. Pokazać, że ja też potrafię”.

„Niby co?”

„Zagrać ci na nerwach”.

„Nie bądź śmieszny! Nie zagrałeś mi na nerwach. Nie obchodzi mnie, z kim ostatecznie wylądowałeś w barłogu”.

„Ani trochę?”

„Kompletnie!”

„Och, zapomnijmy już o tej imprezie, o tym idiotycznym, chybionym przyjęciu, na które w końcu, nie zaprzeczysz, ty mnie zaciągnęłaś, nie ja ciebie. – Kup kwiaty! Jak nie dla Janusza, to dla Stefanii. – Dajmy sobie spokój, Krystyno! Szaleję za tobą i nie mogę uwierzyć, że jestem ci zupełnie obojętny. Chodź do łóżka, błagam!”

I ulegnie mu na pewno. Jak każdy pijak-wywijak wierzył w siłę perswazji. Odbił w bramę i wszedł w podwórko, nie myśląc logicznie i nie rejestrując pewnego znamienego sygnału. Kamienica na zewnątrz wyglądała niczym palto uwodziciela-obdartusa, o którego zadbały trzy różne kochanki. Ohydna, obłaząca z tynku elewacja pomalowana była w trzech różnych miejscach na trzech piętrach na zielono, czerwono i niebiesko, czego dokonało kilku ambitnych, nieco zamożniejszych lokatorów, pragnących, aby ich balkony i ściany nie straszyły od podwórka.

Na klatce schodowej, zaniedbanej, lepkiej od brudu i nieremontowanej od lat, znowu uderzył go w nozdrza koci odór i duszny swąd pichconych potraw, bowiem sąsiedzi przepadali za dorszem, cebulą i kapustą. Wsparty o rozchwianą poręcz, piął się w górę, na drugie piętro, po wydeptanych schodach, wciąż napalony i szaleńczo zakochany. Nie patrząc, tylko macając palcem zamek, otworzył z klucza drzwi i wszedł do swojego

obszerne, aklimatyzowanego, urządzonego z wyszukany smakiem mieszkania.

– Krysiu! Krystynko! – krzyknął od progu. – Miłości ty moja!

Odpowiedziała mu martwa cisza. Ano, ma niewątpliwie prawo trochę się z nim podroczyć. Jest przecież piękną, kapryśną kobietą.

– Gdzie się chowasz, ukochanie moje? Nie obudziłem cię chyba, perełko?

Cisza trwała.

Zaczął więc przeczesać mieszkanie: kuchnię z pokoikiem dla służącej, duży salon, sypialnię i pomieszczenie, które nazywali biblioteką, bo zastawione było regałami z książkami aż po sufit.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał ze złością, nie licząc już na odpowiedź. Pijący lubią rozmawiać ze sobą, ciągnął zatem: – Może to i lepiej, kwiatuszku. Ty się bawisz, ja też się zabawię.

W środkowym regale, za gładką, mahoniową płytą był barek – jego duma i przekleństwo Krystyny. Otworzył go, opuszczając do pozycji poziomej płytę i stwierdził z ulgą, że zostało jeszcze na oszklonej półce kilka puszek piwa, pół butelki chardonnay, białego wina, które kupił niedawno żonie, oraz nietknięty Jack Daniel's.

Ułga, którą poczuł na widok godziwych zapasów, nie trwała długo. Krystyna знаła go lepiej, niż można było przypuszczać. Kiedy podniósł Jacka, aby napełnić szklanekę, zobaczył złożoną kartkę papieru. Gdy ją przeczytał, zrozumiał, czego, nim wbiegł na klatkę schodową, nie raczył zauważyć: braku samochodu.

Przeczytał.

Wypił zachłannie całą szklanekę.

Przeczytał jeszcze raz.

Nie użyła nawet jego imienia.

– Małpa! Wredna małpa! – wrzasnął.

Jak była między nimi miłość, mówiła do niego „Arturku”, jak było źle „Arturze”, ale żeby potraktować go jak sprzęt, jak powietrze...

„Słuchaj – pisała – rób sobie co chcesz, z kim chcesz, mogą to być nawet najgorsze dziwki z lupanarów, nic mnie to nie

obchodzi, ale od tego domu trzymaj je z daleka. Jeśli zobaczę tutaj choćby najmniejszy ich ślad, zawiadomię sanepid, żeby odkażono mieszkanie, a rozwód i tak już masz w kieszeni, zawiadomiłam adwokata.

Kartkę zostawiam pod butelką, gdzie indziej mógłbyś jej nie znaleźć, a tu zajrzysz na pewno. Samochodu nie szukaj. Ani dzisiaj, ani jutro. Pojechałam do rodziców w Toruniu i wrócę dopiero w poniedziałek.

Chlaj spokojnie!”

No, jeszcze zobaczymy, jak to będzie! Jeszcze tego pożałujesz! Rozpuszczał w bourbonie i piwie swoje zranione uczucia – wściekłość nie była już wściekłością, a miłość miłością. Nie tylko zbladła, ale całkowicie znikła zazdrość i erotyczne łaknienie. Ta dziewczyna, z którą gra w serialu, też jest fajna. Może nie tak ładna, lecz ma w sobie jakiś wabik i popatruje na niego wymownie. No, ale w środę rano, na planie w Toruniu, musi być w nienagannej formie. I będzie. Przecież ma jeszcze cztery dni, aby doprowadzić się do ładu. I przy okazji, jak już wyląduje w Toruniu, złoży kurtuazyjną wizytę teściom, z którymi od początku był w jak najlepszych stosunkach. Poskarży się na Krystynę, ich ukochaną córkę, jedynaczkę, a oni wezmą ją w karby.

Wypalił jeden po drugim dwa swoje ulubione, amerykańskie papierosy, wciskając niedopałki w pustą puszkę po piwie. Cały jego organizm domagał się teraz tylko jednego: spać! Ale o tym, aby dojść o własnych siłach do sypialni, mógł sobie najwyżej pomarzyć. Doczołgał się więc do skórzanej kanapy, jakoś się na nią wgramolił i stracił wszelki kontakt ze światem, nie czując, że w spodniach wibruje mu komórka.

6

Damian Ross odzyskał przytomność w klinice elektrokardiologii, która została przeniesiona ze Sterlinga do tego ogromnego gmachu przy Pomorskiej. Poczul delikatne dotknięcie na twarzy i kiedy otworzył oczy, zobaczył nad sobą zatroskaną twarz pielęgniarki.

– Jak pan się czuje? – zapytała.

– Dobrze – odrzekł nie bez wysiłku.

– Wie pan, że zemdlął pan w jednym z tych ogródków w Manufakturze?

– Wiem, że tam byłem, ale nie wiem, że straciłem przytomność.

– Proszę spokojnie leżeć i czekać – poleciła. – Zaraz przyjdzie pan ordynator.

Czekał więc, podłączony do kroplówki, z przyssawkami EKG na piersiach, w szpitalnej piżamie o zbyt krótkich rękawach i z aparatem tlenowym w nosie.

– A ona jutro przyjeżdża – szepnął do siebie. – Och, Aldono, co ja mam robić?

– Może w czymś pomóc? – pospieszył skwapliwie leżący na sąsiednim łóżku pacjent.

– Nie, dziękuję.

– Bo wiesz pan. – Przebywający zapewne od kilku dni w dwuosobowej sali mężczyzna spragniony był towarzystwa i rozmowy. – W szpitalu trzeba się wspierać, podnosić wzajemnie na duchu, tak?

– Tak, tak.

– I pogadać nie zawadzi.

– Może inny razem – protestował Damian Ross; zaczynał żałować, że obudzili go z omdlenia.

– Ja rozumiem. – Nie dawał za wygraną chłopina. Był z tych powszechnych już dzisiaj na świecie osobników, którzy nie myślą i nie czytają. Z zakresu kultury wchodzi w grę wyłącznie

telewizja, której w tej sali nie było, i paplanina, do której nadarzyła się akurat sposobność. – Jak człękowi nawala pompa, nie zawsze pasują mu pogaduszki. Zgadzasz się pan?

Damian pomyślał o poecie, który również chorował na serce, i przytaknął:

– Absolutnie.

– Mnie na ten przykład – bajdurzył w najlepsze niedogadany nudziarz – zrobili wczoraj kurografię i powpychali do żyłów jakieś stynty; nie stynty, znaczy się: rozpieracze, żeby krew mogła cyrkulować jak należy, kapujesz pan?

Damian milczał.

– A pan co? Po zawale?

– Byłbym wdzięczny, gdyby pan do mnie przez chwilę nie mówił.

– Czemu? Cuś nie tak? Zadzwonię po siostrę.

– Proszę tego nie robić – wymruczał błagalnie Damian Ross. – Niech pan po prostu zamknie buzię i zostawi mnie w spokoju.

– Patrzcie go, wazniak się znalazł! – krzyknął oburzony gaduła. – Człęk chce mu pomóc, pocieszyć jak chrześcijanin chrześcijanina, a ten tu, panie tego, rżnie ministra, dobrym słowem gardzi.

– Panie Wiśniewski! – powstrzymał gadułę miły, ale władczy głos.

– Tak jest, panie profesorze?

– Proszę nie męczyć pacjenta.

– Przecie ja mu zamiarowałem pomóc, panie profesorze – zaperzył się gaduła.

– Od pomocy tutaj to my jesteśmy, nie pan.

– Człęk się stara...

– Dosyć, panie Wiśniewski! Jeszcze słowo, a przeniosę pana do innej sali albo na korytarz. Zrozumiano?

– Zrozumiano, zrozumiano.

Damian Ross miał teraz nad sobą zaprzyjaźnionego, przystojnego, zawsze wobec wszystkich uprzejmego kardiologa, który opiekował się nim od dziesięciu lat.

– Witam, panie Damianie.

- Dzień dobry.
- Co się stało? Wystraszył mnie pan. - Lekarz przysiadł na brzegu łóżka i kordialnie uściśnął kiść Damiana, wymacując odruchowo puls.
- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, panie profesorze - odparł Damian.
- Były może jakieś wyładowania w kardiowerterze? - Dłoń lekarza spoczęła na piersi Damiana, gdzie wszyty był defibrylator.
- Bo ja wiem? Może i były. Miałem zawał?
- Nie.
- Stan przedzawałowy?
- Nie uznajemy tego terminu, ale jeśli mam być szczery, pana serce jest w fatalnym stanie.
- Muszę jutro koniecznie wyjść, panie profesorze - powiedział z naciskiem Damian.
- Niech pan o tym zapomni, panie Damianie. Nie puszczę pana, nim nie zrobimy wszystkich niezbędnych badań.
- Nawet na własne życzenie?
- Nawet. Już nie chodzi o to, że miałbym pana na sumieniu, ale odpowiadałbym dyscyplinarnie jako lekarz.
- Myślę, że nie; nikt nie ma prawa mnie więzić.
- Pacjent gaduła na sąsiednim łóżku wstrzymał oddech i przestał oddychać. To ci dopiero!
- Dobrze - oświadczył chmurnie profesor. - Jeśli musi pan coś pilnego w mieście załatwić, my to załatwimy, uwzględniając każde pańskie życzenie.
- Bardzo dziękuję, jestem wzruszony, lecz w tej sprawie nie możecie mnie wyręczyć.
- A Elżbieta? - Profesor wymienił imię byłej żony Damiana.
- Też nie może tego załatwić. Zresztą jest u ciotki w Paryżu.
- U Naty?
- Tak.
- I jak ona się trzyma?
- Kiepsko.
- Słuchaj no, Damian - wycedził stłumionym głosem profesor - jesteśmy prawie jak rodzina i ja cię nie puszczę. Ani dzisiaj, ani

jutro. Może za tydzień, jak będziesz miał szczęście. Potem rób sobie, co chcesz. Możesz mnie skarżyć w prokuraturze, w izbie lekarskiej, w gazetach...

– Wiesz dobrze, że tego nie zrobię.

– Wiem. I zostajesz tutaj bez dyskusji. A tak na marginesie: nie masz kogoś bliskiego, kto mógłby załatwić tę twoją niecierpiącą zwłoki sprawę?

Damian namyślał się chwilę i powiedział:

– Mam.

– Podaj nazwisko, to go znajdę.

– Artur Nawrot.

– Ten aktor?

– Tak.

– Fajny facet.

– Bardzo fajny.

– Zaraz odzuję jego telefon i poproszę, żeby tutaj wpadł.

– Nie musi pan szukać, panie profesorze.

– Pamiętasz numer?

– Tak.

– No to dawaj!

Krystyna, Krysieńka! Jeszcze raz pokazała, jak dobrze zna wszystkie jego pijackie odruchy. Kiedy wstał po czterech godzinach kamiennego snu i stwierdził, że w barku nie zostało nic na pociechę, zapragnął wyjść od razu na Piotrkowską, gdzie we wczesny, sobotni wieczór otwartych sklepów i barów było bez liku. Należało jednak wzmocnić lekko rezerwy pieniężne, nadszarpnięte ostatniej nocy, otworzył więc sekretną szufladkę w regale, w której trzymał, nie ukrywając zresztą tego przed żoną, swoje oszczędności. I znowu trafił go szlag. Na samym wierzchu leżała kartka, a na kartce ślubna obrączka. Bez żadnych wstępów, bez „Arturków” czy „Arturów” i podpisów, przeczytał zdruzgotany: „Sprzedaj ją, jak już wszystko przepijesz. Mnie nie będzie już potrzebna!”

Ano, jak mawiał Clint Eastwood, każdy rewolwer gra swoją melodię. Zobaczymy jeszcze w jakie tony uderzysz. Tym razem, tym gestem, tym brutalnym chamstwem, przekroczyłaś granicę tolerancji. Zdradę mógłbym ci jeszcze wybaczyć, bo już ci wybaczałem, wiedząc, że masz swawolne udko. Buchnęłaś samochód? W porządku! Dołożyłaś się do niego. Rozwód, kulturalny rozwód bez scen? Trudno! Ale żeby w ten sposób kończyć to, co przynajmniej z jego strony było kiedyś gorącą miłością? No nie, mościa panno! Zapłacisz mi za to! Jak Boga kocham, zapłacisz!

Coś rzeczywiście się przekręciło i zamknęło w zranionym sercu Artura. Jego godność i duma powiedziały: Stop! Świat jest zepsuty. Seks, który niegdyś był świętością, dzisiaj uchodzi za chleb powszedni: od czternastu lat w szkołach i od samego rana w telewizji. Sam też miał dużo na sumieniu, może znacznie więcej niż dużo. Czuł się cegłą w murze rozpusty i nieprawości. I cierpiał z tego powodu. Solennie przyrzekał sobie, po każdym wyskoku, poprawę, a potem robił to znowu. I prawdopodobnie przyjdzie

taki moment, że znów zapragnie fizycznie Krystyny, ale... ona ma przecież czterdzieści pięć lat i potrafi ją upokorzyć.

W barku została jeszcze niedopita butelka chardonnay, lecz nie sięgnął po to doskonałe, białe wino o specyficznym smaku. Szczep pochodził z Francji, ale rozprzestrzenił się na cały świat. Ta akurat sztuka przywędrowała z Chile, najwspanialsze jednak chardonnay pędzili Bułgarzy. Nie, pokaże klasę i nie ruszy tego, co jej dał. Przeciwnie, dokupi jeszcze jedną butelkę.

Drżały mu ręce; nie zmienił butów, skarpetek i wygniecionych spodni; nie ogolił się, dzisiaj nikt się nie goli, modny jest trzydniowy zarost. Już nie tylko playboye i politycy noszą na pyskach szczecinę albo różne bródki, baczki i esy-floresy. Nawet niektórzy księża, że to niby chcą trafić z Jezusem do młodzieży, obnoszą w kościołach i na ulicach puchate facjaty i końskie ogony.

Przemył twarz, uładził włosy. Włożył czystą koszulę i szykowną, ciemną marynarkę w kratę, którą kupił był (!) swego czasu w Barcelonie. Zasadził na nosie duże, ciemne okulary.

– *Adiòs! Hasta la vista!*

Z rozmachem zatrzasnął drzwi, rzucając okiem na miedzianą tabliczkę: KRYSTYNA ARTUR NAWROT

Czegoś żał! Na podwórku zerknął na miejsce parkingowe, gdzie zostawiał zwykle samochód. Pusto, bo trwa nauka jazdy! Na Piotrkowskiej odbił w lewo, w ten pasaż, który biegnie równolegle z ulicą Roosevelta aż po Sienkiewicza. Dawniej brylowały tam wietnamskie budy, teraz zostały tylko dwie i trzymający się jakoś „Futbol Pub” Zbyszka Karolaka, byłego zawodnika Widzewa. Ale wyrosły w tym ślepyim niegdyś i głuchym zaułku liczne bary i kawiarnie, niedrogie, z dobrym żarciem i tanim alkoholem i pasaż, zwany teraz Offem, stał się jedną z atrakcji Śródmieścia.

Wszedł do jednego z tych barów i stanął przy zatłoczonym bufecie, próbując ściągnąć na siebie uwagę barmanki.

– Niech no pani na mnie spojrzy – mruknął.

Zerknęła przelotnie, ani przez moment nie kojarząc go ze sławnym aktorem, i podjęła mózół napełniania pustych kieliszków. Jej pomocnica, kilkunastoletnia dziewczyna

o naturalnie rudych, wątłych włosach, walczyła z metalowym ekspresem do kawy, który przerywanym strumieniem, niby wymię krowy, wyrzucał z siebie do szklanek sznury ciemnego wrzątku.

– Może pani zwróci na mnie uwagę? – zagadnął tę drugą.

Nie odpowiedziała. Mimo gniewu Artur wiedział, że była to po prostu nieśmiałość. Umalowała sobie purpurową szminką dwie wąskie, dziecięce jeszcze wargi tak, aby wkomponować się bez zgrzytów w otoczenie. Robiła zapewne wszystko, by choć trochę przypominać cwana i zepsutą kelnerkę, podczas gdy na razie nie było w niej jeszcze ani odrobiny zepsucia. Wciąż była niewinną panienką, którą rodzice posłali do technikum gastronomicznego ze słusznym przeświadczeniem, iż z czasem będzie miała z tego niezły kawałek chleba.

– Słucham, co podać? – zapytała wreszcie ta pierwsza, właściwa barmanka.

– Setkę żytniej – odpowiedział skwapliwie Artur.

– I... – Podsunęła mu napelnioną uczciwie stopkę.

Artur chwycił ją pospiesznie i opróżnił dwoma zachłannymi łykami.

– I jeszcze raz.

– Może jakaś przekąska?

– Nie jestem głodny. – Korciło go, aby zdjąć okulary, gdyż była ładną, zdrową dziewczuchą.

– Niech pan weźmie przynajmniej kawę. – Więcej w tym było niepokoju o jego nadwątloną kondycję niż chęci zarobku.

– Whisky też trzeba pić z kawą?

– Nie.

– Więc podaj mi, kochanie, setkę whisky.

– Nie mamy whisky. Może koniak? – westchnęła, wskazując Pliskę.

– W porządku.

– Proszę. – Uważnie odmierzyła rację jasnozłocistego nektaru. – Razem będzie dwadzieścia pięć złotych.

– Trzydzieści – powiedział, kładąc w szynkwasię dwa banknoty. – Za zrozumienie potrzeb chorego mężczyzny.

- Gawędziarz – skomentował przystojny młodzieniec.
- Tak jest – przytaknął inny, też przystojny, też pewny siebie i też buzujący studencką arogancją.

- Z tych, co to lubią sobie pogadać. Gawędziarz ludowy, hę?

Artur popijał Pliskę drobnymi łyżkami, nie zważając na zaczepki. Czuł już w żołądku pierwsze pieśzcotliwe ukłucia alkoholu, który łączył się z tym, którego jeszcze nie zdążył strawić. Uspokoić się, za wszelką cenę uspokoić!... Wyszedł na dwór, usiadł przy stoliku i zapalił papierosa, odczuwając całą ogromną, przytłaczającą przyjemność samotności.

Co się stało? A bo to jemu jednemu żona wycięła taki numer? Do samochodu, nawiasem mówiąc: alfa romeo, dołożyła się w połowie, podobnie jak do mieszkania, więc z jednego i drugiego ma prawo korzystać, a po rozwodzie i uczciwym podziale majątku ona zostanie w Łodzi, on ucieknie do Warszawy.

Mógłbym jednak wziąć coś na ząb – pomyślał. Zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła; zerknął w kartę i przywołał ręką kelnerkę, która stała dotąd bezrobotnie przy kuchennym okienku.

- Poda mi pani bryzol?

- Oczywiście.

- A może jest coś lepszego?

- Jagnięcina po hiszpańsku. – Była ujmująco grzeczna.

- Długo to potrwa?

- Dwadzieścia minut.

- Trudno.

Chciała odejść, ale zatrzymał ją w pół kroku.

- Wie pani, samo mięso, bez ziemniaków.

- Dobrze.

- I trochę pieczywa. Aha, proszę także o małą wodę gazowaną, herbatę i setkę tego winiaku Pliska.

Czekając na powrót kelnerki, przypatrywał się ludziom przy barze. W gruncie rzeczy wydawali mu się sympatyczni. Poczul falę gorących, solidarnych uczuć w stosunku do tego chudego, długowłosego, znanego w mieście poety, który chwiał się samotnie nad kieliszkiem, i do tych dwóch jurnych, jasnowłosych młodzieńców, którzy zaczepiali go niedawno. Wszyscy na pewno

również mają kłopoty z kobietami. Ci młodzi raczej jeszcze nie mają żon. No to z dziewczynami. Przesłał jednemu z nich poprzez otwarte na oścież drzwi, temu barczystemu, w kusej ortalionowej kurtce, którą kupił na pewno w szmateksie z zagraniczną tandetą na Piłsudskiego, niewyraźny uśmiech, będący w jego własnym mniemaniu wspaniałą formą męskiej solidarności i zrozumienia.

Wychylił połowę zawartości z trzeciego już kieliszka, który podała mu wraz z wodą, herbatą i nazbyt chyba wysmażoną jagnięciną kelnerka. Mięso stygło, a on znowu pociągnął. Jak u Magielińskich, lubił alkohol wyłącznie na czczo. Lepiej działał. I nie mdliło go wtedy. Co innego herbata. Siorbnął dwa razy ze szklanki, nie wyjmując torebki puszczej jeszcze smużki teiny.

Jest dobrze! Jest zupełnie w porządku. Może spotka jeszcze prawdziwą miłość i doczeka się tego, czego nie dała mu Krystyna – dzieci.

Przymglony wzrok nie rejestrował już wszystkich szczegółów. Gorąca herbata zaktywizowała alkohol w żołądku, absorpcja była teraz szybka i zdradliwa. Bez apetytu przeżuł kęs jagnięciny, która chyba za długo leżała w piekarniku, i rezygnując z reszty, zapalił kolejnego papierosa.

Chłopak w ortalionowej kurtce stanął przed nim na rozkraczonych nogach, niczym Ronaldo przed uderzeniem z rzutu wolnego.

– Pan jest Nawrot, ten aktor – powiedział z lekką nutką agresji. – Niech pan zdejmie okulary.

– Po co? – Artur uśmiechnął się i palił w najlepsze.

– Żeby wszyscy zobaczyli. Nawrot, wielki Nawrot uczynił nam zaszczyt.

Celowo wymienione na głos nazwisko zrobiło swoje. Przed Arturem zbiła się gromadka zaintrygowanej ludzkości. Zaraz będą musiał rozdawać autografy – pomyślał. – O Boże!

– Zapłacę i sobie pójdę – oświadczył układowie.

Wszakże Ortalionowa Kurtka, podpita i nakręcająca się samoczynnie, zwietrzyła swoją szansę i nie zamierzała mu odpuścić.

- Sądzi pan, że jest wielkim aktorem? - roześmiała się sztucznie Ortalionowa Kurtka ze szmateksu przy Piłsudskiego.

- Nic podobnego - zaprotestował, dając w powietrzu znaki kelnerce, że prosi o rachunek.

- Olbrychski to jest wielki aktor, Pszoniak, Seweryn, a pan, stary ramol, zagrał w tych paru kryminałach i zadziera nosa.

- Przepraszam, jeśli czymś pana uraziłem - wybełkotał. Alkohol osłabiał go psychicznie; wyrzuty sumienia, żadnej agresji. Strach przed odpowiedzialnością za winy, których nie popełnił. Znowu nakreślił palcem w powietrzu sygnał pod adresem kelnerki, patrzącej na niego jak urzeczona. - Natychmiast się stąd wynoszę.

- A to dlaczego? - wtrącił się nagle kolega Ortalionowej Kurtki. - Jest pan tu mile widziany, to raz, a dwa: mnie pańskie aktorstwo bardzo się podoba.

- Bo jesteś urodzonym pochlebcą i lizusem. - Kurtka miała nadzieję, że awantura dotrze do telewizji i do prasy i że popularność, o której całe życie marzył, stanie się wreszcie jego udziałem. - Odkąd to zachwyca cię podrzędny aktorzyzna?!

- Pan Nawrot to świetny, utalentowany artysta! - cisnął raptem ze złością chudy, długowłosek literat.

- Mnie też się podoba! - wykrzyknęła blondynka o rozmytych, pijanych oczach.

- Jeśli ktoś tu jest podrzędny i niepotrzebny, to chyba ty! - cisnęła Kurtce w oczy barmanka.

- Bul, koleś, i spierdanalejro, frajeru!

- Krytyk filmowy się znalazł!

- Uwaga, panowie, psy!

Para strażników miejskich w paradnych mundurach - średniego wzrostu dziewczyna i dwumetrowy byk, obydwójce wielce z siebie „kontenci”, bo przecież ich praca polega głównie na zadawaniu szyku i bezrobociu - wtargnęła rozkołysanym krokiem do pasażu, żeby trochę się rozerwać i odpocząć. Spostrzegłszy jednak rozdyktowaną pod lokalem hałastrę, ruszyli ku niej, aby sprawdzić, w czym rzecz, i pokazać, kto tu w ogóle rządzi.

- Ma być spokój, zrozumiano?! - nakazał hardo dwumetrowy byk.

- Jest spokój - odpowiedział mu chłodno chudy literat.

- Ten pan jest pijany - orzekł ponuro strażnik.

- Ten pan to Artur Nawrot - oznajmiła kelnerka.

- A, to przepraszam - zmienił ton z groźnego na słodki ogromny strażnik. I momentalnie przysiadł się do Artura, wyrzucając przed siebie grabę wielkości łopaty, którą aktor dla świętego spokoju uściskał. - Bardzo mnie się podoba ten kryminalny, rzec by można, film, co to leci w telewizorze w odcinkach. Oglądam go zawsze z żoną, bo wiesz pan, jak się cienżko pracuje, to trza się wieczorkiem rozerwać. Pan tego nie je? - zerknął z oskomą na wystygłą już jagnięcinę po hiszpańsku.

- Nie. - Artur wzdrygnął się na samą myśl - Jak ma pan ochotę, proszę mnie wyręczyć.

- A wiesz pan, bardzo chętnie. - Poślinił widelec, przetarł go serwetką i wpakował sobie kawał mięsa w gębę. To, że było zimne, wcale mu nie przeszkadzało. - Jak ma zmarnieć albo ptoki wydziobać, to już lepiej, że se sam podeżrę, bo od drugiego śniadania chodzę o pustym brzuchu.

- Smacznego - mruknął Artur, nie czując, że w kieszeni na prawym udzie pulsuje mu komórka.

- A, dziękuję, dziękuję - mlaskając językiem, wykrztusił stróż prawa.

Jego partnerkę tymczasem zaczęło nosić. Bydlę! Bydlę! Ona tu stoi jak na tureckim weselu, a ten się zajada!

- Mnie też się pan bardzo podoba w tym kryminalnym serialu! - przemówiła wdzięcznym głosem, sadowiąc się na wolnym krześle.

Dryblas nie krył oburzenia.

- A ty tu co?! - burknął pełnymi ustami na bezczelną w jego mniemaniu partnerkę.

- Ty możesz, to ja też mogę - odbiła dziewczyna. - Na pewno nie będę zabierała panu aktorowi obiadu. Chciałam tylko prosić o autograf dla brata i siostrzenicy.

– Z przyjemnością – zgodził się szarmancko Artur. – Ma pani jakąś kartkę?

– Mam! – wykrzyknęło uradowane dziewczę. – Może być notes służbowy?

– Jak najbardziej.

– No, patrzcie – syknął złośliwie ktoś zza pleców zбитych w gromadkę obserwatorów zdarzenia. – A jeszcze przed chwilą gotowi byli wpakować go do izby wytrzeźwień.

– To nie był mój pomysł – zaprotestowała przystojna strażniczka w twarzowym mundurze.

– A czyj?

– Jego. – Wytknęła palcem dryblas. – Gdyby nie wzrost, nigdy by go do straży nie wzięli.

– Uważaj no, mała! – Drągał zjadł już mięso i wyskrobywał teraz widelcem resztki z talerza. Był chyba wnukiem lub prawnukiem tego obżartucha z *Przygód dzielnego wojaka Szwejka*. – Ciesz się, że łażę z tobą po tych patrolach.

– Wstyd mi tylko robisz. Jak jest gdzieś naprawdę gorąco i niebezpiecznie, wolisz chodzić bocznymi drogami.

Artur nie trzęsącą się już, ale niepewną ręką nagryzmolił w „służbowym notesie” swoje imię i nazwisko. Wiecznie głodny Bulon, co to zjadłby nawet wydalony przez pana kał, byle tylko nie było w nim włosy, bo jest bardzo „brzydliwy”, patrzył na to z oburzeniem.

– Już ja komendantowi zamelduję, co wyrabiasz, małpo, z notatnikiem kupionym za pieniądze podatników – zagroził.

– A ja mu powiem, że odebrałeś sygnał z centrali o bójce w pasażu Rubinsteina, lecz, byle się tylko w nic poważnego nie mieszać, przyciągnąłeś mnie na siłę tutaj, żeby wlepić komuś mandat za pokątny handel alkoholem albo zawlec jakiegoś pijacznę do izdebki.

– I na mnie padło? – zapytał rozbawiony aktor.

– Wiesz pan, w demokracji wszystkie obywatele są równe – zaopiniował osiłek, wlepiając w Artura swoje znieprawione oczyska. – U nas, panie, wsio rawno, złodziej, robot, czy artysta. Chyba że, wiesz pan, przestępca wczuje się w położenie

państwowego funkcjonariusza i kopsnie mu na pociechę trochę grosza alboć zafunduje jakąś strawę.

– A co by pan zjadł? – zaciekał się Artur.

– Co łaska, panie aktorze – odrzekł z rosnącą nadzieją miejski troglodyta. – Byle tylko było tłusto i obficie.

– A gorzałeczka?

– Wiesz pan, jezdem na służbie, więc nie bardzo się godzi.

– Ale tak jednego? Jednego i szlus?

– Jeden nigdy nie zawadzi – zgodził się wielkodusznie olbrzym.

– I w międzyczasie papieroszek?

– Niepaluncy w gruncie rzeczy jezdem, bo to drogi sport, ale jak ktoś poczęstuje, to i owszem.

Raptem z tyłu, od strony Piotrkowskiej, rozległ się czyjś rozkazujący głos:

– Co tu robisz, śmieciu?! Wynoś się stąd!

Artur odwrócił głowę i ku swojej niekłamanej radości zobaczył tego łysego, mocarnego odzyskiwacza długów, którego poznał u Magielińskich.

– A pan to niby kto? – rzucił się troglodyta.

– Hańbę wszystkim służbom mundurowym przynosisz, nie tylko Straży Miejskiej, łachudro!

– Nie panu o tym gadać.

– Nie? Zaraz ci pokażę. – Też potężny, szeroki w barach, chociaż niższy trochę od strażnika wymuszacz zwrotu pożyczek podszedł, capnął drągala za ucho i dźwignął go do pozycji stojącej.

– Nie mogę na to pozwolić – ujęła się, chcąc nie chcąc, za partnerem przystojna strażniczka.

– Ale oczywiście, że możesz – obstawał przy swoim wymuszacz i szepnąwszy kilka słów dziewczynie na ucho, dalej mówił nieznoszącym sprzeciwu tonem: – Nie będziesz tu ani jadł, ani pił, ani palił, łajdusie! A z twoim komendantem to ja sam sobie porozmawiam. I żebym cię tu więcej nie widział!

Skrzywiony z bólu strażnik został odwrócony i kopnięty w tyłek, co gapie nagrodzili rześzystymi brawami. Przeleciał kilka kroków i stanął.

– Idziemy, panie Arturze – oświadczył stanowczo odzyskiwacz pożyczek.

– Gdzie?

– Wspominałem panu u Magielińskich, że można sobie ciekawie pograć i przy okazji zarobić w... takim jednym sekretnym miejscu.

– Kiedy ja nie mam samochodu – westchnął zgnębiony Artur Nawrot.

– Ale ja mam. A poza tym to jest niedaleko, można iść pieszo.

Wszystkie swoje kwestie łysy wymuszacz mówił szeptem, Artur zaś reagował głośno.

– Mam pieniądze, nie muszę grać – bronił się słabo jak każdy uzależniony od hazardu człowiek.

Sponiewierany strażnik nie zapanował nad sobą i zerknął przelotnie na aktora z wyrzutem. Nie dość że sławny, to jeszcze bogaty! Ładowany jak armata! Mogłem przy nim pojeść, popić i wyciągnąć kasę. Trza było ino mocniej postraszyć izdebką!

Podążająca samotnie Piotrkowską strażniczka, rozżalona i sponiewierana, toczyła ze sobą wewnętrzny spór. Przecież nie jesteśmy tacy źli. Przecież większość naszej miejskiej formacji zachowuje się przykładowie. Zdałam egzaminy i wstąpiłam do straży, gdyż chciałam – i wciąż chcę – pomagać ludziom, a nie naciągać ich i obdzierać z pieniędzy. Donosić na kolegów to brzydka rzecz, lecz będę musiała poprosić komendanta, aby nie puszczał mnie już na patrole z tym chamem, z tym łajdakiem, przez którego musiałam świecić oczami i pewnie jeszcze nie raz zaświecę, bo ludzie mają dobrą pamięć. Może przenieść się do policji? Policja mimo wszystko jest uczciwsza i nie obciąża mandatami staruszek sprzedających kwiaty i owoce.

8

– Jak pan się czuje? – spytał zatroskany profesor Wranicz Damiana Rossa.

– Dziwnie – odpowiedział bez entuzjazmu pisarz. – I co, nie puści mnie pan jutro, profesorze?

– W żadnym wypadku. Nie zamierzam straszyć, lecz pana stan jest naprawdę ciężki.

– Krytyczny?

– Proszę mnie nie ciągnąć za słówka.

Znowu zwracali się do siebie oficjalnie – serdecznie, ale bez poufałości.

– Umrę?

– Każdy z nas umrze – odrzekł z łagodnym uśmiechem profesor.

– Pytanie tylko kiedy.

– O tym wie jedynie ten, co jest nad nami.

– Jutro, pojutrze, za miesiąc?

– Jeśli pozwoli mi pan nad sobą popracować, znacznie dłużej. O ile oczywiście będzie pan przestrzegał ściśle pewnych reguł.

– Diety?

– Diety.

– Trzy jajka w tygodniu, kurczak tylko gotowany i bez skórki; żadnego tłuszczu, żadnych parówek, broń Boże coś smażonego albo z rusztu...

– Bez przesady, panie Damianie. Jak pana dobrze wyreguluję, będzie pan mógł nawet wypić szklankę czerwonego wina do obiadu.

– Lecz o papierosach nie ma mowy?

– Papierosy skreślamy.

– Co do jednego?

– Więcej. Co do jednego pociągnięcia czy jak to się inaczej mówi – sztacha. I z dala od zadymionych pomieszczeń.

– No i łagodne spacery, bez gwałtownych ruchów.

Wranicz rzucał co i rusz okiem na ekran monitorujący pracę serca pisarza; nie był zachwycony, czego oczywiście nie okazał.

– Po co panu gwałtowne ruchy.

– A jak jestem z kobietą w łóżku? Nie sądzi pan chyba, profesorze, abym się wykastrował.

– Seks jest zdrowy.

– Nawet ten namiętny i szalony?

– Wprawia mnie pan w zakłopotanie – bronił się znany kardiolog. – Zaczynam podejrzewać, że to, co ma być jutro i na czym tak bardzo panu zależy, ma związek z jakąś piękną damą.

– Nie dodzwonił się pan? – przystąpił wreszcie pisarz do rzeczy.

– Próbowałem, ale nie odpowiada.

– Bawi się.

– Ano, jest sobota, ma prawo. Dalej będę próbował, panie Damianie, ale... proszę wybaczyć, jeśli to rzeczywiście takie ważne, sam, osobiście mogę tę sprawę załatwić.

– Wielce to zaszczytna dla mnie oferta, panie profesorze, lecz nie mogę z niej skorzystać.

– Wybacz pan moją dociekliwość, bo nie mogę tego zrozumieć: czemu?

Damian pomyślał chwilę i żeby zrobić lekarzowi przyjemność, powiedział z bladym uśmiechem:

– Jest pan zbyt przystojny.

– Więc może, skoro pan Nawrot nie odbiera, zadzwonię do jego żony.

– Wykluczone! – Pisarz rzucił się na łóżku niczym dotknięty prądem. – Jestem z nią na noże!

– Spokojnie, spokojnie – łagodził krótkie spięcie kardiolog. – Nie ma powodu do nerwów.

– To wredna małpa. Uuu! Dopiero by narozrabiała z hukiem na całą Łódź.

– Urodziwa swoją drogą.

– O, tak. A do tego bezwzględna i bezczelna. Artur ma z nią całą furę kłopotów.

Profesor Jerzy Krzysztof Wranicz był tylko człowiekiem, więc zapytał przez czystą ludzką ciekawość:

– Nie rozwiodą się chyba?

– Kto wie. Pomieszało się babie we łbie od dobrobytu i nie żałuje sobie życia.

Biegło już późne czerwcowe popołudnie, Wranicza czekał jeszcze tylko wieczorny obchód, chętnie zatem gaworzył z pisarzem, aby zerknąć czasem na ekran monitora i powstrzymać Damiana od ewentualnych wyskoków. Nigdy nie wiadomo, co takiemu wariatowi przyjdzie do głowy. Odciałem go od ubrania – pomyślał – ale jest ciepło i w piżamie może czmychnąć na ulicę. Albo wyłudzić od kogoś papierosa, a od śpiochów-palaczy, niby to wyleczonych już z nałogu, na oddziale aż się roi.

Każdy natchniony pisarz to wariat – Wranicz zaśmiał się w duchu. Może przebrać się za księdza albo zakonnicę. I zadał nagle Damianowi pytanie, które dręczyło go od początku:

– Ta osoba, mężczyzna czy kobieta (dobrze wiedział, że chodzi o tę drugą), dysponuje bez wątpienia telefonem.

– Dysponuje kilkoma.

– Więc czemu pan do niej nie zadzwoni?

– Mam być szczery?

– Będę wdzięczny.

– I zostanie to między nami?

– Na zawsze.

– Otóż, drogi panie profesorze, ja kiedyś znałem na pamięć wszystkie numery owych telefonów i dzwoniłem na nie w dzień i w nocy, trzeźwy i pijany, szczęśliwy i smutny, a ta osoba była w takim położeniu, że nie zawsze mogła je odbierać, więc po wielokrotnych upomnieniach, często bardzo gwałtownych, pozmieniała je co do jednego i odtąd mamy taką umowę, że jak zajdzie potrzeba, to ona do mnie dzwoni, nie ja do niej.

– Może zadzwoni?

– Nie. Jest bardzo konkretna. Już zadzwoniła, powiedziała, co miała powiedzieć, i teraz obowiązuje nas milczenie.

Wranicz westchnął i ruszył na obchód. Towarzyszył mu doktor Andrzej Oszczygieł, który też miał dyżur tej soboty i również był przyjacielem pisarza.

– Dziwny gość – mruknął Wranicz w zadumie.

– Damian?

– Tak. Niby znam go od dzieciństwa, a nic na dobrą sprawę o nim nie wiem. Niby pisarz i przed wszystkimi się otwiera, a jest białą kartą.

– Samotnik – stwierdził Oszczygieł.

– Stroni od kobiet?

– Przeciwnie. Tyle że można mieć dużo pięknych kobiet i w dalszym ciągu być samotnikiem.

9

W Łodzi zawsze była cała masa znawców Ziemi Obiecanej, przewodników, historyków, zajmujących się tematem pisarzy i dziennikarzy, amatorów cytujących z pamięci każdą, najmniejszą nawet uliczkę. Autor wszakże ma czelność twierdzić, że żadna z tych, godnych skądinąd podziwu i uznania osób nie znała i nie zna bebeczów Łodzi, a bebeczy mieszczą się poza frontonami, w tajemniczych, zawitych, ponurych zwykle podwórkach.

Przy jednym z takich podwórek mieszkał Artur Nawrot, a teraz łysy i potężny wymuszacz długów prowadził go wąwozem drugiego takiego podwórka.

– Jak mam się do pana zwracać, łaskawco? – zagadnął wymuszacza skołowany aktor.

– Witek.

– Otóż, panie Witku, powiedzmy szczerze, nie chciałbym tutaj być rozpoznany i rozdawać autografów.

– Jasna sprawa! – Z torby, którą miał na ramieniu, wyciągnął kraciatą czapkę z guzikiem na środku i z postrzępionym daszkiem. – Jest czysta, proszę włożyć. Te okulary i tak nieźle pana maskują, ale w niej będzie pan wyglądał jak warszawski gołębiarz.

– Zna pan warszawskich gołębiarzy?

– Paru. Często bywam na Pradze w interesach.

Ładna, przechodząca podwórkiem kobieta spojrzała na Artura zaczepnie, jęcząc nieomal z oczarowania.

– Wypisz wymaluj paryski apasz! – wykrzyknęła.

Gdyby aktor mógł zerknąć w lustro, przyznałby jej rację. Zapytał porywczo:

– Sprzeda mi pan, panie Witku, tę czapkę?

– „Czopka” – odparł z odrobiną przekąsu wymuszacz – od tej chwili należy do pana.

– Serdecznie dziękuję!

– Nie ma za co.

Artura znowu zaczęła suszyć, więc zapytał:

– Da się tutaj strzelić małą lufę?

– Do wyboru, do koloru.

Zeszli klatką schodową do jakiejś piwnicy, bardzo dziwnej, bo nie było w niej komórek ani specyficznych dla takich pomieszczeń zapachów. Szli labiryntem podziemnych korytarzy, które przypominały trochę szyb górniczy, a trochę schron. Tu i ówdzie na suficie świeciły lampki, wskazując drogę do celu. Niewykluczone, że w czasie wojny wydrążyli to Niemcy, którzy kochali takie konstrukcje i jedną z nich zostawili po sobie na tym wzgórzu w parku Poniatowskiego.

Co kilka metrów mijali jakieś czujki, facetów przyklejonych plecami do ściany i obserwujących ich uważnie.

– W porządku, cweluś – uspokajał wymuszacz, wskazując kciukiem aktora.

– Czysty? – dopytywał bardziej nieufny od innych czujka.

– Czysty.

– Domyślam się, że to nielegalne, ale jakież to hazard wymaga aż takiej ochrony? – zaciekawiał się Artur.

– Zobacz pan.

– Mam nadzieję, że nie wplączę mnie pan w kryminalną aferę.

– W żadnym wypadku – uspokajał wymuszacz. – Nic panu nie grozi.

Po kilku zapiaszczonych schodach zeszli jeszcze niżej i stanęli przed metalowymi, pancernymi drzwiami, z którymi miałyby kłopoty brygada antyterrorystyczna, i których pilnował cerber o posturze Mariusza Pudzianowskiego.

– Szacun, Zyga – pozdrowił go wymuszacz długów.

– Czołem, Wituś. – Cerber wystawił kordialnie dłoń, którą wymuszacz, kciukiem do góry, równie serdecznie potrząsnął.

– Jak z frekwencją?

– Full. Ten pan – zmierzył Artura od stóp po głowę – czysty?

– Czy ja kiedyś, Zyga, przyprowadziłem tu trefniaka? – odpowiedział pytaniem na pytanie „Wituś”.

– Ale pięć dych za wjazd trzeba zabulić.

– To mój specjalny gość – interweniował wymuszacz, lecz Artur, nękany teraz jednym tylko pragnieniem: napić się! czym prędzej się napić!, wetknął pięćdziesiąt złotych w kieszeń cerbera.

– Powodzenia – podziękował sobowtór Pudziana.

– Nie będę obstawiał – zarzekał się Artur.

– Tego nigdy nie można przewidzieć. Mam rację, Wituś?

– Oczywiście.

Potem odeszli na bok i Cerber naszeptywał coś wymuszaczowi długów na ucho.

W kieszeni na udzie Artura znowu pulsowała komórka i znowu tego nie wyczuł. Jego myśli skupiały się wyłącznie na wodopoju.

– Idziemy, panie Witoldzie! – ponaglił wymuszacza.

– Już, już! Chwileczkę.

– Jestem zmęczony, muszę napić się i usiąść!

– Obsłużę pana osobiście, ale daj mi pan jeszcze, panie Arturze, kilka sekund.

– Ja w każdym razie wchodzę, z panem czy bez. – Nacisnął klamkę i pchnął ciężkie, pancerne wrota, które, mimo iż nie brakowało mu siły, odchyliły się ledwie o centymetr.

– Chwileczkę. – Uśmiechnięty cerber wymienił z Witusiem parę ostatnich słów i z dziecinną łatwością otworzył „dziewiąte wrota”.

Weszli w półmrok zadymionego, niskiego, ale dość obszernego pomieszczenia. Tylko pośrodku, nad drucianą klatką, płonęła jaskrawym, rażącym światłem ogromna lampa. Wokół klatki można było zobaczyć cały polski przekrój społeczny, od głębokich dołów po same wyżyny.

Były zarośnięte oprychy w dresach i założonych daszkiem do tyłu bejsbolówkach, było paru starej daty zambruderów w pasiastych marynarkach i zsuniętych na czoło czapkach z pomponikiem. Byli w różnym wieku mężczyźni i kobiety z klasy średniej, w ubraniach sztywnych i eleganckich, ale prawdziwego szyku zadawali dopiero gangsterzy w czarnych bądź ciemnogrnatowych garniturach spod żelazka i czarnych muszkach pod białymi różkami koszul.

Nie zabrakło również nabzdyczonych polityków i biznesmenów, nie tylko z Łodzi, lecz i z Warszawy oraz wielu innych dużych miast. Były perełki – znakomity reżyser, sławny piłkarz, przy czym natychmiast trzeba powiedzieć, że nie chodzi o gardzącego tego typu makabrą Jana Tomaszewskiego; aktorka, modelka, projektant mody, właściciel cichej knajpy dla lesbijek i pederastów, pięć czy sześć krzykliwie wystrojonych dziewcząt, kojarzących się z prostytutką, choć siedziały potulnie obok swoich milionerów.

Nigdzie nie było napisu: NIE PALIĆ!

Toteż, parafrazując Witkacego, prawie każdy przedstawiciel niskich, średnich i wysokich sfer „trzymał kumetę u pyska”. Chory na serce obywatel, nawet gdyby jakimś cudem wydostał się stąd, to tylko na noszach. Stres bowiem potęgowały ponadto tajemnicze, groźne skowyty i powarkiwania.

Artur, nim klapnął na jedną z kiepsko oheblowanych ław, też zapalił w owej dosłownie gęstej atmosferze, którą można było kroić nożem, i przyczłapał do prowizorycznego baru, dostrzegając kątem oka, że w spelunie, we wnęce po drugiej stronie klatki, jest jeszcze inny, konkurencyjny zapewne wyszynk.

– Cóż tam chlapniemy, panie kolego, ostro czy na pół gwizdka? – zwrócił się do niego uśmiechnięty od ucha do ucha sprzedawca mordercy cierpień.

– Ostro.

– Czyściutko czy zagranicznie?

– Ma pan whisky?

– Panie kolego – oburzył się szef interesu – niech pan popatrzy na tych bogatych cwaniaków. Szampan i scotch to u mnie podstawa, czyścioch jest dla frajerów.

– To daj pan scotcha.

– Z lodem?

– Jeśli łaska.

– Seta na zaczęcie wystarczy?

– W zupełności.

– Padam do nóżek.

- Co się należy? - Artur sięgnął do kieszeni, lecz powstrzymał go za łokieć wymuszacz długów, który zjawił się ni stąd, ni zowąd u boku aktora.

- Ja płacę, dzisiaj jest pan moim gościem - oświadczył stanowczo. I podał siedzącemu na ławce Arturowi szklanę.

- A pan? - Artur upił łyk ze smakiem.

- Ja w pracy nie piję.

- U Magielińskich też pan nie pił.

- Bo też w pewnym sensie byłem w pracy. Nawiasem mówiąc - przypomniał - w najbliższy piątek wieczorem będą u Magielińskich poprawiny.

- Z jakiej okazji?

- Stefa wystawiła w Domu Kultury swoje bohomyzy.

Powiedział to z taką pogardą, że aktor, choć znowu naprany, wybelkotał:

- Sądziłem, że jesteście w bliskich kontaktach.

- Och. - Machnął ręką wymuszacz - Sam pan wie, jak to bywa z laskami.

Artur dopił szklanę.

- Jeszcze raz?

- Bardzo proszę. Ale... w jakim celu mnie pan tutaj przyprowadził?

- Daj pan sto złotych. - Wymuszacz wystawił płasko szeroką dłoń.

- Po co?

- Żeby odebrać za pół godziny tysiąc.

- Jakim cudem?

- Obstawię za pana u bukmachera.

Artur spojrział na drucianą, rażąco oświetloną klatkę, nad którą dookoła pochylały się głowy. Była za mała, aby mogli walczyć w niej bokserzy, chyba że Pigmeje bądź liliputy.

- Kogo pan za mnie obstawi?

- Pewnego psa, pewniaka.

- To tu odbywają się walki psów?

- Dokładnie.

Artur nie oburzył się, jakby zrobił to z pewnością Jan Tomaszewski, który, gdy był posłem, zabrał ze sobą do kwatery sejmowej pieska. Artur miał z psami na pieńku. W kamienicy, w tej samej klatce schodowej, co Nawrotowie, mieszkała pod nimi piętro niżej czteroosobowa rodzina, która kupiła sobie do kompletu szczenię, owczarka alzackiego. Artur doskonale zdawał sobie sprawę z nieuniknionego rozwoju wydarzeń. Wesoły szczeniaczek błyskawicznie wyrośnie na dużego, groźnego psa, toteż próbował go od małego obłaskawić. Aktor wszakże chadzał trochę inaczej niż reszta domowników; strój, zachowanie, nonszalancja nie przypadły owczarkowi do gustu i kiedy wyrósł na tęgie i zajadłe bydlę, czterokrotnie zaszarżował na Artura, warcząc, szczekając, wyrywając się właścicielom i szczerząc kły.

„Boję się go” – powiadomił Artur pracującego poza Łodzią pana domu.

„Doprawdy nie ma czego” – odparł właściciel.

„Owszem, jest. Syn wychodzi z nim często na spacer bez smyczy i bez kagańca”.

„Zwrócę mu uwagę”.

„Będę wdzięczny”.

Lecz miesiąc później, wczesną wiosną, kiedy Artur wracał z planu filmowego w Warszawie do łódzkiego domu, syn otworzył drzwi i pies wyprysnął jak z katapulty, wbijając paskudne, żółte zębiska w prawe ramię aktora. W tej sytuacji trzeba było zawiadomić policję, co Nawrot zrobił z przykrością, gdyż rodzina była sympatyczna i nie miał z nią nigdy żadnych zatargów.

Został serdecznie za ten incydent przeproszony.

„Całe szczęście, że byłem w marynarce i w płaszczu” – powiedział pani domu, właścicielce owczarka.

„My niedługo się stąd wyprowadzimy” – pocieszała ta pani.

„Gdyby nie marynarka i płaszcz, musieliby mnie zszywać”.

„Jeszcze raz gorąco przepraszam”.

„Ale ja tego psa nie chcę więcej widzieć w tym domu!”

I wiedząc, że bydlę cały czas jest za ścianą, snuł mściwe, obronne warianty. Nie otruje ścierwa, podrzucając mu nafaszerowaną arsenikiem kiełbasę; to nie byłoby szlachetne

i nosiłoby cechy działań zaczepnych. Ale kupi sobie krótki, myśliwski nóż i gdy znienawidzony, parszywy zwierz ponownie go zaatakuje, skłuje mu gardło i pysk i wyłupie oczy. W dalszym ciągu bał się potwora, tym bardziej, że syn ponownie eksperymentował z nim na strychu.

– Są tu owczarki alzackie?

– Zaraz będzie walczył owczarek – odparł zaskoczony nieoczekiwaną odmianą aktora wymuszacz długów.

– Chciałbym to zobaczyć.

– Da pan radę?

– Jak mi pan pomoże, dam.

– No to idziemy. – Ujął silnym uściskiem aktora w pól i poprowadził do klatki.

– Ciasno – szepnął wzburzony aktor.

– Zróbcie miejsce temu panu – ni to poprosił, ni to nakazał wymuszacz.

Oparci łokciami o kamienny, biegnący korytarz wokół klatki murek mężczyźni, a także kilka podekscytowanych kobiet, posłuchali i Artur również złożył ręce na murku. Okulary chroniły go przed oślepiającym światłem i przed ciekawskimi spojrzeniami.

– To są zwykłe psy? – dopytywał sąsiada jakiś młody facet, też debiutujący w krwawej imprezie.

– Skąd! Są szkolone.

– Specjalnie do walki, wujku?

– Tak.

– I kto je szkoli?

– Jest paru macherów w tej branży, a najlepszy z nich to ten siwy gościu w garniturze, Buzdał.

– To ksywa czy nazwisko?

– Nie wiem.

– Wygląda na dżentelmena.

– A co to ma, Grzesiu, do rzeczy?

– I jak one je szkoli?

– Żeby były agresywne, dostają dużo surowego mięsa i wnyki w budach. Są drażnione, bite, klute i bezwzględnie posłuszne

trenerowi i właścicielowi, który zwykle uczestniczy w ćwiczeniach.

– I to wszystko?

– Ale! To dopiero połowa tresury. Bojowy pies uczony jest, jak reagować na sygnały, gesty, dźwięki, słowa, kolory, komendy do ataku i do zaprzestania szarży.

Pijany Artur, który niewiele miał z tego zapamiętać, łowił każde zdanie urzeczony, zastanawiając się, czy pies sąsiadów... ech! To chyba niemożliwe.

– W Anglii pełno jest aren do takich starć.

– Nie tylko w Anglii, lecz my tu w Łodzi gramy dość sprawiedliwie – orzekł wujek Grzesia.

– To znaczy?

– Walczące przeciwko sobie psy muszą być mniej więcej tej samej wagi i tego samego wzrostu.

– Idą na wagę?

– Czasami. Poza tym właściciele z góry zawierają przy świadkach umowę, czy walka będzie do pierwszej krwi, czy do śmierci przeciwnika.

– Są i takie do śmierci?

– Są i cieszą się największym powodzeniem, ale toczą się tylko nocą.

Po dwóch stronach, jeszcze na zewnątrz klatki, dwaj zakapiorni panowie trzymali na smyczach swoich ulubieńców, którzy zapewniali im pieniądze, cichą sławę i emocje. Rosły owczarek, bardzo podobny do tego, który atakował Artura, powarkiwał cicho. Mający stoczyć z nim bój doberman, ulubiona rasa nazistów, skamlał, lecz nie żałośnie, tylko złowieszczo. Jak zwykle przed walką panowała cisza.

Sędzia, bo nie zabrakło również absolutnie bezstronnego sędziego, jakiego próżno by szukać na światowych ringach i boiskach, dał znać i właściciele zdjęli kagańce z psich pysków. Obydwaj przeżegnali się niczym piłkarze przed meczem i, każdy przez inne małe drzwiczki, wpuścili swoje krwiożercze stwory do klatki.

Pięściarze, nim wymienią pierwsze uderzenia, krążą zazwyczaj wokół siebie, taksując się wzrokiem. Psy nie uznają wstępnych manewrów i od razu przystępują do rzeczy. Doberman, szczupły i zgrabny, dopadł owczarka i wbił mu zęby w szyję, lecz owczarek zadarł kosmatą łapę i rozorał przeciwnikowi brzuch pazurami.

Cisza w podziemnym bunkrze pękła jak bańka mydlana. Rozległy się wrzaski mężczyzn, piski kobiet, głuche pomruki zwierząt. Sympatie, w zależności kto na kogo postawił, były podzielone.

- Zagryź go!
- Wykończ!
- Ukatrup ścierwola!
- Od tyłu, od tyłu i za ogon!
- Do łapy się dobierz!
- Capnij za ucho!
- Urwij mu jajca i po krzyku!

Trudno było ustalić, w czym rzecz.

Podzielone sympatie tak czy owak były tylko zjednoczonym, hałaśliwym wybuchem emocji, nie padały bowiem żadne imiona, żadne nazwiska czy choćby „ksywy” odnoszące się do rasy zwierzaków.

- Pierwszej krwi jeszcze nie było? – dociekał młody Grześ.
- Ale będzie – zapewniał wujek.
- Kiedy?
- Jak się szczepią łapami i wgryzą w pyski.
- I który wygrywa?
- Ten, co zostaje na placu boju.
- No dobrze, a zwyciężony?
- Podkula ogon i wraca do nogi pana.
- I pan pociesza i tuli biedaczysko?
- Najczęściej, lecz bywa i tak, że na niego wrzeszczy albo nawet go kopie.
- Potworne!
- Zgadza się.
- Mam nadzieję, że tego nie zobaczę. Ale, wujku, dręczy mnie jeszcze inna sprawa. One teraz, ten doberman i owczarek, nie

walczą na śmierć. Można by powiedzieć w kategoriach bokserkich, że walczą na nokaut, na punkty, lecz nie, aby zabić jeden drugiego.

– Trafne spostrzeżenie.

– Mam dobrego nauczyciela, wujku, jednakże zdarza się przecież...

– Co?

– Że w tej walce na punkty jakiś pies pada nieraz trupem.

– W walkach bokserkich też to się zdarza.

– Lecz bokser walczy z własnego wyboru, psa do tego zmuszają. Czy to w porządku?

– Za wrażliwy jesteś, Grzesiu, żeby to oglądać. Idziemy do domu?

– Tak. Albo nie. Mam nadzieję, że ten owczarek mimo wszystko przeżyje.

– Ostre cięgi obrywa.

– Na trupa, za to, że nie wygrał, też właściciele wrzeszczą i okładają go kopniakami.

– I to kiedyś widziałem – przyznał wujek.

Owczarek alzacki, tęższy na oko od swojego przeciwnika, faktycznie dostawał baty. Zgodnie z życzeniami widzów utykał już na pogryzioną tylną łapę, przekrzywił łeb na skutek poranionej szyi, a jedno ucho zwisało mu smętnie. Wszakże podjudzany wrzaskami pana, wciąż walczył dzielnie i Artur, człowiek o czułym w gruncie rzeczy sercu, zaczął mu współczuć. Sam, jak i „Tomek”, miał kiedyś dwa małe psy i bardzo je kochał; kiedy pomarły, rozpaczał jak po najbliższych członkach rodziny. Pomyślał, że tego owczarka też może ktoś kocha, choćby żona właściciela i jego dzieci? Oby tylko przeżył jakoś krwawą jatkę!

– Dobij parszywca! – pruć się na całą japę pan rozjuszonego dobermana.

– Nie daj się, Czarek! – pokrzykiwał żałośnie opiekun owczarka. – W bebechy go zajedź! W bebechy!

– Dlaczego sędzia nie przerywa potyczki? – dopytywał wujka wstrząśnięty Grześ.

– Nie było krwi.

- Ale przecież wiadomo już, kto zwyciężył.
- Nie wiadomo - zaprzeczył wujek. - Owczarek ciągle walczy i trzyma się na nogach.
- Ostatkiem sił!
- Nie zszedł z areny.
- Zaraz padnie!
- To nie wystarczy. Walczyć, weź zapaśników, można również w pozycji leżącej.

W tym plugawym, zadymionym, odrażającym i posępnym przybytku wydarzyło się nagle coś doniosłego. Zapiękła żądza mordy ustąpiła miejsca wznioślejszym klimatom. Doberman przewrócił owczarka na grzbiet, rozciągnął się nad jego rozchyłonymi, jak nogi u kobiety, łapami i rozszarpał mu pysk.

- Pierwsza krew! - zawrzasnął właściciel dobermana. - Kończ pan, panie sędzio! Zwyciężyłem!

Lecz nim sędzia ogłosił werdykt, wydarzyło się coś niesłychanego. Przednia, porośnięta czarnosiwą szczecina łapa owczarka, sponiewieranego, wydającego już na pozór ostatnie tchnienie, uderzyła z góry prosto w ślepie przeciwnika.

Doberman uniósł zakrwawiony łeb, zakrwawiony pysk i zakrwawiony oczodół, i zaskowytał, tym razem nie złowrogo już, tylko żałośnie. Owczarek tymczasem dźwignął się z mozołem na rozdygotane łapy i z nawykłą, wyuczoną bezwzględnością wyłupił mu drugie ślepie.

- Maładiec! - zakrzyknął pod adresem owczarka rosyjski milioner. - Ruki pa szwam!

- Zamknij się, bo dostaniesz w ryj! - zastopował go łódzki dresiarz.

- Ale umbał! - zarechotał nerwowo inny łódzki cwaniak starej daty.

- Trzeba będzie go uśpić - szepnął do Grzesia przejęty do żywego wujek, mając na myśli dobermana.

- Dlaczego?! - rzucił się siostrzeniec.

- Widziałeś kiedyś ślepego psa?

- Widziałem wielu ślepych ludzi, wujku. Ich także należy uśpić?

We względnej ciszy słycać było szczery, rozdzierający płacz męczyzny, który ukucnął i objąwszy dobermana ramionami, całował go po zakrwawionych, pustych oczodołach.

– Oglądałem niedawno w telewizji paradokumentalny program *Sędzia Anna Maria Wesółowska* – mówił ponuro do wujka Grześ. – Właściciel bojowego, szkolonego do krwawych potyczek pitbulteriera pogryzł jedenastoletnią dziewczynkę i wiesz, ile za to oberwał?

– Upomnienie? Grzywnę?

– Nie, wujku, trzy lata.

– W zawiasach – stwierdził raczej niż zapytał wujek.

– Otóż sprawa polega na tym, że bez żadnych zawiasów, na żywca.

– I dobrze tak, bandycie! – wyrwało się Arturowi, który tym razem, w owej względnej ciszy, poczuł raptem na udzie pulsującą komórkę, a nawet ją usłyszał.

– Halo?

– Pan Artur Nawrot? – zapytał uprzejmie jakiś miły, aczkolwiek nieznanym męski głos.

– A kto pyta? – starał się mówić normalnie, lecz zdawał sobie sprawę, że bełkocze, mamrocze i że ten nieznanym rozmówca już go rozszyfrował.

– Profesor Wranicz z oddziału elektrokardiologii Uniwersytetu Medycznego.

– Ba-dzo mi miło, paanie poesorze – jak zwykle na ostrym gazie połykał niektóre zgłoski. – Czym szaanowemu panu mogę służyć?

– Panie Arturze, jeśli mogę tak zwracać się do pana, zna pan oczywiście Damiana Rossa?

– Oczywiście, to wspaaly pisarz, mój sereczny przyjaciel. Szukałem go wczaoj telefonicznie. Stało się coś?

– Obawiam się, że tak. Stracił dzisiaj przytomność w Manufakturze i leży teraz u nas na oddziale w CKD przy Pomorskiej, piąte piętro.

– Strasznie mi przykro – wykrztusił tonem pijaka, któremu w stanie upojenia nigdy nie jest „strasznie przykro”, zapominając o krwawej jatce i owczarku, do którego znowu czuł nienawiść.

– Jego stan jest bardzo poważny – zakomunikował chłodno lekarz. – Twierdzi, że musi się z panem koniecznie zobaczyć.

– Ale... chyba nie dzisiaj? – przeraził się Nawrot. – Wie pan, paanie ppsorze, ja trochę zaba...

– Wiem – uciął Wranicz. – Jak pan przyjedzie, pomożemy!

– Mnie?

– Panu. Pod warunkiem, że pan pomoże Damianowi. Mówi, że wyłącznie pan może to zrobić.

– No to przyadę.

– Wielkie dzięki. Czekam.

Do diabła! A chciałem sobie jeszcze pogazować – kłął aktor w duchu. Lecz zaraz dopatrzył się w kabale jasnych stron. Coś tam przecież Damian zorganizuje mu na suchy pysk. Choćby flaszeczkę szpitalnego spirytusu, z którym miał już przecież do czynienia.

– Jakiś problem? – Znowu był przy nim wymuszacz długów.

– Przyjaciel mi zachorował; muszę jechać natychmiast do tego szpitala przy Pomorskiej – odparł aktor. – To ten pisarz, Damian Ross, zasłabł w Manufakturze.

– Czytałem parę jego kawałków w gazetach.

– Píše również książki.

– Z książką to ja raczej jestem na bakier. Trzymaj pan. – Wręczył Arturowi pięć dwustuzłotowych banknotów.

– Pan żartuje?

– Bynajmniej. – Słownictwo wymuszacza nie było „bynajmniej” ubogie.

– Ale za co, na miłość boską?

– Wygrał pan.

– To pan wygrał – wzbraniał się Artur.

– Nie. Ja obstawiałem, ale pańskimi pieniędzmi.

– Walka była ustawiana?

– Skądże. – Oczy wymuszacza były czyste jak kryształ.

– Więc jakim cudem przewidział pan zwycięstwo tego wrednego owczarka?

– Nie obstawialiśmy owczarka.

– A kogo?

– Foksteriera, ostrowłosego, zadziornego foksa, nie tę białą, wełniastą, kanapową kukłę.

– Nie widziałem tu żadnego foksteriera.

– W Łodzi mamy jeszcze drugą arenę do psich walk. Obstawiałem korespondencyjnie. To co, panie Arturze? Sam pana do szpitala nie zawiozę, bo mam tu jeszcze sporo roboty, ale zamówię taksówkę, odpowiada?

– I to jak! Długo będę czekał? – Uścisnął przyjaźnie dłoń wymuszacza.

– Ani chwili. Taksiarz będzie czekał na podwórku.

– Jak pan to wszystko załatwia, Witoldzie? – rzekł z autentycznym podziwem aktor.

– Mam kontakty. I wystarczy Witku.

– No to czołem. Panie Witku.

– Bez „pan”. I proszę pamiętać o poprawinach u Magielińskich.

Lżej mi się z nim gadało niż z tym profesorkiem – dokonał konkluzji zapruty w cztery stodoły Artur Nawrot. – Wranicz! Damian często z szacunkiem wspominał to nazwisko. Co on sobie o mnie pomyśli. Znany aktor, a zeszłajał się jak świnia. – Ani razu natomiast, co od dawna mu się nie zdarzyło, nie pomyślał Artur Nawrot o żonie.

10

Roda, opisywana w przewodnikach jako stara rybacka wioska, jest w rzeczy samej rozległym i uroczym kąpieliskiem na greckiej wyspie Korfu u brzegów Morza Jońskiego. Znajdziesz tu trzy duże hotele i małe hoteliki, jak również pensjonaty i domy prywatne z kwaterami do wynajęcia. Jak pragniesz ciszy i spokoju, masz ciszę i spokój, gdyż ruch kołowy rzadko zakłóca asfaltową, biegnącą przez uroczysko drogę. Jak chcesz się bawić, to już lepiej trafić nie mogłeś! Pełno tu barów, pubów, kafejek i restauracji z mechaniczną, a w weekendy również żywą muzyką, więc możesz szaleć nawet późną nocą, bo niektóre czynne są do ostatniego gościa.

Wyspa gładka u brzegów, a w środku górzysta, z tarasami biegnącymi wokół plaż i z ławkami u stóp miłosiernych palm, aby nienawykły do upałów człek mógł zażyć odrobiny cienia, ma jeszcze i tę zaletę, że jak się leży na materacu czy piasku, nie ziewa się z nudów, gdyż cieszą wzrok spowite zwykle lekką mgiełką urwiste wzgórza Albanii.

Wysmukła kobieta, blondynka, opalona na delikatną miedź, rozciągnięta leniwie na leżaku pod parasolem, wpatrywała się z uśmiechem w owe albańskie wzgórza.

– Byłem tam – zagaił czterdziestoletni Anglik, bo na Korfu większość turystyczną stanowią dzieci Albionu.

– Ja też – odparła grzecznie kobieta wyglądająca na czterdzieści pięć lat, choć przekroczyła już półwiecze.

– I co?

– Jestem zachwycona.

– Tąą... Sarandą?

– Tak.

– Brudniej tam niż... tutaj, na Korfu.

– W Anglii też jest sporo brudu.

– Przez imigrantów – zawyrokował z imperialną wyniosłością czterdziestolatek.

– To znaczy? – zaciekawiała się wciąż luźna i uprzejma, paląca leniwie długiego papierosa pani.

– Chodzi przede wszystkim o Arabusów.

– A poza tym?

– Strasznie świntuszą także Włosi, Portugalczycy i Polacy. Pani jest Brytyjką?

– Nie – odpowiedziała zimno kobieta.

– Domyślałem się tego po akcencie. Trochę jakby nowojorski. Dobrze trafiam?

– Powiedzmy.

– Zjemy razem kolację?

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– A to czemu?

– Nie umawiam się z nieznanymi brudasami.

– Więc ja niby jestem brudas?! – zachnął się syn Albionu, wymuskany i wypucowany do połysku.

– Niestety.

– I gdzie, do cholery, zobaczyłaś ten brud?

– Na twoim ramieniu. Ten tatuaż, ta kotwica z łańcuchem jest paskudna i brudna.

– Hola! Nie pozwolę się obrażać! – nastroszył się urażony Angol.

– Jakieś kłopoty? – Do zajętego przez kobietę leżaka podszedł trzydziestoletni dla odmiany chłopak.

– Żadnych kłopotów – uspokoiła dama. – Ten pan zaprosił mnie tylko na kolację. – Mówili po polsku.

– A ty się nie zgodziłaś? – Był naturalnym, krótko ostrzyżonym blondynem o zadziwiająco jasnych, lecz nie błękitnych, ale żółtopiwnych oczach, tego samego koloru, co skóra kobiety.

– Zgadłeś.

– Brawo! Odkąd to jesteś taka powściągliwa? – Chłopak przyklęknął i pocałował zagadkową damę w czoło.

– Ładnie to tak – zwrócił się następnie do Anglika – zaczepiać obce damy na plaży?

– On nie rozumie.

– Myślałem, że to Polaczyszka.

– Anglik.

– To zmienia postać rzeczy.

Wzgardzony syn Albionu, co trzeba, to jednak zrozumiał i odwrócił się do nich plecami, kładąc głowę na podgiętym ramieniu.

– Przystojny gość.

– Z tatuażem.

– Ciekawe, co wygrawerował sobie pod majtkami.

Porozmawiali jeszcze chwilę, uściskali i chłopak odszedł różnym krokiem, wspinając się po kilku schodach na taras. Anglik byłby chyba zdumiony, gdyby zobaczył, że tuż za rogiem czeka na chłopca dziewczyna.

Tajemnicza pani też zaczęła się zbierać. Kobięcie, namiętnej, wielce wszakże sympatycznej palaczce, która zarządzała tym obszarem plaży, oddała filiżankę po kawie, niedopitą butelkę gazowanej wody, plastikowy kubek i paczkę amerykańskich papierosów.

– Och, to naprawdę niepotrzebne – sumitowała się Greczynka, mówiąca biegle po angielsku.

– Potrzebne. Byłaś przez tydzień gościnna i miła.

– Pani jutro opuszcza nasza piękną wyspę?

– Może kiedyś wrócę. Do widzenia.

Machnęła ręką Anglikowi, który odmachął z rezerwą. Na lunch miała jeszcze czas, więc poszła do swojej kwatery i spakowała niewielką walizkę na kółkach. Ludzie zamożni nie muszą dźwigać ciężkich walizek. Jak trzeba, mogą sobie wszędzie coś kupić.

11

Dwaj umundurowani, siedzący w recepcji portierzy nie wpuściliby pijanego w sztok Artura ani do windy, ani na oddział, lecz przy drzwiach czekał na niego Andrzej Oszczygieł, doktor nauk medycznych, wspaniały, jak i Wranicz, elektrokardiolog. Ten czterdziestoparoletni mężczyzna o chłopięcej twarzy liczył sobie metr dziewięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu – dokładnie tyle samo, co Michael Jordan – więc proponowali mu kosza, lecz wolał narty i szusując w Alpach, nabawił się kontuzji biodra, w związku z czym leciusieńko utykał.

Na Oszczygłe nie robili wrażenia ludzie bogaci, sławni, ustosunkowani i potężni; wielu z nich leczył i wszystkich traktował tak samo. Wyciągnął zatem do Artura rękę i powiedział:

– Czołem. Pan Artur Nawrot?

– Tak.

– Idziemy.

Dwaj portierzy wstali odruchowo, lecz uspokoił ich jednym gestem.

– Pan wyaaczy – znowu zaczął połykać zgłoski Artur Nawrot – ale ja trochę...

– Nie ma o czym mówić – pocieszył go lekarz. – Każdemu się nieraz przytrafi.

– Panu też?

– A jakże, panie Arturze. Wcale nawet nie tak rzadko. Żaden ze mnie święty Franciszek z Asyżu.

– Nie lubi paan ptaków?

– Lubię. Na talerzu.

– A co tam u Rossa?

– O tym to już powie panu szef – zakomunikował lekarz, kiedy wysiedli na piątym piętrze z windy.

– Paan nie może?

- Mogę, ale nie teraz. - Pchnął jakieś drzwi, potem drugie i znaleźli się na oddziale. Nawrot cały czas był w okularach i czapce, lecz wieść, że ma się w szpitalu pojawić, już się rozeszła. Popatrywali na niego z nieukrywaną ciekawością lekarze, popatrywały salowe i pielęgniarki, jak również część pacjentów, kobiet i mężczyzn, których było mniej więcej po równo.

- Jest - zauważył z triumfem gruby, obleczony w barchanową piżamę brzuchacz, jakby pierwszy trafił do mety albo odkrył u sąsiada chorobę wrzodową.

- To nie on - zaprotestował inny pacjent w zupełnie innej domowej piżamie i rozdeptanych kapciach.

- Jak to nie! - wybuchnął z nienawiścią odkrywca.

- Nawrot nie chodziłby zalany w wygniecionych spodniach i cyklistówce na głowie.

- Ależ panowie ciszej, ciszej - mitygowała ich zaintrygowana pielęgniarka.

- Czapka i wygniecione spodnie! Też mi argument! Popatrz pan na koszulę i marynarkę.

- Że niby co?

- Nie stać byłoby pana na coś takiego, nawet gdybyś skomasował pan trzy emerytury.

- Patrzta go, znawca się znalazł! Ja, panie, w barchanach nie łążę.

- Ale łążysz pan w złachanych papuciach.

- Dobry wieczór - pozdrowiła Artura z estymą młoda dziewczyna, zapewne studentka któregoś z artystycznych wydziałów, rokująca już sobie bliskie kontakty z gwiazdorem. - Cudownie pan w tych okularach i czapce wygląda - dodała obcesowo.

- Wieszur, ardzo dziękuje - odparł aktor, gdyż był dobrze wychowany i grzeczny.

- Niezła - mruknął lekarz, bardziej chyba do siebie niż do Artura.

- Co jej jest?

- Nie wiem. Wczoraj dopiero ją przywieźli. A oto szef. - Przekazał Artura w ręce przystojnego, szczupłego, nieco powyżej

średniego wzrostu mężczyzny. – Profesor Wranicz.

– Artur Nawrot – przedstawił się aktor. – Najmosniej przeaszam, że ja...

– Pozwoli pan ze mną do gabinetu. – Wranicz ujął go pod ramię i poprowadził korytarzem.

– Daamianem jest źle?

– Nie najlepiej. – Weszli do niewielkiego pokoju.

– Krytycznie?

– Krytycznie to już z nim kilkakrotnie było. Proszę usiąść. – Posadził Artura na czarnym krześle. Sam zasiadł na podobnym i rozkloszował na biurku trzy druki. Nim zaczął, Artur, z pewnością siebie, żeby nie powiedzieć: bezczelnością, która cechuje większość celebrytów, uprzedził go, i to dość niefortunnie.

– W rozmowie ze mną pan proesor był łaskaw powiedzieć „pomożemy”.

– I pomożemy – potwierdził lekarz. – Ale jeszcze nie teraz. Później. Zajmie się tym doktor Oszczygieł.

– Bo chodzi o to, panie pssorze... – uderzył się kantem dłoni w szyję – że gdybym wypił szklaneczkę szegoś mocniejszego, odzyskałbym jasność widzenia.

– Pan chyba oszalał! – oburzył się, głośniej tym razem, dotknięty do żywego kardiolog. – Pan sądzi, że ja tutaj, na oddziale, mógłbym poczęstować pana alkoholem?!

– W Warszaaje lekarze wyciągali mnie sznapsem z opresji.

– Ale tu jest Łódź, nie Warszawa. Nie chcę znać nawet nazwisk tych lekarzy, bo jeśli w ten sposób „wyciągali pana z opresji” na terenie szpitala, to... – Machnął ręką, nie kończąc repliki.

– Strasznie mi przykro – sumitował się Artur. – Nie miaem zamiaru pana obraić.

Wranicz westchnął i złożył druki, zapewne karty choroby. Wprowadzanie pijaka w niuanse medyczne było bez sensu.

– Zadam panu tylko jedno pytanie – zakomunikował głosem zimnym jak lód. – Chce pan pomóc Damianowi Rossowi, czy nie?

– Ależ oczywiście, że chcę! – przytaknął gorliwie Nawrot. – To mój najbliższy przyjaciel!

– Więc niech pan uważnie słucha. Wyjaśnię panu jego sytuację najprostszym językiem. Damian Ross choruje na serce od dwudziestu trzech lat.

– To wiem, ale nie znam szczeóółów, bo on nie lubi móić o swoich przypadłościach i swoich miłościach.

– Przeżył dwa, może trzy zawały – ciągnął Wranicz. – Doktor Oszczygieł wszczepiał mu dwa rozruszniki serca.

– Fajny gość z tego Oszczygła – wtrącił ni z tego, ni z owego Nawrot.

Profesor pominął tę uwagę.

– Dwukrotnie poddano go koronarografii. Miał fatalną frakcję wyrzutową, ech! – skarcił sam siebie – przecież pan nie ma o tym zielonego pojęcia.

– To prawda – zgodził się aktor.

– Tak czy owak jego była żona, lekarz, zawiozła go na operację do Krakowa.

Tu profesor Wranicz popełnił błąd. Zagalopował się, można powiedzieć. W zapijaczonych oczach artysty pojawił się nagle szelmowski błysk.

– A czemuż to nie operowali go w Łodzi?

– To już pytanie do kardiochirurgów.

– A są tacy w naszym wspaniałym mieście?

– Są – przyznał niechętnie Wranicz. – I to bardzo dobrzy.

Dość sceptyczny wobec pijanego aktora, poczuł doń raptem odrobinę uznania. No proszę – pomyślał – facet zaczyna mnie przesłuchiwać.

– On tu u pana leżał?

– U mnie, ale nie tu; wtedy byliśmy jeszcze na Sterlinga.

– I pan profesor – zaczął nagle mówić nieomal wyraźnie aktor – zgodził się na ten wyjazd do Krakowa?

– Tak. Nie tylko się zgodziłem, ale dołożyłem jeszcze karetkę, która mogła jechać w razie czego na sygnale, oraz lekarza dyżurnego i pielęgniarkę.

– To z pana też fajny gość.

Niezrażony tą poufałością kardiolog reasumował zwięźle:

- Damian trafił na stół profesora Jerzego Sadowskiego, szefa oddziału klinicznego Chirurgii Serca, Naczyń i Transplantologii, który wypruł mu z prawej nogi żyłę, otworzył klatkę piersiową i założył bajpasy. Opisuję to, aby pan zrozumiał, w toku nieco wulgarnym i najprostszym.

- Doskonale wszystko rozumiem, panie profesorze - zapewnił Nawrot.

- Szanse, żeby przeżył, były pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, tak przynajmniej Sadowski powiedział Rossowi, ale kiedy rozmawiał ze mną, wyznał, że czterdzieści na sześćdziesiąt.

- Czyli jedną nogą w niebie?

- Coś w tym stylu. Wysiadła jedna z założonych przez Oszczygła elektrod, strasznie niskie ciśnienie i fatalne samopoczucie. Miał nieomal pretensje do Sadowskiego, że go uratował.

- Patrzcie państwo!

- Kraków wyregulował go i wysłał karetką do szpitala sanatoryjnego w Busku. Tam przebywał trzy tygodnie i wrócił do nas, na Sterlinga. My doprowadziliśmy go do niezłej formy fizycznej i doktor Oszczygieł pojechał z nim do Lublina, gdzie w tamtejszym szpitalu klinicznym profesor Andrzej Kutarski, jeden z najlepszych w tej dziedzinie europejskich specjalistów, zainstalował mu operacyjnie, po wymianie martwej elektrody, kardiowerter-defibrylator. Rozumie pan coś z tego?

- Coś tam rozumiem - powiedział nie bez urazy aktor. I zapytał: - Kiedy to było?

- W dwa tysiące dziesiątym roku - poinformował chłodno profesor. - Pięć lat później, w dwa tysiące piętnastym, znowu leżał u nas, tu, na Pomorskiej, i znowu wysłaliśmy go do Lublina z doktorem Oszczygłem.

- W jakim celu? - W Arturze, wciąż pijanym i najwyraźniej rozdrażnionym, znowu zaczęła podnosić łeb bezczelność znanego artysty.

- Profesor Kutarski, najprościej rzecz ujmując, wymienił mu zużyty kardiowerter-defibrylator serca z powodu dysfunkcji elektrody.

- To drogie cacko, taki... kardioterbrylator?
- Bardzo drogie - przyznał spokojnie Wranicz, którego nie wyprowadziło z równowagi jawne i zamierzone grubiaństwo.
- Polskie?
- Amerykańskie.
- Dla wybranych cwaniaków?
- Dla wszystkich bez wyjątku pacjentów, którzy tego potrzebują... Ma pan jeszcze do mnie jakieś pytania?
- Nie, dziękuję - odparł zeźlony Nawrot. Klina! Klina mi dajcie! Nie klina jednak dostał, lecz pouczenie, bo teraz serię niewygodnych pytań zadał mu Wranicz.
- Twierdzi pan, że jest bliskim przyjacielem Damiana Rossa.
- Najbliższym! - zawyrokował bez chwili zawahania Artur Nawrot.
- Zatem... proszę mi łaskawie powiedzieć, czemu, skoro jesteście w tak zażyłej przyjaźni, nie odwiedził go pan w żadnym z wymienionych przeze mnie szpitali, ani w Krakowie, ani w Busku, ani w Łodzi, ani w Lublinie? Nie uważa pan, że ciepłe słowo przyjaciela mogłoby dźwignąć go wówczas na duchu?
- Spotykaliśmy się zawsze w jakimś lokalu bądź też u niego w domu lub u mnie, kiedy akurat nie było żony, bo oni nie przepadają za sobą specjalnie. A w szpitalach...
- No właśnie...
- ...boję się i nienawidzę szpitali. - Nawrot nastroszył grzbiet niczym kogut i dokończył: - Nie należę chyba do wyjątków?
- Nie - punktował go słodko kardiolog. - Lecz jeśli dalej będzie pan tak pił, to chyba trzeba je będzie polubić.
- Mogę wreszcie iść do Damiana!?! - targnął się wysuszony artysta.
- Ależ tak, my powiedzieliśmy już sobie wszystko, co było do powiedzenia. Pani Zosiu!...
- Tak? - W białych drzwiach pokazała się przystojna pielęgniarka w niebieskim fartuszkach - Słucham, panie profesorze?
- Zaprowadź naszego gościa do sali, w której leży pan Damian Ross.

- Oczywiście, panie profesorze. - Nie umknęło doktorowi, który uśmiechał się z ciepłą ironią, że była staranniejsza niż zwykle uczesana i nieco zbyt figlarnie umalowana. - Pan pozwoli. - Spojrzała Damianowi prosto w zasłoniętą okularami twarz.

Aktor wstał nie bez pewnego wysiłku, skinął głową profesorowi i z nieco przesadną galanterią przepuścił przed sobą kobietę w drzwiach.

Kiedy szli obydwoje korytarzem, pod czujnym okiem pacjentów i personelu medycznego, pielęgniarka uśmiechała się radośnie, że to niby jest już z aktorem blisko.

- Autograf dostanę? - wyszeptała zalotnie.

- Zawsze do usług... ale... - Błysnęło mu w głowie, że mógłby poprosić o flaszeczkę szpitalnego spirytusu, ugryzł się jednak w język i zakończył: - ...najpierw wszelako, kochanie, jeśli pozwolisz, zamienię parę słów z moim przyjacielem pisarzem.

- Oczywiście, oczywiście, oto i pański przyjaciel. - Wprowadziła go do dwuosobowej sali, gdzie leżał nieszczęsny Damian Ross podłączony do monitora rejestrującego nieprzerwanie pracę serca i z aparatem tlenowym, podłączonym do nosa.

- Czołem, łobuzie - powiedział wesoło. - Ładnie to tak przerażać kolegów?

- Czołem, wielkie dzięki, że przyszedłeś - odrzekł powoli pisarz.

- Podobno masz do mnie jaką pilną sprawę.

- Owszem, bardzo ważną i bardzo pilną - przytaknął rozwlekłe Damian Ross - wszakże wolałbym porozmawiać z tobą w cztery oczy. - Tu spojrzał prosząco na pielęgniarkę.

Sąsiad pisarza, który siedział na łóżku z wybałuszonymi gałkami i rozdziawioną gębą, łowiący dotąd zachłannie każde słowo, natychmiast podjął walkę o swoje prawa.

- Ja nic nie widzę, nic nie słyszę - jęczał zrozpaczony.

- Dobra, dobra, panie Wiśniewski - mitygowała go wysztafirowana pielęgniarka, przystawiając do łóżka inwalidzki wózek. - No, siadamy, siadamy. Mały spacer doskonale panu zrobi.

- Kiedy ja nie chcę, nie chcę! - bronił się zakochany w sensacyjnych wydarzeniach obywatel. - Przykryję głowę kołdrą, naciągnę na uszy poduszkę i będę milczał jak trup, że widziałem tego aktora.

Protesty jednak nie przyniosły pożądaných rezultatów, gdyż pojawił się doktor Oszczygieł i zaordynował wesoło:

- Zwawo, panie Wiśniewski. Jedziemy na EKG.

- Zaraz przyjdzie żona, co ja jej powiem!?

- A co niby miałby pan powiedzieć? - zdziwiła się serdecznie pielęgniarka.

- Że był tu sławny detektyw z telewizji, a ja nie skombinowałem nawet autografu!

- Wizyta o tej porze? Wykluczone! - orzekła pani Zosia. - Żona dzisiaj nie przyjdzie.

- Pani nie zna tej cholery! Dzwoniłem do niej na komórkę i zapodałem... - Brnął w jakieś kłamstwo, w końcu wszakże cmoknął w sposób nad wyraz przykry: - Jak nie przyjdzie dzisiaj, przyjdzie jutro i zrobi mnie awanturkę.

Słyszeli go jeszcze, gdy pielęgniarka wiozła go już korytarzem do pracowni elektrokardiografii, choć protesty zacichały stopniowo.

- Miły gość - zauważył Artur zgryźliwie.

- W miarę - mruknął pisarz.

- Gotowa drugoplanowa postać do powieści. Ale w czym mógłbym ci pomóc, Damianie?

- Chcę, żebyś kogoś w moim imieniu powitał i odebrał z lotniska.

- Z Okęcia?

- Nie. Z Lublinka.

- To już lepiej, bo nie mam nawet samochodu.

- Co się stało?

- Moja urocza żona pojechała odwiedzić rodziców w Toruniu.

- Nie mogliście pojechać razem?

- Psuje się.

- Samochód?

- Między nami. I kogo ja mam tam na Lublinku powitać?

- Pewną damę.
- Kiedy?
- Jutro w nocy.
- A dokładniej?
- Około dwudziestej czwartej.
- Słuchaj, Damian, powiedz mi szczerze, dlaczego akurat ja powinienem tę damę odebrać?
- Bo tylko ty się do tego nadajesz.
- Nawet w tym stanie? Nie widzisz, że jestem zalany.
- Jutro będziesz trzeźwy.
- Masz do mnie aż takie zaufanie? Skąd wiesz, że prosto stąd nie polecę do knajpy?
- Nie polecisz.
- Ten profesorek powiedział, że jak pomogę ci rozwiązać jakiś tajemniczy problem... nie wspominał o żadnej damie... to on też mi pomoże.
- I pomoże, tylko nie żaden profesorek, Arturze, a profesor, znakomity kardiolog – mówił z trudem wzburzony Damian Ross.
- Zadziera nosa. Obsztorcował mnie, morały mi prawił, kielichem nie poczęstował, co by mnie postawiło na nogi.
- Po pierwsze, Artur, to nie on zadziera nosa, lecz ty. Naprawdę sądzisz, że na świecie ważni są tylko aktorzy, najczęściej błazny, różne męskie i kobiece kreatury, tak wymałpiałające się na dużych i małych ekranach, że gdy patrzę, to płonę ze wstydu?
- Nie zapominaj – odciął się oburzony Artur – że to wy, chudzi zazwyczaj i anonimowi literaci, piszecie dla nas te idiotyczne kwestie.
- Masz rację – przyznał lekko zadyszany Damian. I zapytał: – Naprawdę sądziłeś, że Wranicz da ci sznapsa?
- A czemu nie? Jak pomoc, to pomoc.
- Nie o takiej pomocy myślał.
- A o jakiej?
- Doktor Oszczygieł wytłumaczy ci wszystko. Na razie jednak – westchnął Damian – wróćmy do powitania damy na Lublinku.
- Znam ją? – zapytał obcesowo Nawrot.
- Nie.

- I nie widziałem jej nigdy?
- Tego nie powiedziałem – odparł znużonym już głosem pisarz.
- Więc już wiem, o kogo chodzi! – Jak większość amatorów mordercy cierpień Artur był natarczywy, Damian natomiast coraz bardziej zmęczony, choć sprawę zagadkowej damy bezwzględnie musiał doprowadzić do końca.
- Odbierzesz ją? – próbował wydusić z przyjaciela solenne przyrzeczenie.
- To ta pani, z którą pokazałeś się ukradkiem w Galerii Łódzkiej, a obydwójce mieliście takie miny jak przed planowanym morderstwem?
- Niech ci będzie – westchnął zrezygnowany pisarz. – To ta pani.
- I czemu robisz z tego taki rebus?
- Bo ona przyjeżdża tutaj incognito. Nie życzy sobie, aby ktokolwiek o tym wiedział. Gdyby zatrzymała się w hotelu, zostałby po tym jakiś ślad, więc wynająłem jej prywatny apartament. Zanotuj adres, ot, choćby na tej serwetce.
- Artur nabazgrolił na chusteczce do nosa nazwę ulicy oraz numer domu i mieszkania.
- Powiedz mi jeszcze... – zaczął namolny aktor, lecz nie skończył, gdyż w drzwiach stanął nagle olbrzymi i pogodny jak zawsze doktor Oszczygieł.
- Damian! – huknął. – Dość tej debaty. Musisz odpoczywać.
- Jeszcze tylko chwila, Andrzeju. Jedna chwila.
- Wiśniewski chce wracać do łóżka – nacierał lekarz. – Zaczyna się pieklić.
- Już kończymy, Andrzejk. Daję słowo.
- A pana, panie Nawrot, proszę później do mnie.
- W jakim celu? – przestraszył się aktor.
- Chcę pana odtruć.
- Na czym to polega?
- Dostanie pan kroplówkę z glukozy i elektrolity.
- I to pomoże?
- Jutro będzie pan jak nowy.

Może Pan Bóg Wszechmocny zwał mi na łeb tego cholernego Damiana – pomyślał. – To szansa; w środę muszę być na planie w Toruniu. Szlag z gorzałą; do diabła z Krystyną; ten Lublinek też nie musi być najgorszy.

– Ta dama jest łodzianką? – zagadnął znacznie już pogodniejszym tonem.

– Była łodzianką – mruknął niechętnie pisarz.

– A teraz?

– Teraz mieszka w Stanach.

– U-cha, cha. Czy to nie chodzi przypadkiem o tę starszą troszeczkę od ciebie panią, w której byłeś beznadziejnie zakochany przez dwadzieścia parę lat?

– O nią.

– Czemu, biedny Damianku, zaciągałeś zawsze waszą miłość kołdrą tajemnicy i milczenia?

– Tutaj, w Łodzi – westchnął pisarz po raz któryś tam z rzędu, wiedząc, że w obecnej sytuacji dłużej już milczeć nie podobna – miała męża i dziecko; tam, w Ameryce, też ma zazdrosnego męża, ustosunkowanego Polaka z mackami w Łodzi.

– No to afera zaczyna się klarować – przyznał Artur. – Rozumiem, że musicie zachować dyskrecję, w dalszym ciągu nie rozumiem jednak, dlaczego ja, a nie ktoś inny, mam akurat odebrać kobietę. Jestem najlepszy?

– Jesteś najgorszy, ale... jedyny. Ona jest znana w tak zwanych sferach. Jej pierwszy mąż, z którym się rozwiodła, wciąż nie może o niej zapomnieć i zatłucze własnoręcznie każdego, kto do Aldony podejdzie na krok.

– Aldona ma na imię? A nazwisko?

– Jancensen.

– Z drugiego męża? Mówiłeś, że to Polak?

– Bo Polak. Niegdyś Jan Janicki, obecnie John Jancensen.

– Najmocniej przepraszam, całuję rączki! – Czerwony z oburzenia sąsiad pisarza wtarabanił się o własnych siłach do sali i rozłożył na łóżku. – Nic nie widzę, nic nie słyszę, ale później poproszę szanownego pana komisarza o autograf. – I „zaciągnął

się” po uszy kołdrą tak, jak kołdrą tajemnicy i milczenia zaciągnął pisarz swoją długoletnią miłość.

– Dzwoniłeś do niej, aby uprzedzić, że nie ty osobiście, lecz ja odbiorę ją z lotniska? – zapytał jeszcze szeptem aktor.

– Nie.

– Czemu?!

– Bo nie znam jej telefonu.

– Ty chyba stroisz sobie ze mnie żarty?! Telefonu nie znasz?! To jak wy się kontaktujecie?!

– Ona do mnie dzwoni.

– A ty do niej nie możesz?

– Kiedyś mogłem – mruknął i powtórzył mniej więcej to, co powiedział Wraniczowi. – Znałem numery wszystkich jej telefonów i wydzwaniałem w dzień i w nocy, trzeźwy i pijany, szczęśliwy i sponiewierany, lecz pewnym osobom w rodzinie i w pracy trochę to przeszkadzało, więc musiała je zmienić, a te nowe zastrzec tak perfidnie, że nie trafi nawet FBI.

– Przykre. No to trzymaj się, przyjacielu!

– Czołem. I z góry dziękuję.

– Nie ma sprawy. Lecę teraz poszukać tego olbrzyma Oszczygła.

– A mój autograf?! – zawrzęsnał Wiśniewski, który jednak ściągnął kołdrę z uszu.

– Dostanie pan, ja tu przecież jutro rano wrócę.

Był już w drzwiach, kiedy pisarz zatrzymał go jeszcze na chwilę.

– Masz tu klucze od mojego forda.

– Cały czas ten sam stary grat?

– Zgadłeś. Stoi na parkingu przed Manufakturą.

– Słuchaj, Damian, bez urazy, ale może lepiej będzie, jak pojedę po nią na lotnisko taksówką?

– Będzie gorzej. Grasz w kryminałach, więc powinieneś wiedzieć. Taksówki są wredne i też zostawiają zawsze po sobie jakiś trop.

12

Jeśli w dużym mieście, takim jak Łódź, pojawia się ktoś obcy – nie Murzyn, nie Azjata, nie żaden inny naładowany Hindus czy Arab, lecz rdzenny Polak – jego obecność natychmiast zostaje odnotowana, przy czym nie chodzi tu o agentów policji, nie! nie!... nie o agentów tu chodzi, tylko o mieszkańców owego miasta, wychwytyjących momentalnie jakąś pobratymczą odmienność.

Człowiek ten mówi przecież bez akcentu po polsku, niby tak samo jak każdy łodzianin. To, co nosi na nogach i na karku, możesz kupić w każdym łódzkim sklepie, choć trochę inaczej może dobrał kroje i kolory. Idzie też pozornie normalnym łódzkim krokiem, ale jakież to łodzianin maszerujący leniwie Piotrkowską wgapia się zachłannie we frontony mijanych kamienic?... Nie wypytuje nikogo o drogę, o kina, o hotele, o restauracje, w których można dobrze zjeść, i o kasyna, w których można pograć sobie w ruletkę, a zatem mieszka tutaj albo musiał tu już kiedyś być. Tak czy siak ma w sobie jakieś obce, niełódzkie geny, jakieś zmutowane odruchy, a ludzie to bezbłędnie wyłapują i przyglądają się facetowi z ciekawością.

W końcu czerwca dwa tysiące szesnastego roku na jednej ze śródmiejskich łódzkich ulic zmaterializował się tego typu osobnik. Był to wysoki, krótko ostrzyżony blondyn, jakieś metr osiemdziesiąt cztery centymetry wzrostu, szczupły i złociście opalony, przed trzydziestką zapewne, o bardzo jasnych i dziwnych oczach, gdyż nie były one ani błękitne, ani zielone, lecz żółtopiwnie, tej samej barwy co jego wypieczona słońcem karnacja.

Z szerokiej i głośnej alei, której patronuje Kościuszko, młodzieniec ów zboczył w ten nad wyraz urokliwy pasaż przy 6 Sierpnia. Znajdziemy tam wystawione na chodniku stoliczki i krzesła dwóch restauracji, a także drewniane ławki publiczne dla tych, co nie chcą jeść i pić, tylko odpocząć.

Podobny woonerf, skoro przekroczysz Piotrkowską, snuje się leniwie ulicą Traugutta. Kiedyś rozrabiały tu samochody, tak samo zresztą jak w bliźniaczym pasażu, teraz przejedziesz od biedy rowerem, deskorolką czy wracającą sensacyjnie do łask hulajnogą, wszakże trasa przeznaczona jest głównie dla pieszych, choć auto, zygzakami, też się przeciąśnie.

Nasz młodzieniec, bo co to jest trzydzieści lat, a może dopiero dwadzieścia dziewięć, ściągał na siebie łakome spojrzenia wszystkich bez wyjątku kobiet. Jeśli miał uszy w porządku, słyszał zapewne westchnienia i szept:

- Ale ciacho!
- Głowę można stracić!
- Już ty mi tutaj nie gadaj o głowie!

Słyszał, czy nie słyszał, w niebieskich adidasach, w niebieskiej bluzie, białym podkoszulku i luźnych, beżowych, sięgających ledwie kolan spodniach – co było sprzeczne z modą, bo młodzież paraduje dzisiaj w obcisłych, ciemnych gaciach – przedefilował przez obywa woonerfy i odbił w prawo, w ulicę Sienkiewicza. Wyglądał na człowieka zamożnego, którego stać na hotel, niekoniecznie ten najdroższy przy Piłsudskiego, lecz w Savoyu czy Grandzie w weekendy można dostać pokój w cenach promocyjnych. On jednakże z sobie tylko wiadomych powodów wszedł do bramy domu, gdzie w oknie na drugim piętrze widniała tablica: DO WYNAJĘCIA

Klatka schodowa była czysta jak w szpitalu. Masywne, drewniane drzwi z mosiężnym numerem 17, przed którymi stanął, otworzyły się, nim wcisnął guzik dzwonka, i wyrósł w nich korpulentny siedemdziesięciolatek o czerwonych uszach, wydętej dolnej wardze i siwiutkich resztkach włosów.

Było to owo sobotnie, łódzkie popołudnie, kiedy nie zaczęła się jeszcze zabawa, kiedy nie ruszyły jeszcze knajpy i dyskoteki, kiedy w niektórych domach kończono dopiero spóźniony obiad, a głowa rodziny marzyła o pokrzepiającej drzemce lub o wypalonym na balkonie papierosie, co w łódzkich familiach jest zwyczajem, który z wolna przechodzi w obyczaj.

Tego dnia, w sobotę, i o tej porze niechętnie wpuszcza się obcych do środka, raz: że przeszkadzają, dwa: że mogą być niebezpieczni, nie są bowiem ani z poczty, ani od liczników gazu, zaś każdy może wyjąć zza pazuchy kolbę i zacząć strzelać. Zażywny siedemdziesięciolatek wszelako nie przejawiał najmniejszych nawet oznak niepokoju i na „dobry wieczór” młodzieńca odpowiedział rzeczowo:

– Dobry wieczór, co mogę dla pana zrobić?

– Chciałbym wynająć kwatere – odparł układnie młodzieniec, stojąc poza progiem i czekając na zaproszenie, które jeszcze nie nastąpiło.

– Na długo? – Starszy pan taksował go przenikliwym wzrokiem.

– Sądzę, że na tydzień, jeśli oczywiście warunki będą mi odpowiadać.

– A czego pan oczekuje?

– Pokoju z oddzielną łazienką.

– To akurat dobrze pan trafił, mam coś takiego – rzekł gospodarz, wciąż bez gestu zaproszenia.

– Mógłbym zobaczyć?

– Naturalnie. – Miły głos pana kontrastował troszeczkę z jego bojową aparycją. – Ale przedtem chciałbym zadać panu kilka pytań.

– Słucham uważnie.

– Jest pan łodzianinem?

– W pewnym sensie. Urodziłem się w Łodzi, lecz od dwudziestu pięciu lat mieszkam w Gorzowie Wielkopolskim.

– I co pana do nas sprowadza?

– Dziewczyna. – Uśmiechnął się młody.

– Czemu pan wobec tego nie zatrzymał się u niej? – drążył bez nadmiernej finezji gospodarz.

Na gładkim czole młodzieńca pokazała się pierwsza zmarszczka zniecierpliwienia i złości. W żadnym hotelu nie był tak maglowany, no, ale hotele mają swoich ochroniarzy, a tu zaawansowany wiekiem jegomość musi chronić sam siebie.

– Bo nie jesteśmy jeszcze formalnie zaręczeni, a ona ma surowych rodziców – wyjaśnił chłodno gość.

– To bardzo rozsądne – stwierdził gospodarz.

Tę uwagę skwitował młodzieniec grymasem ust. Widać było, że zaraz odwróci się na pięcie i odejdzie. Stary wyczuł to, ale do końca grał swoje.

– Dysponuje pan jakimś dokumentem tożsamości?

– Paszportem. – Opalona dłoń sięgnęła do wewnętrznej kieszeni w bluzie i czujne oczy starego zwęziły się z przerażenia. Już miał zatrzaskać drzwi, lecz w opalonej dłoni rzeczywiście pojawił się paszport.

– Pan będzie łaskaw wejść i obejrzeć to lokum – powiedział układnie.

Młody w milczeniu przestąpił próg i ruszył za gospodarzem w głąb długiego, wąskiego korytarza. Lewa strona ściany była ślepa, po prawej, przylegając do siebie, ciągnęły się szeregiem: ustęp, duża łazienka, duża kuchnia i cztery obszerne pokoje, przy czym ten ostatni, największy, wyposażono w drugą, małą łazienkę z prysznicem, sedesem i umywalką. I tu miał zamieszkać nowy lokator.

– Odpowiada panu? – zagadnął stary.

– Tak – odparł krótko młodzieniec, rozglądając się dookoła. Mimo iż nad Łodzią świeciło wciąż gorące, czerwcowe słońce, zawieszona teraz nad Retkinią, w domu było mroczno, pusto i cicho.

– Te drzwi – wskazał stary koniec korytarza – wychodzą na drugą klatkę schodową, którą można zejść na podwórko. Jak dobijemy targu, dam panu klucz i będzie pan całkowicie niezależny.

Gość z zadowoleniem odnotował tę informację, czego jednak nie okazał, i strzelił znienacka:

– Pan mieszka tu sam?

W oczach starego znowu zapłonęły iskierki strachu.

– Nie – odrzekł drżącym głosem, przetykając głośno ślinę. – Z żoną, córką i wnuczką.

– Jakoś ich nie widziałem.

– Pojechały do Wytwórni na koncert Michała Urbaniaka.

– Ale wrócą?

– O, tak, wróć, wróć – odzyskiwał trochę wiarę starszy pan.
I przystąpił do ataku:

– Pan tak zupełnie na goło, bez bagażu?

– Bagaż przyniosę jutro – oświadczył sucho nowy lokator.

– A gdzie go pan, za przeproszeniem, zostawił?

– U dziewczyny. Oddaj pan paszport.

– Ma pan wizę amerykańską – zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

– Owszem.

W oczach gospodarza chłopiec nie przypominał ani urzędnika, ani komornika, ani gliniarza czy też pracownika uniwersytetu. Był, jak to mawiają dzisiaj, playboyem: bawidamkiem, rozpustnikiem, hazardzistą. Trzeba będzie uważać na Kasieńkę, której uda i brzuch grzeją się nie tylko w słońcu. Tacy ludzie maczają palce w narkotykach.

Wisiało już w powietrzu to pytanie, wszakże młodzieniec uprzedził je, czytając w myślach rozmówcy:

– Nie biorę i nigdy nie brałem.

– Czego? – zdumiał się stary.

– Narkotyków. I nie handluję nimi, jeśli o to chodzi.

– Czy ja o to pytałem?

– Nie, ale pan myślał.

W gruncie rzeczy miły chłopak – deliberował stary. Gładkie maniery, przyjemna powierzchowność; w sam raz na męża dla Kasieńki, która jeszcze trochę, a zostanie starą panną i o prawnukach będzie mógł sobie najwyżej pomarzyć. Nie ma pracy i nie ma forsy zapewne, bo inaczej stanąłby w hotelu, ale pracę to ja mogę zawsze mu znaleźć.

I zapuścił sondę:

– Biorę pięćdziesiąt złotych za dobę.

– Zgoda – nie targował się gość.

– Czy mógłbym prosić o jakąś zaliczkę?

– Ależ naturalnie. – Opalona ręka z tej samej kieszeni, co paszport, wyjęła rulon pieniędzy, furę, jakiej stary nigdy nie widział na żywo. Były to banknoty dwustuzłotowe, lecz w środku

mogły być również dolary i euro. Boże! – Oto dwie setki za pierwsze cztery dni.

– Niebezpiecznie chodzić po mieście z taką forszą – zauważył stary, chowając pieniądze.

– Lubię mieć przy sobie trochę drobnych – tłumaczył bez ironii młodzieniec. – Teraz poproszę o ten klucz na kuchenne schody, bo muszę coś zjeść.

– Gdzieś około dziewiątej moje dziewczęta wrócą z koncertu, więc serdecznie zapraszam na kolację – wylał swoje uczucia stary.

– Wielce to dla mnie zaszczytna propozycja, ale mam już inne zobowiązania i zmuszony jestem odmówić.

– Może innym razem?...

– Właśnie, może innym razem. Z pewnością będzie bardzo miło poznać pańskie „dziewczęta”. – Wziął klucz, otworzył kuchenne drzwi z taką wprawą, jakby już to robił wielokrotnie, i zginął staremu z pola widzenia.

13

Artur ocknął się w niedzielę, o piątej rano, jak wskazywał przeniesiony na prawą rękę zegarek. W lewej tuż nad kciśnią, w nabrzmiałej żyłce sterczała igła z wigówką, i poczuł się nagle niebywale szczęśliwy.

Pierwszą jego myślą było, kiedy patrzył na uczeponą stojaka, pustą już butlę z glukozą, że jest w dziwny sposób trzeźwy, a drugą, że przespał wieczór i noc, co mu się po intensywnym pijaństwie nigdy nie zdarzało. Zawsze kiedy zmuszony był odciąć się brutalnie od gazu, wpadał w dwudniową, koszmarną bezsenność, a tu proszę! Nie tylko jest trzeźwy, ale w dodatku wyspany.

Wielkie jednak cuda sprawiają lekarze! Dziś w nocy odbiorę tę staruszkę Damiana. W środę na toruńskim planie pokażę temu nabzdyczonemu reżyserkowi, jak się gra. Krystyna też oberwie za swoje. Chcesz rozvodu, proszę bardzo, ale wezmę najlepszego papugaja i opędzuję cię do suchej nitki.

Czuł oprócz szczęścia piekący wstyd, ogromną wdzięczność i wyrzuty sumienia.

Jak mogłem się tak zachować?! Z nas dwóch to Wranicz był prawdziwym dżentelmenem, nie ja. Wynagrodzę mu to jakoś. Pieniądzy nie przyjmie, ale przyklęknę, pocałuję, choćby przy świadkach, w łapę, a potem wyszukam najdroższą i najlepszą flachę, jaka jest w tym mieście. A drugą dostanie Oszczygieł, dwumetrowiec ukochany! Próżno by szukać w Warszawie takich facetów.

Ściągnięty magnesem telepatii „ukochany dwumetrowiec” wszedł zamaszystym krokiem do pokoju. Był po męczącym, nocnym dyżurze, lecz wyglądał tak świeżo, jakby przed chwilą wstał z łóżka.

- Jak się czujemy? – zapytał bezosobowo.
- Fantastycznie, drogi panie doktorze!

- Główka nie napierdala?

- Wprost przeciwnie. - Chryste, ale facet wali!, przemknęło Arturowi przez myśl.

- No to można szurać do domu. Tu ma pan numerek, ubranie odbierze pan w szatni.

- Ja jestem na kardiologii?

- Na internie.

- Legalnie?

- Można tak powiedzieć. W recepcji wystawią panu rachunek, który pan zapłaci w kasie.

- Dużo?

- Ze trzy setki.

- Zdzierzę, ale jak ja odwdzięczę się panu, doktorze, i profesorowi?

- Dobre słowo wystarczy. Aha, byłbym zapomniał. Wczoraj wieczorem pytała o pana jakaś kobieta.

- Stara?

- Młoda.

- Przedstawiła się?

- Powiedziała, że od Magielińskich dzwoni i że taki skurwysyn jak pan skojarzy.

Artur zachichotał. Jak ona miała na imię? Lolita, Jośka? Smakowity kąsek. Chętnie by ją kiedyś jeszcze dziabnął.

- A co z Damianem?

- Źle.

- To znaczy?

- I fizycznie, i mentalnie.

- Mógłbym go zobaczyć?

- Po załatwieniu formalności. Nawiasem mówiąc, majaczył pan w nocy przez sen o pogryzionych psach.

- To o czymś świadczy?

- Nie jestem psychiatrą, lecz miał pan chyba z nimi jakiś nieprzyjemny incydent.

Mimo nazbyt może poufałego traktowania pacjentów doktor Oszczygieł był lekarzem uczynnym. Odprowadził Artura do szatni i na recepcję, gdzie Nawrot wraz z rachunkiem otrzymał

informację, że kasa, w której powinien zapłacić za usługę medyczną, czynna będzie dopiero w poniedziałek.

– Ależ oczywiście, oczywiście, że przyjadę jutro i zapłacę – zapewniał gorąco urzędującą w recepcji pielęgniarkę.

Nieco zaspana po całonocnych dyżurze kobieta odzyskała przytomność.

– Pan jest tym sławnym aktorem? – upewniała się jeszcze?

– Nie wiem, czy tak znowu sławnym, lecz bez wątpienia żyję z występów na telewizyjnych i filmowych planach, a czasem również na deskach niektórych teatrów.

– Mogłabym prosić o autograf?

– Natychmiast!

Podpisał się zamasyście, po czym odszukał na piątym piętrze salę, w której leżał cały czas pod kroplówką Damian Ross. Spał, oddychając ciężko i nieregularnie, natomiast Wiśniewski „jechał sleepingiem”, chrapiąc wstrząsająco.

– Ciii. – Przystojna pielęgniarka położyła palec na ustach. – Niech go pan nie budzi.

– Nie mam takiego zamiaru – uspokoił ją Nawrot. – Proszę mu, jak się ocknie, powiedzieć, że ze mną wszystko w porządku i że wywiążę się ze swoich wobec niego zobowiązań.

Złożył jej na kartce swój podpis, zaś na drugiej autograf dla Wiśniewskiego i opuścił szpital, kierując się na postój taksówek.

Pani Aldona Jancensen spędzała swój ostatni dzień w Rodzie u swojej przyjaciółki, Angielki, Sandy Gwennell, właścicielki uroczego, niewielkiego lokaliku „Sandy’s Arms”, mieszczącego się w wąskiej, prowadzącej na plażę uliczce nieopodal skromnego, greckokatolickiego kościółka, w którym, podobnie jak u Sandy, bywała nieomal codziennie.

Zaprzyjaźniła się podczas tygodniowego w tej miejscowości pobytu nie tylko z Sandy, lecz i z innymi Brytyjczykami, tymi, którzy uciekając przed angielską szarżą, przed chłodem i mgłą, osiedlili się tutaj na stałe. W „Sandy’s Arms” bywali wyłącznie Brytyjczycy, również, jak i ona, turyści, bowiem nie najmłodsza już właścicielka była wobec nich wyjątkowo gościnna i serdeczna.

U Sandy mogłeś dobrze zjeść, choć wyłącznie na zimno, i dobrze wypić, przy czym oprócz firmowego wina, piwa i greckiego „mordercy cierpień” serwowała także w soboty i niedziele swoje kompozycje, między innymi bazującą na miejscowych owocach sangrię.

– A więc wyjeżdżasz dzisiaj? – zwróciła się z pewnym smutkiem do Aldony.

– Niestety.

– I co? Do Londynu, a z Londynu do Stanów?

– Nie. Nim wrócę do Stanów, wpierw muszę polecieć do Polski.

– Masz tam kogoś?

– W pewnym sensie.

Wzorowo wychowana Angielka, która raz w roku, na Boże Narodzenie, również od trzydziestu lat leciała z Korfu do Kentu w południowej Anglii, aby odwiedzić dzieci i nacieszyć się wnukami, nie ciągnęła Aldony za język. Aldona jednak czuła potrzebę zwierzeń.

– Zachorował pewien mój bliski znajomy.

– Musiał być bardzo bliski – zauważyła taktownie Angielka, mrużąc oko.

– Bardzo – westchnęła Aldona. – Znałam go, jeśli wiesz, o co chodzi, ponad dwadzieścia lat.

– Wiem, o co chodzi.

– Będę tęsknić za Korfu, a szczególnie za Rodą i za twoim pubem.

– Może tu jeszcze kiedyś wrócisz?

– Niewykluczone. W każdym razie bardzo bym chciała. Czy mogę polecić twój pub znajomym?

– Ależ tak! Wszyscy są mile widziani.

– Słuchaj, Sandy – ściszyła odruchowo głos Aldona. – Jest jedna rzecz. Mam bardzo zazdrosnego męża. On wie, że poleciałam z Nowego Jorku do Londynu, gdzie mam przyjaciółkę lekarzkę, i że z Londynu przyleciałam tutaj, na Korfu. Nic nie wie natomiast, że z Korfu zmuszona jestem polecieć na trochę do Łodzi. To takie miasto w Polsce, niegdyś drugie największe w kraju.

– Coś słyszałam. – Kiwnęła głową Angielka.

– Otóż, droga Sandy, gdybym zjawiała się tu rzeczywiście kiedyś z mężem, nie wspominaj, broń Boże, o tej Łodzi.

– Jasne. – To dla prostolinijnej Angielki było jeszcze do przyjęcia.

– I powiedz mu, gdyby wypytywał, w razie czego, że ja opuściłam Rodę nie w niedzielę dwudziestego szóstego czerwca, lecz tydzień później, w pierwszą lipcową niedzielę. On może do ciebie zadzwonić.

To się już Sandy nie podobało.

– Wolałabym – oznajmiła, marszcząc brwi. – żebyś mnie do takich spraw nie mieszała.

– Gniewasz się?

– Nie, ale nie chcę mieć nic wspólnego z intrygą.

– Bo widzisz, ten mój wypad łączy się nie tylko z uczuciami. Muszę jeszcze załatwić tam...

– Ani słowa więcej! – ucięła Angielka. – Wypijesz na pożegnanie?

- Czy ja wiem? - broniła się nieszczerze Aldona. - Po drinku miewam szalone pomysły.

- Więc może raczej odpuść. Podam ci herbatę z mlekiem.

- To też, ale jeden whisky przed lotem nie zaszkodzi.

W sumie były trzy „whiskacze” i w autokarze, który wraz z innymi pasażerami wiozł ją na lotnisko, była lekko zawiana. Po odprawie, długiej i męczącej, kiedy znalazła się na pokładzie samolotu, zmorzył ją nieco erotyczny sen. Obudziła się na lotnisku w Rzeszowie, gdzie część lecących z Korfu pasażerów wysiadła, ale parę osób wsiadło. Za niespełna pół godziny mieli lądować na Lublinku w Łodzi.

Szkoda jednak tego Angola z Rody - myślała. - Był całkiem do rzeczy. No, ale Damian, chociaż chory na serce, zawsze był do rzeczy. Oj, kochanie, tej nocy nie będziemy na siebie narzekać.

Jeden z panów, który wszedł na pokład samolotu w Rzeszowie, usiadł obok niej i wyciągnął dyskretnie z kieszeni płaską „unijkę”, dwieście gramów szkockiej morderczynie cierpień, jakimś cudem przemyconej na pokład. Bez wątpienia był to fachowiec najwyższej klasy, gdyż pod pretekstem, że musi pewnie zażyć lekarstwo, poprosił sprawdzającą pasy stewardesę o szklaneczkę wody. Kiedy dziewczyna spełniła jego prośbę, upił z plastikowego kubeczka łyk, wlał do niego po brzegi morderczynię cierpień i delektował się „lekarstwem” bez pośpiechu.

- Bardzo sprytnie - pochwaliła go Aldona.

- Ano, trzeba sobie jakoś radzić - stwierdził pan dobrze ubrany, w średnim wieku, o miłej twarzy, i otaksowawszy Aldonę pełnym uznania wzrokiem, zapytał: - Dziabnie pani?

- Czy ja wiem? - użyła tego samego zwrotu, co u Sandy w Rodzie.

- Proszę się nie krępować, widać przecież, że jest to pani potrzebne.

- Ale tak... z jednego kubeczka?

- Zaraz poprosimy o drugi.

Przywołał stewardesę, która leciała z nimi dopiero od Rzeszowa, i po chwili, powtórzywszy ten sam manewr co

sympatyczny pan, Aldona, istotnie trochę „wysuszona”, zażyła lekarstwo.

15

Artur Nawrot przyjechał na Lublinek gruchotem Damiana już o dwudziestej trzeciej piętnaście, chociaż Aldona przylecieć miała dopiero o północy. Zaparkował na wyznaczonym ku temu miejscu przed budynkiem dworca. Był tu po raz pierwszy i zaskoczyła go panująca dookoła czystość i porządek. Kiedy wszedł do środka, zdziwił się jeszcze bardziej. Do ciężkiego diabła! Kto by przypuszczał, że Łódź dysponuje takim wspaniałym, dużym lotniskiem! Stanowiska odpraw bagażowych i celnych, okienka odpraw paszportowych, kasy, toalety, wygodne i estetyczne ławeczki dla podróżnych, elektroniczne tablice z wykazem lotów, polskie i angielskie oznakowania na każdym kroku, tak, że nie sposób człękowi zabłądzić; punkty informacyjne i sanitarne dla pierwszej pomocy, słowem: luksus, jakiego próżno by szukać na wielu zagranicznych lotniskach, w Egipcie choćby, Turcji czy Maroku.

Jedno wszakże było tu nad wyraz przykre. Zaniedbane, zagraniczne lotniska, brudnawe, zasypane na zewnątrz petami, puszkami po zimnych napojach, opakowaniami po żarciu i wszelkim innym paskudztwem – są jednak w dzień i w noc zatłoczone, tętnią jednak życiem, słychać śmiechy, żarty, kłótnie, płacz dzieci, powtarzające się raz po raz komunikaty, ruch, harmider, rozpasanie współczesnego świata, tu natomiast, na Lublinku, wiało pustką i ciszą. Tylko od czasu do czasu pojawił się jakiś człowiek w mundurze albo jakiś pojedynczy podróżny czy też czekający na kogoś obywatel.

Targany sprzecznymi uczuciami Nawrot podszedł do wspaniale wyposażonego baru, za którym urzędowała urodziwa, lecz smutna dziewczyna.

– Dobry wieczór – powiedział.

Skinęła głową o nienagannej fryzurze:

– Dobry wieczór.

- Mógłbym prosić o kawę?
- Oczywiście. Z cukrem i ze śmietanką?
- Jeśli można.

Włączyła ekspres i już miał kawę przed sobą. Mógł ją wypić przy jednym z beznadziejnie pustych stolików, wolał to jednak zrobić przy beznadziejnie pustym bufecie i pogaworzyć sobie z osowiałą barmanką.

- Przepiękne lotnisko – zaczął.

Uniosła brwi.

- Bar też jest cudowny.

Tym razem zdecydowała się na komentarz:

- Jak może być przepiękne lotnisko bez pasażerów i cudowny bar bez klientów?

- I tak tutaj zawsze?

- Przeważnie.

Mając na uwadze fakt, że niebawem będzie miał do czynienia z tą staruchą Damiana – nigdy jeszcze nie kochał się z kobietą po pięćdziesiątce – pomyślał, że nie zaszkodzi trochę tę barmankę pouwodzić. Tym bardziej, iż nie wyglądająca na stroniącą od telewizji kobieta nie poprosiła go jeszcze o autograf.

- Pani wie, kim jestem? – strzelił wprost, spodziewając się zaprzeczenia.

- Wiem – odparła bez entuzjazmu. – Pan Artur Nawrot, aktor od kryminalów.

- Nie lubi mnie pani?

- Nie znam pana.

- Ale na ekranie.

- Rzadko oglądam kryminały.

Pewnie kolejna zdegradowana pani magister. Gdyby interes się kręcił, daj Boże wszystkim takiej degradacji.

- Jeśli jest tak źle, to czemu jeszcze nie zamknęli tego lotniska? – pociągnął lekko urażony.

- Wcale nie jest tak źle. – Zauważył, że mówi z bardzo ładną, poprawną intonacją.

- Ale przecież takie wielkie, bajecznie wyposażone obiekty muszą na siebie zarabiać.

– I zarabiają.

– Na czym? Na tych paru zagranicznych, średnio atrakcyjnych połączeniach?

– Na cargo.

– Pani wybaczy, ale nie rozumiem.

– Ma doskonałe osiągnięcia w zagranicznym transporcie towarów.

– Jakich?

– Najróżniejszych. Z Lublinka można wysłać w świat co tylko pan sobie zażyczy: pralki, motocykle, części samochodowe, ustępy, sprzęt audiowizualny...

– Skąd pani to wszystko wie?

– Jestem po ekonomii.

– No proszę! A myślałem, że lotniska stoją na pasażerach.

– Stoją na wszystkim, co się da przetransportować.

– Śliczna pani – przystąpił wreszcie Damian do rzeczy – ja tu muszę odebrać pewną zaawansowaną wiekiem kobietę, która przyleci lada moment z Korfu. Lecz jutro...

– Tak? – zerknęła na niego z ukosa.

– ...chętnie bym zaprosił panią na kolację.

Był przygotowany na różne reakcje, nawet odmowne, lecz zawsze okraszone odrobiną kokieterii lub grzeczności, tu natomiast usłyszał twarde:

– Nie.

– A to czemu, jeśli wolno zapytać? – Znowu poczuł w sercu zadrę.

– Nie muszę się panu tłumaczyć.

– Chłopak? Mąż? – I dorzucił złośliwie: – A może dziewczyna?

Bez słowa odwróciła się plecami i czystą jak opłatek serwetką zaczęła pucować szklanki.

Samolot z Korfu przez Rzeszów wylądował. Ruszyły czekające na bagaż pasy i z gardzieli osłoniętej kilkoma skrawkami czarnego tworzywa wyskoczyła na nie przez próg pierwsza walizka. Wokół pasa stało już kilkunastu opalonych pasażerów. Najwyraźniej wyspa nad Morzem Jońskim nie poskąpiła im słońca. Przeważało młode towarzystwo. Nie dopatrywał się dziewcząt i chłopców, lecz

wiek mężczyzn i kobiet oscylował między trzydziestką a czasem trochę przekroczoną czterdziestką. Zaczepił o kogoś okiem.

Ona chyba nie przyleciała – pomyślał, nie mogąc w żaden sposób wyłowić z opalonego i wesołego grona pięćdziesięcioczworoletniej staruchy. – Musiała w ostatniej chwili zrezygnować. Nawet wiem dlaczego. Zadzwoiła dzisiaj do Damiana, żeby jeszcze raz potwierdzić swój przyjazd i usłyszawszy, że ciężko chory leży w szpitalu, doszła do wniosku, że lepiej zostać na cudownej greckiej wyspie, bo z Damiana w Łodzi i tak nie będzie pożytku.

Typowe dla kobieciarza! Rozumowanie mężczyzny uzależnionego, który tak czy owak marzy o żonie, dzieciach i prawdziwej miłości.

Poczekalnia opustoszała. Barmanka stała samotnie za ladą bufetu, smutna i zapatrzona w jakiś punkt. W uszach, jak ktoś mądrze określił, wrzeszczała cisza. Spojrzał na zegarek. Za kwadrans pierwsza. Wyszedł z dworca i ruszył na parking, gdzie czekał na niego rozklekotany, czerwony grat Damiana. Zbliżając się do niego, zauważył w pobliżu jakąś kobietę z niewielką torbą podróżną u nogi. To o nią właśnie, pośród czekającej na bagaż gromadki, zahaczył okiem.

– Co pani tu robi? – zapytał, stwierdzając w sutym świetle parkingu, że ma przed sobą najpiękniejszą, najsubtelniejszą i jednocześnie najpowabniejszą istotę, jaką kiedykolwiek udało mu się dotąd spotkać.

– Czekam – odpowiedziała wesoło i bez żadnej rezerwy, tak, jak odpowiadają wyłącznie damy pewne swojej urody, swojej inteligencji i swoich pieniędzy.

Nie tylko polskie, lecz i amerykańskie aktorki są przy niej krótkie – przemknęło zachwyconemu Arturowi przez głowę.

– Można wiedzieć na kogo?

– A, to już moja sprawa. – Roześmiała się wdzięcznie i radośnie, i aby jeszcze bardziej faceta zachwycić, dorzuciła: – Pan Artur Nawrot, jeśli nie myli mnie wzrok, znakomity aktor „kryminalny”.

– Nareszcie usłyszałem coś miłego! – Przypadł i pocałował ją w policzek, a ona nie protestowała, przeciwnie: promieniała,

jakby pocałunek sprawił jej przyjemność.

– Nigdy nie słyszy pan miłych słów?

– Czasami, ale dzisiaj po raz pierwszy.

– Aldona Jancensen. – Wyciągnęła ku niemu szczupłą, złociście opaloną rękę, którą ucałował wylewnie, wychwytyjąc subtelną woń nieznanych perfum.

Zatem to ona! – stwierdził z osłupieniem. – Pięćdziesięcioczworoletnia starucha, której śmiało można odjąć dekadę i zakochać się od pierwszego wejrzenia. Poigram z nią jeszcze. Złe wiadomości zawsze mogą poczekać. Chociaż... to niezbyt uczciwe. Może się zemścić. Weźmie mnie za krętacza i skreśli.

– Jestem przyjacielem Damiana Rossa – wyznał ostrożnie, bacznie obserwując jej twarz.

– Wiem, często pana wspomina.

– Dobrze czy źle?

– Ciepło. Właśnie miał mnie stąd odebrać. Samochód jest. – Położyła dłoń na dachu czerwonego forda. – Jego nie ma. To dziwne. Zawsze mogłam na nim bezgranicznie polegać. Może zaraz przyjdzie.

– Nie przyjdzie.

– Skąd ta pewność?

– Leży ciężko chory w szpitalu.

– O! – Nie było w tym nadmiernej trwogi. – Znowu to biedne, zharatane serce.

– Niestety.

– Choruje już trzydzieści lat – oświadczyła tonem osoby, która przywykła już do przypadłości kochanka. – Na pewno z tego wyjdzie.

– I ja tak sądzę – przytaknęła nieszczercze. – Prosił mnie...

– Wiem, wiem, o co pana prosił – wpadła mu w słowo. – Żeby pan zawiózł mnie dyskretnie do tej... wynajętej rezydencji, a następnie, jak przypuszczam, do szpitala, bo musi ze mną o czymś ważnym porozmawiać. – Parsknęła. – Gdyby nie szpital, rozmowa wyglądałaby inaczej.

– Jak? – zaciekał się aktor.

– Niech pan nie będzie bezczelny. Jestem trochę zmęczona i śpiąca, jedziemy?

– Jedziemy. – Otworzył szarmancko drzwi i wpuścił na fotel dla pasażera. Torbę umieścił z tyłu. Siadł za kierownicą i ruszył, rozmyślając, jak jest piekielnie inteligentna i jak piekielnie inteligentny jest Damian. Miał rację, upierając się przy tym czerwonym gruchocie. Gdyby Artur przyjechał taksówką, mógłby jej nigdy nie znaleźć.

– Szczęśliwe zrzączenie losu – powiedział głośno.

– Mianowicie?

– Gdyby nie ta znana pani furka, nie widząc Damiana, pojechałaby pani do pierwszego lepszego hotelu innym transportem.

– Żeby pan wiedział.

– I co dalej?

– Jutro, to znaczy dzisiaj, zaczęłabym go szukać, wiedząc, że jeśli nie przyjechał, to z jakichś bardzo istotnych powodów. W jakim szpitalu leży?

– Tym przy Pomorskiej.

Uniosła pytająco brwi. Niech to! Ale ma oczy! Żółte jak u kocura. I to takiego, co gapi się na ciebie nocą.

– Zawsze był u chłopców na Sterlinga.

– Przenieśli całą kardiologię ze Sterlinga do tego ogromnego, strupieszalego, budowanego blisko trzydzieści lat gmaszyska na Widzewie i teraz jest to supernowoczesna klinika.

– Kto jest jego lekarzem prowadzącym?

– Andrzej Oszczygieł – odrzekł niechętnie Nawrot, czując pierwsze ukłucia zazdrości.

– Fajny gość?

– Dwumetrowy.

– To może załatwię mu NBA?

– Jeszcze czego! – palnął. – Wszystkim pani coś załatwia?!

Kocie oczy zerknęły na niego z ironią.

– Nie jesteś chyba o mnie zazdrosny? – pierwszy raz powiedziała mu na „ty”.

- Może i jestem! - nie wytrzymał i przez trzeźwą głowę przeleciał mu jak błyskawica cały sznur możliwości: Jak ty możesz załatwić lekarzowi NBA, to mogłabyś również załatwić aktorowi pracę w jakimś amerykańskim serialu albo filmie i mógłbym zrobić światową karierę, co udało się kilku Polkom, lecz jeśli chodzi o mężczyzn, jedynie Olbrychski ma tam duże notowania. Daniel i zero Polaków! Owszem, polski reżyser, operator czy kompozytor czasami zabłyśnie, jeśli jednak chodzi o aktorów, taki wał!

- Od dawna mieszkasz w Stanach, Aldono? - Jak się zbliżyć, to się zbliżyć.

- Od pięciu lat.

- Nazwisko mogłaś znać, lecz twarzą w twarz, poza krótkim zderzeniem w Galerii, nigdyśmy nie stanęli. Skąd wiedziałaś z miejsca na Lublinku, że jestem aktorem?

- Widziałam cię w kilku serialach i filmach.

- Przecież polski chłam nie jest w Ameryce popularny, Aldono.

- Mamy TVP Polonię, a poza tym internet, polskie gazety, w niektórych miastach polskie biblioteki, no i sprowadzam co miesiąc z ojczyzny - słowo te wymówiła z przekąsem - nowinki literackie oraz trochę płyt muzycznych i filmowych.

- Sądzisz, że jestem dobrym aktorem?

- Niezłym. Ale - przeskoczyła brutalnie na inny tor - przede wszystkim jesteś przyjacielem Damiana i mam nadzieję, że mnie jutro do niego zawieziesz.

- Ależ oczywiście, oczywiście! O której byś chciała?

- Jeszcze nie wiem. Zdzwonimy się jakoś. Najpierw muszę się wykąpać i porządnie wyspać.

Dom, przed którym stanęli, niby w centrum, ale trochę jakby na uboczu, był przepiękny już od zewnątrz. Spoza prętowego ogrodzenia z monitorowaną bramą zobaczyli kolorowy, dwupiętrowy budynek z trzema narożnymi, kolistymi balkonami, gdyż i na parterze był balkon.

- Damian zawsze miał dobry smak - mruknęła z uznaniem Aldona.

- Niewątpliwie - przyznał Artur, choć, prawdę mówiąc, trafiał go szlag. W dziejach świata piękne kobiety zrujnowały już miliardy przyjaźni męskich i wciąż będą rujnować. - Wejdziemy? - Artur trącił bramofon wiedząc, że jest na ekranie.

- Halo...? - rozległ się głos kogoś, kto jest zdenerwowany, przebiera nogami i nie może się doczekać.

- Dobry wieczór, gość ze Stanów - zaanonsował Aldonę Nawrot.

- A, prosimy, jak najserdeczniej prosimy - zaśpiewał tonem starego słowika gospodarz i furтка u bramy rozstąpiła się przed nimi z miarowym dostojeństwem. Na dobrą sprawę, gdyby rzeczywiście chodziło o staruchę, Artur mógłby już zejść ze sceny, wszakże aż płonął z pragnienia, aby w dalszym ciągu pomagać, co doprowadziło do drobnego zgrzytu.

- Oto pani Aldona ze Stanów - przedstawił opaloną, bajecznie, choć niekrzykliwie ubraną piękność sterczącemu w progu mężczyźnie.

Starszy pan, niewysoki, szczupły, siwy, o postawie dyrektora hotelu, którym w pewnym sensie był, nie ukrywał zdziwienia. Wszak apartament dla amerykańskiej damy wynajął u niego i opłacił znany pisarz, a nie znany aktor, którego momentalnie rozpoznał.

- A co z panem Damianem Rossem? - zapytał, mrużąc swoje wyblakłe oczy.

- Chory - odparł krótko Artur.

- To jego raczej spodziewałem się tutaj, nie pana.

- Nieważne, kogo się pan spodziewał. Nie mógł przyjść i ja go zastępuję.

- Ależ tak, bardzo ważne - upierał się jegomość, tarasując niejako drzwi.

Do akcji wkroczyła Aldona, znowu pokazując klasę.

- Panie! - cisnęła mu w twarz. - Jestem po długiej, męczącej podróży, głodna, spragniona i śpiąca. Albo natychmiast zajmę apartament, albo w tej samej sekundzie zrezygnuję z pańskich usług, a pan za to odpowie.

Ale blokujący wejście jegomość też trzymał się swoich zasad.

– Wybaczy pani – oświadczył chłodno, lecz uprzejmie – ale nim panią wpuszczę, chciałby zobaczyć pani paszport.

– Proszę! – Z czarnej, cętkowanej torebki Armaniego za trzy tysiące dolarów, która już sama w sobie była paszportem, wyjęła amerykański dokument.

Przekartkował go i oddał, zginając się w pół.

– Niech pani łaskawie zechce zrozumieć, że w dzisiejszej dobie rozbojów muszę zachować ostrożność. – Uprzejmym gestem zaprosił ją do środka, aby zaraz potem wystawić łokieć, który Nawrot odtrącił bez pardonu.

Była to rzeczywiście pańska rezydencja na parterze, z owym narożnym, wychodzącym na ogródek balkonem. W środku do gustownie urządzonego salonu przylegała z jednej strony sypialnia z szerokim, małżeńskim łóżem pod baldachimem, a z drugiej pokój dla gości albo dla dzieci. Od korytarza odbiegała obszerna kuchnia, a za nią równie obszerna łazienka, do której – ledwo tylko gospodarz skończył ich oprowadzać – udała się pośpiesznie Aldona.

– Torba! – wykrzyknął cicho Artur.

W gruchocie na tylnym siedzeniu została torba z piżamą zapewne i ze szlafrocikiem, a ona, sądząc z odgłosów, już bierze prysznic.

Powiedział jej o tym, kiedy wróciła z łazienki i rozsiadła się wygodnie w fotelu.

– Mam ją przynieść?

Machnęła ręką:

– Nie trzeba.

Był podniecony. Musiała umyć głowę i wysuszyć. Krótkie, jasne włosy nie sięgały ramion. Suknia bez rękawów, w pastelowych, szarych, bladoniebieskich i złocistych odcieniach, idealnie współgrała z jej karnacją. Zakrywała luźnymi fałdami kolana, ale dekolt był rozchyłony i obfite piersi rysowały się pod nią wyraźnie.

– Pora coś zjeść – mruknęła jak kot, przesuwając językiem po wargach. – Chodźmy do kuchni.

– Przedtem, jeśli pozwolisz, umyję ręce – wykrztusił.

W łazience poczuł prawdziwy zawrót głowy. Na umieszczonym nad prysznicem pręcie wisiały wyprane majtki i biustonosz. Stały też pantofle na płaskim obcasie, bo po mieszkaniu lubiła chodzić boso.

– Co my tu mamy? – pomrukiwała nad otwartą lodówką, kiedy wszedł do kuchni. – Pierożki, naleśniki, fasolkę po bretońsku, żółte i pleśniowe sery, udu kurczaka, białą kielbasę, no i całą furę dobrego alkoholu. Strzelisz whiskacza?

– Nie – zaprotestował kłamliwie – jeśli mam cię zawieźć do szpitala.

– Są ludzie, którzy potrafią wypić drinka i na tym poprzestać.

– Ja do nich nie należę.

– Więc wara od butelki, kolego! – Wyjęła z zamrażarki pojemnik z lodem, sparzyła go w zlewie pod gorącą wodą, wycisnęła do kryształowej szklanki kilka kostek i zalała ją do pełna Cardhu, ulubioną whisky Damiana z pojedynczego siodu. – *Drink his health*, czyli zdrowie pisarza! – Pociągnęła ze smakiem, zagryzając kęsem pleśniowego sera.

Damian patrzył i przętykał ślinę. Już w zasadzie poniedziałek, a w srodę musi być w Toruniu na planie. Ale taka okazja może się już nigdy nie powtórzyć. Ona, kusząca jak marzenie, siedzi tu przed nim bez biustonosza i bez majtek i wie, że on o tym wie. Chryste! Tak wyglądają piersi pięćdziesięcioparoletniej kobiety! Może trochę opadłe, ale bujne i jędrne i z całą pewnością, podobnie jak reszta ciała i twarz, bez żadnych interwencji chirurgicznych.

Na przykrytym obrusem stole kuchennym stała popielniczka, a obok niej leżało długie czerwone marlboro i zapaliki.

– Palisz? – Chwyciła jego wzrok.

– Tak.

– Więc nie krępuj się. – Podsunęła mu popielniczkę. – Ja też paliłam, ale rok temu powiedziałam: dość!, i rzuciłam, choć czasami jeszcze mi się zdarza.

Zachłannie i z lubością rozkoszował się wonnym papierosem.

– Nie zjesz nic? – zagadnęła przyjaźnie, upijając drugi łyk z kryształowej szklanki.

– Za późno na kolację, za wcześnie na śniadanie – odparł, dokonując kolejnych szokujących odkryć: ona jest bez makijażu! Prosto z wody, tak jak stworzył ją Bóg! – Mówił ci już ktoś, Aldono, że jesteś przepiękna?

– Dzisiaj jeszcze nie.

– Nie gniewasz się, że to powiedziałem?

– A to niby czemu? – zdziwiła się bez pruderii. – Nie było w tym nic obraźliwego.

– Ale można się w tobie zakochać.

– Hmm, to już inna sprawa. Chodź.

– Gdzie?

– Do salonu, nastawimy jakąś muzykę.

– Nie zjadłaś nic konkretnego.

– Dzięki temu wyglądam, jak wyglądam.

Kiedyś podobały mu się tylko dzieworódki, bo to żadnych blizn, żadnych rozstępów, ale od niedawna uważał, że prawdziwa kobieta powinna urodzić chociaż raz, najlepiej radosną córkę.

– Masz dzieci? – wypalił zuchwale.

– Cóż to za pytanie?! – spojrzała na niego ze złością. – Zwariowałaś?!

– Chyba tak. Na twoim punkcie.

– Więc uważaj, co mówisz, bo będę zmuszona wypędzić cię stąd!

– Zapamiętam. – Patrzył na nią potulnie i wyszeptał: – Wiesz, chyba rzeczywiście wypiję jednego drinka.

– *Help yourself, but don't take too much.* – Wskazała mu butelkę i szklankę, częstując i jednocześnie ostrzegając.

Zrobił dokładnie to, co wcześniej zrobiła ona, i przenieśli się do salonu, z tym, że nie usiedli już na oddzielnych fotelach, tylko obok siebie na kanapie. Z głośników płynęła muzyczka. Jazz, jazz oczywiście! Ukochany narkotyk Damiana. Wszystko pod Damiana, wszystko dla Damiana, a przecież... ona troszeczkę go uwodzi.

– O wszystkim pomyślał – mruknął kąśliwie, nie wymieniając imienia.

– Zawsze był taki.

– Bez skazy, można powiedzieć!

– Wobec mnie i wobec paru innych kobiet, na których mu zależało – bez skazy. Wymierający gatunek dżentelmena owianego tajemnicą.

– Ja chyba jestem z innej parafii.

Nie oszczędzała go:

– To widać.

Niepowtarzalna Billie Holiday śpiewała swoim niskim, urzekającym altem *The Man I Love*.

– Kochasz go?

– Podziwiam jako artystę i szanuję jako wspaniałego człowieka.

– A miłość?

– To on wierzy w miłość. Ja wierzę tylko w silne, obłądne uzależnienie.

– Czy to nie to samo?

– Każdy czuje po swojemu. Zatańczymy?

– Chętnie. Nie myślałem, że to lubisz.

– Uwielbiam. Szczególnie w czterech pustych ścianach i na boso.

W tańcu przytuliła się do niego rozpalonym ciałem. Nie protestowała, kiedy położył ręce na jędrnych pośladkach i rozchylił je delikatnie. Popieścił wspaniałe ciężkie piersi i odsłoniwszy dekolt, zaczął nawilżać ustami twarde, sterczące sutki.

– Wielka sztuka uwodzenia kobiet – wyszeptała mu w ucho, gdzie poczuł jej ciepły, penetrujący język.

– Dobrze ci?

– Rozkosznie. Ale wróćmy na kanapę, dość tych płasów. – Chwyła go władczo za ramię.

– Tu też mogę zapalić?

– Pewnie. Może i ja zapalę, ale przedtem zrób mi jeszcze jednego drinka.

Poszedł do kuchni i przyniósł dwa, tocząc ze sobą wewnętrzny dialog:

„Ścierwo ze mnie”

„Jasne, ścierwo, ale w końcu ona zaczęła tę grę”

„On by ci tego z Krystyną nigdy nie zrobił”

„Bo nie przepadają za sobą”.

„Może właśnie dlatego. Przypomnij sobie tę noc sylwestrową, kiedy bez przerwy kładła mu ręce na udach, a on się wzbraniał”.

„Bo byłeś przy tym”.

„Och, byłem. Ale Damian nie jest znowu taki święty. Posuwaliśmy kilkakrotnie we dwóch tę samą kobietę”.

„Ale nie żonę i najbliższą sercu kochankę”.

Aldona przeciągnęła się leniwie na kanapie.

– Sobie też wzięłeś – zauważyła z ironią, widząc, że przyniósł dwie szklanki.

– W taką noc warto stracić życie.

– I pracę? Wspominałeś coś o planie w Toruniu.

– Pieprzę ten plan! Pieprzę tego reżysera! Pieprzę cały ten żaloszny serial!

– Ale jak ty wrócisz do domu? Nie siądziesz chyba za kierownicą?

– Wezwę taksówkę.

– A Damian?

– Z tobą chce rozmawiać, nie ze mną. A do szpitala, masz moje słowo, dostarczę cię dyskretnie i bezpiecznie.

Objął ją i dotknął wargami jej warg, które rozchyliły się jak płatki róży, na których siedział przez chwilę pijany motyl. Spodziewał się żarłocznych pocałunków, a spotkało go słodkie, subtelne przyjęcie.

– Kocham cię.

– Daj spokój.

– Mam wezwać taksówkę?

– Zanieś mnie raczej do sypialni – wymruczała, mrużąc swoje żółte, kocie, pożądlive oczy.

Uniósł ją i, niczym pan młody pannę młodą, przeniósł z czułością przez próg alkowy.

– Szybciej! – Ściągnęła przez głowę sukienkę i zaczęła zdzierać z niego spodnie.

Kochali się, budzili i znowu kochali pod jej wyłączne, bezdyskusyjne dyktando. Sądził, że jest w tych sprawach

absolutnym mistrzem, lecz Aldona odkryła przed nim nowe horyzonty.

- *I want to kiss every inch of you.*

Więc całował i był całowany. Wszędzie. Spełniał wszelkie jej wyrafinowane kaprysy, nie wiedząc, że nawet stopa może być słodka jak miód. Wstrząsnęły nią trzy szalone orgazmy, w trakcie których wstrzymywała jego zapędy i przeżywała je nieruchomo, lecz już po kilku minutach mogła znowu. Kiedy wyznawał jej miłość, burczała wesoło, jakby chciała powiedzieć: gadaj zdrów! Bywało, że zmęczony już i senny zwalniał tempo, wtedy otrzymywał klapsa w pupę. Zbierał również zasłużone laury.

- Och cudownie, jeszcze, nie przerywaj.

- Dobrze ci?

- Bosko! Nie sądziłam, że taki z ciebie ogier.

- Lepszy od Damiana?

- Nie gorszy.

Nad ranem, kiedy w klimatyzowanej sypialni panował miły mrok i chłód, ale w salonie za oknami prażyło już ostre, późnoczerwcowe słońce, zapadli obydwój w kamienny, sen, z którego nie wyrwałyby ich wybuch bomby. Artur nie słyszał zatem, że przekręcająca się z boku na bok Aldona majaczy coś, wzdychając, o pisarzu.

Obudził się pierwszy, szczęśliwy i autentycznie zakochany, a ponadto trzeźwy, co graniczyło z cudem. Spojrzał na zegarek i zachichotał: czternasta z minutami; przespali ciurkiem osiem godzin. Przyjrzał jej się uważnie, nagiej w rozkopanej pościeli, sądząc, że światło dnia zweryfikuje trochę urodę kobiety, lecz było przeciwnie. Nieco mniej opalone niż reszta ciała obfite piersi i podbrzusze miały w sobie magiczną siłę przyciągania.

- Ja mogę - wyszeptał cicho i nieśmiało.

Spała dalej, pufając ustami.

- Dobra, śpij sobie, śpij, ja tymczasem zrobię śniadanie...

Trudno, żebym zamówił lunch przez telefon - rozmyślał w kuchni, wiedząc, że Damian i tak dowie się o wszystkim, choćby od gospodarza. Postawił na palniku dużą, teflonową patelnię i opryskał olejem słonecznikowym. Pokroił drobno

cebulę i kawałek kiełbasy i podsmażył, wyciskając na to z pojemnika kopiec twarożku ze szczypiorkiem. Na białym obrusie rozstawił talerze, sztucce i filiżanki do kawy, którą zaparzył we włoskim ekspresie. Jej zapach rozszedł się po całym mieszkaniu i zwabił do kuchni poziewującą Aldonę.

– Co robisz? – zapytała dość chłodno i obojętnie.

– Śniadanie – odparł urażony do żywego, gdyż miała na sobie obszerny szlafrok Damiana. Wcześniej, w łazience, odkrył jego przybory do golenia, ale to było jeszcze przed tą szaloną nocą.

– Ano, rzeczywiście coś zjem – oświadczyła łaskawie.

Skwierczący cichutko na patelni twarożek skropił maggi, posypał ziarenkami smaku, mieloną papryką, czosnkiem i odrobiną ziół prowansalskich. Na koniec dodał sól, pieprz i parę kropel chili. Wprawnie, wciąż urażony, w milczeniu, wyłożył to na dwa talerze.

– Co to jest? – zapytała nieufnie.

– Twarożek po Makowieckiemu.

– Nie znoszę twarożku, a już na pewno nie w tej postaci.

– Spróbuj jednak.

Dziabnęła ostrożnie, potem drugi raz i trzeci, po czym rozjadła się na całego, z takim apetytem, iż zdziwił się, skąd u niej taka sylwetka.

– To jest fantastyczne!

– A widzisz.

– Naprawdę według tego jednorękiego bandyty?

– Szczerza i najuczciwsza prawda.

– Pewnie pitrasi to, kiedy chleje z Urbaniakiem.

– Możliwe.

– Coś taki nagle... poważny?

– Dotknięty.

– Czym?

– Że paradujesz w tym szlafroku.

– Och, rzeczywiście brak mi taktu. Zaraz wszystko zmienię. – Wstała, zdejmując szlafrok, tak że widział ją przez chwilę nagą, i wróciła w sukience. – Lepiej?

– I to jak! – wykrzyknął uszczęśliwiony.

- Ty chyba naprawdę jesteś o niego zazdrosny.
 - Okropnie!
 - I trzeźwy.
 - Jak niemowlę.
 - Będziesz mógł śmiało pojechać do Torunia na ten plan.
 - Ale z tobą.
 - Dlaczego nie? Bardzo współczuję Damianowi, lecz nie mam zamiaru się nudzić.
 - Lubisz ostre wrażenia?
 - Uwielbiam boks. Na żywo. Chodzę często na gale w Nowym Jorku i San Francisco.
 - A co powiesz na walki psów?
 - Są przecież zabronione.
 - Ale w czwartki i piątki można je w Łodzi obejrzeć.
 - Muszą być piekielnie podniecające.
 - Jak ty.
 - Chcesz?
 - Pewnie!
 - To na co czekasz? - Zdjęła znowu przez głowę sukienkę i naga, kołysząc biodrami, podreptała do łóżka.
- I miłość, która pojawiła się przypadkiem - choć Albert Einstein mawiał, że przypadek to Bóg przechadzający się incognito - wybuchła na nowo.

16

W poniedziałek, do dwunastej w południe, Damian Ross czekał na miłość swojego życia radośnie. O czternastej nie martwił się jeszcze, przypuszczając, że zmęczona podróżą odsypia. O szesnastej targnął nim niepokój i grzbietem dłoni odgonił myśl, która zaświtała mu w głowie.

Nie było już na oddziale profesora Wranicza i doktora Oszczygła, odwiedził go natomiast młody, arogancki lekarz, jeden z tych, jakich pełno we wszystkich polskich szpitalach. Wiedział oczywiście, z kim ma do czynienia i na ulicy kłaniałby się Damianowi z szacunkiem, tu jednakże, w szpitalu, to on był panem, a nie stroniący od personelu pisarz.

– Jak się czujemy? – zapytał obcesowo.

– Tak jak się czułem – odburknął Daniel.

– Wysiadła panu jedna z elektrod kardiowertera-defibrylatora.

– Zostałem poinformowany – rzekł grzecznie jeszcze pochłonięty innymi zupełnie troskami pisarz.

– Trzeba by poprosić Andrzeja – położył nacisk na to imię, aby pokazać, że jest zbratany z wierchuszką – aby zawiózł pana do profesora Kutarskiego w Lublinie, bo tylko on, jak dotąd, dokonuje bezbłędnie tych skomplikowanych zabiegów.

– Poproszę go – powiedział Damian – a teraz proszę zostawić mnie w spokoju, bo czekam na ważną wizytę.

– O tej porze nie ma już wizyt – zawarczał niczym podrażniony buldog lekarzyna.

– Owszem, są. O każdej porze. Recepcja jest o tym poinformowana.

– Ja do tego nie dopuszczę!

– Słuchaj no, chłystku! – Rzucił się Damian, gotów mimo wszelakich podłączeń wstać i zdzielić go w zęby. – Wypierdalaj stąd i nie trzaskaj drzwiami!

– To jest język pisarza?

- Wypierdalaj, powiedziałem!

Aldona przyszła dopiero o dziewiętnastej. Była w dużych, czarnych okularach i w dżokejce, w tych samych pantoflach na płaskim obcasie, ale wytworną suknię zastąpiły dzinsy do kolan i skórzana kurtka.

- Witaj. - Pocałowała go w czoło i usiadła na brzegu łóżka. - Bardzo źle?

- Nie najlepiej.

- Mam nadzieję, że i tym razem...

- Daruj sobie - uciął. - Jest mi przykro, cholernie przykro, potwornie przykro, że nie mogłem odebrać cię z lotniska i spędzić z tobą tej nocy.

- Będą inne.

- Przyrzekasz?

- Przyrzekam.

- Jak podróż?

- W porządku.

- A Artur?

- Uczynny. - Rzadko kłamali i trzymali się w tych sprawach pewnych prawideł, lecz tym razem, ze względu na jego wrażliwe serce, postanowiła łąć.

- Nie zalecał się do ciebie?

Wyławiał bezbłędnie każdy jej fałsz w słowie, uśmiechu i geście. Gdyby zaprzeczyła, nie dałby wiary, powiedziała więc:

- Zalecał.

- Ostro?

- Z respektem.

- Odwiózł cię na kwaterę?

- Tak. Wspaniała. Nawet w niej był, ale krótko. - I zmieniła sprytnie temat, budując nie tyle sobie, co Arturowi alibi. - Gospodarz, podejrzliwy, dopytywał uparcie o ciebie. Powiedziałam, że jesteś w szpitalu, ale i tak dokładnie mnie sprawdził.

Ross wypuścił wstrzymany oddech. Ulżyło mu. Uwierzył. Gdyby miała poślizg z kimś innym, musiałby jej wybaczyć, ale z Arturem - nigdy!

- Jak było na Korfu?
- Fajnie.
- Zgrzeszyłaś?
- No co ty!?! To już pytanie spoza protokołu. Dobrze wiesz, że nie jestem święta.

- Kocham cię, jak nigdy nie kochałem nikogo i nigdy nie pokocham, co oczywiście słyszałaś już milion razy.

Poklepała go czule po dłoni, a potem, obejrzawszy się na drzwi, wpakowała mu rękę pod kołdrę.

- Ho, ho! - syknęła z uznaniem. - Nawet w chorobie? Po różnych tonizujących pigułkach? Jak chcesz, zamknę drzwi, zapowiedziawszy głośno, żeby nie przeszkadzać, i wejdę pod ten cholerny koc.

- Zrobiłabyś to?

- Bez namysłu.

- A te wszystkie przyssawki na piersiach?

- Będę górą.

- Nie narażę cię mimo wszystko na taki dla mnie szalony i bohaterski, lecz dla innych beczelnie zuchwały występ. Tym bardziej, że zaraz będzie wieczorny, niesympatyczny obchód.

Ledwo wymówił te słowa i do sali, w której nie było już Wiśniewskiego, wtarabanił się w asyście przystojnej pielęgniarki zelżony lekarz. Aldona odstaąpiła taktownie na bok, a on nie zapytał tym razem o zdrowie i samopoczucie Damiana.

- Pacjent czegoś nie potrzebuje? - bąknął naburmuszony, zerkając na Aldonę, która trzymała na przedramieniu torebkę za trzy tysiące dolarów.

- Owszem, panie doktorze - odparł układowie pisarz. - Proszę o tabletki na sen.

- Chodzi chyba o jedną tabletkę?

- Nie, o dwie. Podwójny estazolam.

- W żadnym wypadku! - zaperzył się ambitny lekarz, lecz uspokoiła go pielęgniarka:

- Panie doktorze, doktor Oszczygieł przystał na tę dawkę i pacjent otrzymał ją wczoraj.

Wyszedł bez słowa nabzdyczony jak gąsior przed egzekucją, a tuż za nim, obdarzywszy Aldonę i Damiana uśmiechem, odmaszerowała pielęgniarka.

– Ładna – stwierdziła Aldona, przysiadając na łóżku.

– Owszem.

– Nie próbowałaś jej uwodzić?

– Flirtowała z Arturem – odmruknął, czując znowu jej rękę pod kocem.

– Umówili się?

– O to ich nie pytałem. Och, och, to jest boskie, to jest raj. – Trysnął.

Otarła go i opłukała ręce pod zlewem stwierdzając, że w doskonale wyposażonym szpitalu każda sala niezależna jest sanitarnie.

– Jestem szczęśliwy i, możesz zatkać uszy, wciąż śmiertelnie zakochany.

– Ja też cię na swój sposób kocham i też, już nie na swój sposób, jestem o ciebie cholernie zazdrosna. Posuwasz kogoś?

– Czasami.

– A na stałe?

– Mam ciebie.

– Niezłe z nas ziółka. Zdradzałam z tobą pierwszego męża, zdradzam drugiego.

– I przy okazji zdradzasz mnie z różnymi kochankami.

– Nie jesteś lepszy. Jeśli już mamy mówić prawdę, od ciebie nauczyłam się perwersji.

– Żałujesz?

– Żartujesz? Kariery artystycznej nie zrobiłam, ale dzięki tobie czuję smak życia. Inaczej by mnie tu chyba nie było.

– Nawet nie wiesz, jak ci jestem wdzięczny, najdroższa, tym bardziej, że poza miłością musimy jeszcze obgadać parę innych spraw.

– Serce mi krwawi, chociaż jest zdrowe.

– Trudno.

– Znowu mamy rozmawiać o śmierci? Jeśli nawet nie kocham cię jedyną i wyłączną miłością jak romansowa grzesznica, traktuję

cię jak kogoś z rodziny. Jesteś mi bliższy niż brat i równie bliski, jaki był świętej pamięci ojciec. Przecież już wiem, że gdyby, nie daj Boże, coś się stało, mam się zająć twoją autobiografią i niewydanymi dotąd powieściami.

– Przede wszystkim *Bulwarem*.

– Jasne, zwłaszcza *Bulwarem*, na którym nie raczył się poznać żaden z twoich zidiociałych przyjaciół.

– No i jeszcze, poza tą najistotniejszą, kwestia mieszkania i całej fury pieniędzy.

– To akurat nie stanowi dla mnie problemu – powiedziała, trzymając go za rękę. – Może i jesteś jak na polskich artystów dość zamożny, lecz i mnie na niczym nie zbywa i, bez urazy, mogłabym cię wykupić z kopytami wielokrotnie.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Znowu?! – parsknęła z osłupieniem, pieszcząc go pod kocem.

– Przepraszam!

– Nie ma za co. To dla kobiety w moim wieku i z takim między nami stażem można uznać tylko za komplement.

– Dziękuję.

– Jeśli aż tak bardzo tego ci trzeba, porozmawiam z tą sympatyczną pielęgniarką. Wygląda na osobkę, która zna się na tym i zrozumie.

– Nie chcę, abyś to robiła z litości.

– Nigdy przez dwadzieścia parę lat nie zrobiłam z tobą tego z litości. Zawsze ochota była obopólna.

– Tak czy owak, dajmy sobie spokój. Nie można zmieniać przyjaznego i czcigodnego szpitala w dom schadzek.

– Też mi argument! Nawet w więzieniach są widzenia intymne.

– Ale ty wyjdiesz, a ja zostanę i będę musiał świecić oczami, bo to się rozejdzie.

– Rozejdzie i zostaniesz bohaterem. Więc jak?

– W żadnym wypadku.

– A powtórzyć to jak poprzednio? Zresztą, po co ja w ogóle pytam?

– Jestem trochę zażenowany.

– A tam!

Podtrzymywała go prawą ręką za szyję i gorąco całowała w usta, podczas gdy lewa, wprawna ręka robiła swoje. Potem opłukała je pod strumieniem ciepłej wody.

– Będę chyba musiał jechać do Lublina – wyznał, uspokoiwszy oddech.

– A stąd kiedy cię wypuszczą?

– Nie mam pojęcia. Marzę, aby spędzić z tobą jeden dzień na wolności.

– Ja też.

Zbliżyli głowy do siebie i choć nie było z pewnością kamer i pluskiew, zaczęli rozmawiać szeptem. Seks, miłość, literatura i pieniądze przestały się nagle liczyć. Łączyła ich tajemnica silniejsza niż śmierć.

Opuściła szpital o dziewiętnastej czterdzieści, pod ostrzałem baczących spojrzeń personelu. Było jeszcze przeraźliwie jasno, co usprawiedliwiało jej ogromne, czarne okulary. Ruszyła na postój taksówek, gdzie czekał zakochany Nawrot.

– Dobrze poszło? – zapytał.

– Nieźle – odparła, ocierając knykiem łzę.

– Gdzie jedziemy?

– Do jakiejś ustronnej knajpy.

– Nie do ciebie? – zdziwił się nieprzyjemnie.

– Słuchaj, kolego – powiedziała lodowatym głosem – może będziemy się jeszcze pieprzyć, ale na pewno nie u mnie.

Zza drzewa obserwowała ich uważnie zmrużona para oczu.

Krystyna Nawrot nie była oczywiście u żadnych rodziców w Toruniu i nie rozjeżdżała się specjalnie alfą romeo po ulicach Łodzi. Spędziła dwie noce u młodszego o parę lat instruktora i, prawdę mówiąc, facet zawiódł ją na całej linii. Chłał bez przerwy jak szewc, ona ledwie raczyła zanurzyć usta w piwie, bo czegoś takiego jak wino nie uznawał. Kopcił jak komin fabryczny, symbol Ziemi Obiecanej, który zniknął już na dobre z horyzontów, ona tymczasem, sięgając dla towarzystwa po szluga, zaciągała się z taką miną, jakby za chwilę miał jej eksplodować w płucach rakotwórczy granat. Jedyne, czego chciała, to ostrego seksu, facet jednakże po pierwszej takiej nocy doznał paraliżu męskości, wręcz stężenia pośmiertnego.

– Nie mogę dzisiaj, kochanie – mruzczał, przewracając się na drugi bok, ni to zawstydzony, ni zakłopotany.

Na dobitkę – może to i nie najpiękniejsze określenie, ale najtrafniejsze, bo przecież ją dobił – w poniedziałek przed południem, kiedy wierciła się w łóżku rozeźlona, poinformował ją, że będzie musiała opuścić jego pakamerę, bo niebawem odwiedzi go mamusia. Wszakże nie należy odmawiać mu pewnej troskliwości, bo nim zatrzasnął za nią drzwi, zakwilił słodko:

– Tylko jedź ostrożnie, kochanie.

Udało jej się wjechać bezpiecznie w bramę przy Piotrkowskiej, nie zahaczając błotnikiem o pacholki, i weszła po wydeptanych schodach na górę. No, teraz da popalić Arturowi! Wyładuje na nim wściekłość i frustrację. Dzika awantura potrzebna była skołatany nerwom jak lekarstwo. Zgrzeszył podobno z tą modelką, ale wciąż mu mało. Zaraz zacznie się do niej dobierać, a tu – odważ! Już mu pokaże, co ma ze swoją lufą zrobić!

Nie miała wątpliwości, jaki obraz zastanie. Leży rozmemłany w łóżku, w spodniach i skarpetkach, jeśli udało mu się skopać buty, albo na kanapie w bibliotece, gdzie jest barek.

– Ty, ochlaj! Odezwiąj się! – wrzasnęła od progu.

Echo przebrzmiało i zaległa cisza.

– No jasne, odsypiamy! Trzeba przecież jechać w środę na plan! „Ochlaja” wszakże nie było ani w łóżku, ani na kanapie, co sprzeczało się z rutyną, do której przywykła, i od której nie było wyjątków. Otworzyła barek.

– No tak – rozmawiała ze sobą – wydudlił wszystko do ostatniej kropli, nawet moje ulubione chardonnay.

Ale w takim razie powinien być w domu; zawsze na trzeci dzień padał jak trup i jęczał jak pacjent po operacji. A tu go nie ma.

Zawiodła się. Widocznie jest trzeźwy; jeśli tak, to gdzie się szwenda? Odczuła jakiś osobliwy brak Artura.

– Ech – mruknęła pod nosem – W końcu co mnie to obchodzi.

W kuchni trzasnęła jednak talerzem o posadzkę. I uświadomiła sobie, że czeka, niekoniecznie na dziką awanturę. Kobiety, zresztą mężczyźni również, wyczuwają szóstym zmysłem, że coś jest nie w porządku, coś nie przystaje do partnerskiej układanki. Baba nawet jeśli ma dosyć męża czy kochanka, dostaje szału, kiedy facet oswaja się nagle z tym faktem i odpuszcza. Powinien błagać na klęczkach do ostatniej chwili, aż sędzia orzeknie rozwód. Dopiero wówczas wolno mu „oswajać się” z bolesną stratą i oglądać za innymi kobietami.

Przyszedł dopiero o jedenastej wieczorem, kiedy była już w łóżku po kolacji. Stwierdziła ze zdumieniem, że jest nie tylko trzeźwy, lecz i zadowolony, jeśli nie szczęśliwy, i że idzie do swojego pokoju (od pewnego czasu sypiali osobno), nie odzywając się do niej.

– Gdzieś się włóczył? – spytała zaczepnie.

– Tu i ówdzie – odpowiedział wesoło, zdejmując koszulę, spodnie i skarpetki i włączając pod kołdrę.

– Zabujałeś się w tej lasce?

– Jakiej lasce?

– Modelce.

– Nie żartuj.

– Za stara?

– Raczej za młoda. Zaczynam wierzyć w to, co znawcy mówią o winie.

– No właśnie! Wypiłeś moje.

– Odkupię.

– Kiedy ja dzisiaj akurat miałam na nie chęć.

– Napij się wody. Coś ci z tym zafajdanym instruktorkiem nie wyszło?

– Nie widziałam się z nim.

– I byłaś u rodziców w Toruniu.

– Oczywiście – skłamała, co przychodziło jej z taką łatwością, jak sikanie po udanym stosunku.

– Odwiedzę ich w środę.

– Ucieszą się. Mama bardzo cię lubi.

– Ja ją też – rzekł zgodnie z prawdą, przywołując w pamięci obraz zgrabnej sylwetki i rasowej twarzy teściowej. – Ile ona ma lat?

– Sześćdziesiąt cztery.

– Wcale jak na dzisiejsze czasy niedużo.

– A co? Bzyknąłbyś ją?

– Gdyby nalegała... Dobranoc.

Rozjątrzył jej ambicje i wilgotne, niezaspokojone łono.

– Zwykle, każdej nocy, próbowałeś wpakować się do mnie do łóżka.

– Bez sukcesów.

– Może dzisiaj się uda?

– Dzisiaj wolę się porządnie wyspać, czego i tobie życzę, Aldono.

– Coś ty powiedział?!
Ale ze mnie kretyn – pomyślał i poprawił się:

– To imię bohaterki romansu, w którym mam grać. – „Na dobitkę” dobił ją, znowu robiąc błąd: – Być może za oceanem.

Pogodziła się chyba wreszcie z jego wyraźną niechęcią do rozmowy, ale musiała być wściekła, bo jeszcze długo rzucała się w łóżku.

18

W środę, w Toruniu, gdzie po męczącym zdjęciowym, ciągnącym się aż do późnego wieczora dniu Artur trafił z Aldoną do łóżka w prywatnej kwaterze nad Wisłą – podczas gdy reszta ekipy spędzała wesołą noc w hotelu – kochanka powiedziała leniwie nad ranem:

– Wracamy do Łodzi?

– Już?

– A na co czekać?

– Na śniadanie.

– Zjemy gdzieś po drodze, w Ciechocinku albo we Włocławku – mruknęła najwyraźniej nagle zła o coś i zniecierpliwiona.

– Wczoraj byłaś w świetnym nastroju – dziwił się Artur. – Co ci odbiło, kochanie?

Nie odpowiadając, wyskoczyła z łóżka i poszła pod prysznic. Gdy wróciła, oświadczyła chłodno:

– Muszę zobaczyć się z Damianem.

– Nie ciągnąłem cię do Torunia.

– Wiem, ale czuję się podle. On w szpitalu, a ja na gościnnych występach.

Jechali alfą romeo; czerwony ford pisarza został w Łodzi, na podwórku przed rezydencją. Kiedy po trzech godzinach zobaczyli Łódź, humor Aldonie wyraźnie się poprawił.

– Pójdę odwiedzić Damiana w szpitalu, ale wieczorem możemy wybrać się gdzieś.

– Do knajpy?

– Może raczej na jakąś imprezę. Byle tylko nie kino ani filharmonia.

– Opera? – zażartował.

– Nie wygłupiaj się. Mówiłeś coś o nielegalnych walkach psów.

– Naprawdę chciałabyś coś takiego zobaczyć?

– A czemu nie?

Szczupłe i subtelne kobiety kochają często krwawe, okrutne igrzyska; korpulentne i rubaszne brzydzą się nimi.

CZĘŚĆ DRUGA

GWAŁT. SZEPTY. ZGONY.

INTRYGII. MILCZENIE...

1

Damian Ross był w czwartek w krytycznym stanie; Aldona przesiadła u niego do jedenastej wieczorem, po czym, zmęczona i rozbita psychicznie, pojechała prosto na kwaterę – i wściekle psy, w kolczastych obrożach i kagańcach, musiały poczekać.

Wituś, potężny, łysy odzyskiwacz długów, który napomyczał Arturowi kilkakrotnie o piątkowej imprezie u Magielińskich, był przekonany, że aktor nie zbojkotuje zaproszenia, Nawrot jednak ani myślał tam iść.

Lolita czy jak jej było... – rozważał. – Może kiedyś, w przyszłości, lecz na pewno nie teraz. Tylko kompletny idiota, mając u boku bogatą Amerykankę i walcząc o jej względy, mógłby wystawić na próbę taką... rokującą wielkie nadzieje zażyłość. Jest trochę szalona, żądna silnych wrażeń, więc od Magielińskich muszę trzymać ją z daleka. Wściekle, krwawe, rozjuszone psy, walczące na śmierć i życie wobec oszalałej gawiedzi, powinny wystarczyć.

W owych zasnutych mgłą ponurej tajemnicy łódzkich katakumbach, w labiryncie mrocznych korytarzy, znaleźli się o siedemnastej trzydzieści, wtedy akurat, gdy u Magielińskich nabierało już rozpędu przyjęcie. Kiedy był tu z wymuszaczem długów za pierwszym razem, katakumby, puste i ciche, nie wydawały się odrażające. Teraz zauważył tu i ówdzie pod ociekającymi wilgocią ścianami śpiących na gołej podłodze bezdomnych, a gdzie indziej wory i torby ze śmieciami, wśród nich rozprute i cuchnące jak zaraza.

Zauważył w wątłym świetle uczepionych sufitu lampek, że Aldonę, kobietą śmiałą i nieokazującą jak dotąd strachu, wstrząsają dreszcze zgrozy i obrzydzenia.

– Tu są szczury – szepnęła, kiedy duży, niby to przestraszony, lecz jakimś cudem tłusty gryzoń prysnął jej spod nóg.

Pocieszył ją:

- Już dochodzimy.
- Może lepiej wycofać się, póki czas?
- Przecież chciałaś.
- Bo jestem głupia.
- No masz! Oto i cel.

Stojący u masywnych drzwi goryl, pilnujący wejścia do psiej areny, poznał Artura i wyciągając do uścisku rękę, rzekł głośnym, grzmiącym w piwnicznych czeluściach głosem:

- Moje uszanowanie! Z gościem?
- Godnym zaufania.
- Się rozumie! - Ucałował z pietyzmem grzbiet kobiecej dłoni i wpuścił ich do środka, w gwar, tumany dymu, odór potu, jęki, okrzyki, przekleństwa, złowrogie warczenie ogarów.
- Zupełnie jak na dzikich walkach bokserskich w Nowym Jorku - zauważyła dużo już weselszym tonem Aldona.
- Nie jesteś już zła, że cię tutaj przywlokłem?
- Skądże!

Wyjaśniał jej powoli, gdzie się co znajduje w psiej mordowni. Tu jeden bukmacher, tam drugi. Oto bar o jednej półce, w którym można dostać spod lady wszystkie alkohole świata. Oto główny ring dla psów. Oto miękkie krzesła dla VIP-ów, twarde dla pospółstwa. W głębi koedukacyjna toaleta. Jednym słowem: Eldorado półświatka, okraszone wisienkami biznesmenów, polityków i ważniaków.

- Artyści też bywają? - zapytała.
- Jestem tu dopiero drugi raz, więc jeszcze żadnego nie widziałem, lecz sądzę, że tak. Mają przecież wyjątkową skłonność do hazardu. O, ten tam! Popatrz, w czarnych okularach i cyklistówce. Dam głowę, że to jakiś artysta.

Aldona spojrzała we wskazanym kierunku i drgnęła. Chłopak, opalony, przed trzydziestką, również zerknął na nią przelotnie, po czym odwrócił wzrok. Ktoś śledzący uważnie akcję tej powieści mógłby się zdziwić, że tych dwoje nie pozdrowiło się w ten czy inny sposób.

Nawrot, wyczulony jak każdy wrażliwy aktor na najmniejszą nawet zmianę w geście lub słowie, uchwycił to nerwowe drgnięcie Aldony.

- Coś się stało? – zagadnął z troską.
- A co się niby miało stać? – odparła obojętnym tonem.
- Wszystko w porządku?
- Oczywiście. Naprawdę można dostać tu drinka?
- Tak. Na co masz ochotę?
- Na szklaneczkę szkockiej.
- No to chodźmy do baru.

Przedostali się przez tłum do rozanielonego właściciela „szynkowni” i złożyli zamówienie. Artur jako kierowca wziął colę.

- Stawiacie na jakiegoś kundla? – rzucił na wabia właściciel.
- A ma pan jakiś typ?
- Dla przyjaciół zawsze coś znajdę. Ja na ten przykład postawiłem trzy stowy na tego zdechlaka od Machory.
- Jakiej rasy?
- Machora czy pies? – zarechotał barman. I dodał zaraz: – Bokser. Rasowy, bojowy.
- Kiedy walczy?
- W trzeciej odsłonie.
- Z kim?
- Z innym bokserem.
- Jaką ma ksywę?
- Raptus.
- A ten drugi?
- Powolniak.
- Spróbujesz szczęścia? – zwrócił się Artur do Aldony.
- Czy ja wiem? – Przyzwyczajona do wygod kobieta wierciła się na rozchybotanym krześle. Przypomniała sobie wędrówkę ponurym i przerażającym podziemiem: tłustego szczura, rozszarpane i cuchnące wory śmieci, bezdomnych, śpiących na gołej ziemi z łokciami pod głową. – Może lepiej, jak sobie pójdziemy gdzie indziej.
- Rzuć okiem choćby na jedną walkę.
- Dobra – przystała niechętnie.

Lecz przedarłszy się do otoczonego szczelnie widzami koliska i popatrzawszy na umieszczoną w dole klatkę, przekonali się, że Powolniak i Raptus, dwa rosłe, wspaniale umięśnione boksery o poszarpanych uszach i pyskach, wcale nie mają ochoty stoczyć ze sobą śmiertelnego boju. Szczute i podjudzane przez treserów i rozsierdzoną, żądną wrażeń publikę szczerzyły niby ociekające śliną kły i zębiska, a nieraz jeden czy drugi machnął od niechcienia pazurzastą łapą, w końcu wszakże legły obok siebie i Raptus przytulił brzuch do grzbietu Powolniaka.

Wywołało to serdeczne oburzenie spragnionej krwi i okrucieństwa widowni.

- Do cyrku z nimi, nie do klatki!
- Uśpić!
- Zagazować!
- Oddać do schroniska dla zwierząt!

W tym samym jednak momencie do gry wtarabanił się los, dotyczący również Aldony i Artura. Zaczęło się prac dwóch kibiców, z początku na pięści, potem na noże. Jeden, ten niższy, zwinniejszy, trafił i na białej koszuli przeciwnika zakwitła niczym róża czerwona plama krwi.

Emocje wróciły!

Psy ustąpiły pola ludziom.

Chcieli krwi, mają krew!

Walczyły już teraz dwie pary. Niebawem wkroczyła do akcji trzecia, czwarta i piąta. Jakiś świdrujący, kobiecy głos wrzasnął:

- Uważaj, mańkut!
- W jajca go, Bartek! W jajca!
- Wykończta Pietrynę, chłopaki!

Padły stoły, ławy, fotele i krzesła. Psy szczerzały jak oszalałe i targały się na smyczach. Niektóre hasały swobodnie po klepisku. Ktoś ze starego rocznika zawył:

- Milicja!

Ktoś inny, poprawił go natychmiast:

- Policja!
- Szpicla mamy wśród nas i zadzwonił kapusta-frajer po gliny!

Nawrot w ogólnym rozgardiaszu i tumultie usłyszał zbawczy pozornie szept.

– Bierz pan damę i spadamy, panie Arturze.

Władcze ramię Witusia, egzekutora finansowych zaległości, chwyciło go wpół i powlekło wraz z Aldoną do wyjścia. W katakumbach Wituś wszedł między nich i z niejaką poufałością też objął kobietę w pasie. Dziwne, ale obecność łysego, dość prymitywnego, jak oceniała, lecz silnego i stanowczego mężczyzny sprawiła, że w mrocznych, ponurych korytarzach nie bała się już tłustych szcurów i rozplątanych worów ze śmieciami, w których pewnie znajdowały pożywienie.

Dopiero kiedy znaleźli się na podwórku i zaciągnęli z lubością świeżym powietrzem, Wituś zapytał z wyrzutem Artura:

– Czemu nie poszedł pan do Magielińskich? – I zapalił.

Nawrot machnął ręką, odganiając od siebie chmurę papierosowego dymu, i usiłował skwitować tę niewygodną kwestię milczeniem, w oczekiwaniu, że łysy wykaże się taktem. Ten jednak napierał:

– Oni tam na pana czekają.

– Nie przyrzekałem, że przyjdę – bronił się skonsternowany aktor.

– Ale przypominałem panu kilkakrotnie o tej ważnej dla Stefanii imprezie.

– Miałem z tą panią – wskazał na Aldonę – inne plany.

– Psy? – zdziwił się szczerze odzyskiwacz długów, zapatrzony z zachwytem w piękną, opaloną złościście kobietę.

– Mogłabym wiedzieć, o co chodzi? – wtrąciła się Aldona.

– Och, nic ważnego. – Machnął znowu Artur ręką, wydmuchując trujący dym, bo też zapalił.

– Przeciwnie – zaprotestował Wituś i wciąż zapatrzony w twarz Aldony, zaczął jej referować sprawę:

Magielińscy, Janusz i Stefania, to znane w Łodzi, uprawiające sztukę małżeństwo. Obydwoje malują i obydwójce odnoszą w tym szlachetnym zawodzie sukcesy. Ich obszerna pracownia na poddaszu jednego ze śródmiejskich domów stała się ulubionym miejsce spotkań artystów. Przychodzą tam plastycy, poeci,

pisarze, wszelkich stylów muzycy, architekci, znani prawnicy i lekarze. Niedawno, dokładnie tydzień temu, odbyło się u nich przyjęcie z okazji wspaniałej wystawy obrazów Janusza. Artur Nawrot i jego żona Krystyna uczestniczyli w nim jako honorowi goście. Zaraz po tym miała wernisaż swych awangardowych, nie dla wszystkich zrozumiałych prac Stefania Magielińska, która, aby uczcić to jakże ważne dla niej wydarzenie, zorganizowała dzisiaj huczną kolację z doskonałą kuchnią, alkoholem i mechaniczną muzyką. Miała nadzieję, że honorowym i najważniejszym gościem na tej imprezie zostanie znowu powszechnie znany i uznany aktor, pan Artur Nawrot.

– I zaapelowała do mnie – zakończył swą relację odzyskiwacz długów – abym go na nią gorąco w jej imieniu zaprosił, co, Bóg mi świadkiem, parokrotnie uczyniłem.

– Dlaczego mi o tym nie wspomniałeś? – zwróciła się z wyraźną pretensją do Artura piękna pani.

– Nie widziałem takiej potrzeby.

– Woląłeś, żebym oglądała cuchnące korytarze, tłuste szczury, wściekłe psy i bójki nożowników?

– Sama chciałaś to obejrzeć.

– Ale gdybym wiedziała, że jest jakaś artystyczna zabawa, na której można w dodatku coś zjeść, wypić i potańczyć, naprawdę wołałabym ją od mordowni z kundlami.

– Nic straconego – bąknął odzyskiwacz długów.

Spojrzała na niego swoim uwodzicielskim wzrokiem i zapytała:

– O której to się zaczęło?

– O siedemnastej.

– A skończyło?

– Nic się nie skończyło. Rozkręca się dopiero i będzie trwało do białego rana. Właśnie tam jadę.

– Więc i my jedziemy! – Spojrzała rozkazująco Arturowi w oczy Aldona.

– Magielińscy będą zachwyceni i zaszczyceni – zapewnił pospiesznie Wituś.

– Miało być dyskretnie – napomniał zdenerwowany, wystraszony Nawrot.

- I będzie! - zaśmiała się rozochociona pani. - Nie znam tam nikogo, bo nigdy nie bywałam w takich... artystycznych kręgach, i mnie też nikt nie pozna.

- Jeśli tam pójdziemy, ten, co leży w szpitalu, będzie na mnie wściekły.

- Ten, co leży w szpitalu - odbiła piłeczkę - będzie na ciebie wściekły z innych zupełnie powodów.

Wituś natychmiast uchwycił wąż i przyjrzał się obojgu z zazdrosnym uznaniem. Uśmiechnął się, co nie umknęło uwadze kochanków. No niech mnie! - pomyślał. - Może być dzisiaj wesoło jak nigdy.

2

W mansardzie u Magielińskich znaleźli się wszyscy, którzy powinni się znaleźć, ale brakowało zapalnika. Byli wszelkiej maści muzycy i malarze, byli poeci i niewyraźni seksualnie pisarze, była para architektów, napalony nieustannie chirurg estetyczny, podciągający od kilku lat wątpliwą urodę Stefanii, grono prasowych i telewizyjnych dziennikarzy z aparatami fotograficznymi i kamerą, gdyż próżność gospodyni była o jak największy rozgłos. Nie zabrakło prawników: skurwionego i skorumpowanego na wszelkie możliwe sposoby adwokata, podstarzałego sędziuchy na emeryturze – najmocniej przepraszam! w stanie zasłużonego spoczynku – oraz nieco młodszego od niego prokuratora Pucharka z taką ilością grzechów na obrzmiałym karku, że we Francji sto trzydzieści lat temu opadłoby ze świstem sprawiedliwe ostrze gilotyny.

Ale mimo tak znakomitego składu, dobrych napitków, smacznych zakąsek i posuwistych, lecących z głośnika walców i tang, że to same nogi rwały się do tańca, a łona do przytuliska, impreza, prawdę mówiąc, kulała wyraźnie, wlokąc się w noc na podciętych nogach.

– Nawrot nawalił – zauważyła ze smutkiem biegną w slangu młodzieżowym była modelka Lolita.

– Tulący się do niej miłośnie Janulek Magieliński rzekł kwaśno:

– Aż tak bardzo za nim tęsknisz?

– Może nie tak bardzo, nie przeginaj, ale przypasowałby na bzyk.

Podrażniony w swych ambicjach pisarz, niewysoki, czarniawy, z opuchniętą, obwisłą, dolną wargą, wtrącił zjadliwie:

– Też mi strata, mościa panno. Podrzedny aktorzyzna i nic więcej.

– Niewykluczone, że pojawi się jeszcze.

– I będzie roztaczał swoje kryminalne blaski. Zagrał w adaptacji mojej nagradzanej powieści, choć wcale tego nie chciałem.

– Już pół do ósmej – stwierdziła Stefania.

– I co z tego? – bąknął zajęty obmacywaniem modelki drobny, mały Januszek.

– Nawrot Nawrotem, ale gdzie jest Wituś?

– O której miał być?

– O dziewiętnastej. On jeden nigdy się nie spóźnia.

– Widocznie zatrzymało go coś ważnego.

– To mógł zadzwonić.

– Zaraz przyjdzie.

– Oby! Jak o dziesiątej zwali się głodna i spragniona żulia, kto zrobi z nimi porządek?

– Dzisiaj, po wielkim twoim sukcesie – zasyczała cynicznie starszawa mędrzyni, zajmująca się krytyką teatralną – mogłabyś wyjątkowo przyjąć biedaków chlebem i solą.

– Nie jestem siostrą miłosierdzia.

– Ale, ale! – Zreflektował się ktoś. – Nawrota nie ma, lecz co z jego uroczą żoną Krysieńką?

– Fakt – podjął temat inny mężczyzna. – Poprzednim razem przyszli tu obydwój.

– W separacji.

– A jednak! Ona wprawdzie nie pije, lecz ma gorące udka i nie opuszcza żadnej balangi.

– Żebyś wiedział – odezwał się z kąta smutny głos.

– Jesteś?

– Jestem.

– To co się kryjesz? Chodź tu do nas. A czemuż to dzisiaj bez sławnego męża?

– Zatrzymali go na planie w Toruniu – skłamała. – Ale pamięta o tobie, Stefanio. Prosił, aby przekazać ci serdeczne gratulacje.

Akurat w tej chwili, jak na złość, w drzwiach pojawił się łysy odzyskiwacz długów, a tuż za nim Artur i Aldona.

Ku niezadowoleniu pisarza aktor powitany został gromkimi brawami.

– Nareszcie, szalawiło! – zaskrzeczała Stefania i żeby pokazać, jak bardzo lubią się z gwiazdorem, dopadła go i pocałowała w usta.

Aldona przyglądała się temu chłodno, jak to Amerykanka, i już po chwili uszło ze Stefy całe powietrze. Na reakcję reszty znakomitych gości też nie trzeba było długo czekać. Każdy zaczął się oczywiście prężyć, że to nie takie cuda widywał. Dobrze wychowani mężczyźni powstali jednak, wypinając pierś i prostując kark, jak to czynią zazwyczaj w obecności przystojnej, wyższej od siebie kobiety. Panie natomiast, choć do Paryża można jeździć codziennie i kupić wszystko, co tylko chcesz włożyć na grzbiet, błyskawicznie poznały się na czarnej, cętkowanej torebce Armaniego i pantoflach Gucciego na płaskim obcasie i jedne gotowe były niezwłocznie paść przed opaloną księżniczką na kolana, bo kto by nie pragnął przedefilować z taką przyjaciółką po Piotrkowskiej bądź pójść z nią do kawiarni, inne natomiast stroszyły piórka na krzesłach.

Najbardziej czuły się obrażone te ładne, zamożne i dobrze ubrane. Choć Aldona nie powiedziała nikomu nic przykrego – przeciwnie, szczerze rozdawała dookoła przyjazne uśmiechy – znienawidziły ją od pierwszego wejrzenia. Żadna dama, mająca o sobie wysokie mniemanie, nie cierpi, kiedy mężczyźni zaczynają otaczać lub ostrzeliwać wzrokiem inną kobietę. A tak właśnie było. Więc aby nudny wieczór nie przemienił się w kompletną katastrofę, zaczęły jedna drugą podnosić na duchu.

– Phi, też mi elegantka!

– Na cholerę jej wieczorem te wielkie słoneczne okulary?

– I ta paradna czapeczka!

– Powiem staremu, to mi taką kurtkę przywiezie jutro z Londynu.

– Jest w Londynie?

– Tak.

– To możemy sobie u ciebie pohasać.

– Jeśli ta małpa nie poderwie nam najlepszych towarów.

– A widzisz tu takich?

– No, choćby ten Nawrot.

- Myślisz, że już ją posunął?
 - Nie mam pojęcia.
 - Kto to w ogóle jest? Nigdy jej wcześniej w Łodzi nie widziałam.
 - Pewnie jakaś warszawska albo krakowska aktorka.
 - Ty, uważaj! Szykuje się draka.
- Do Aldony i Artura, którzy rozmawiali ze Stefanią, podeszła niepewnym krokiem Krystyna.
- Mógłbyś mnie przedstawić swojej znajomej – zaczęła. I do razu dostała w nos.
 - Chyba odwrotnie – odparował bez pardonu Artur. – Alino, pozwól, że ci przedstawię moją byłą żonę Krystynę.
 - Dlaczego byłą?! – warknęła Krystyna. – W sądzie jeszcześmy się nie rozwiedli.
 - Ale w łóżku.
 - Już nie pamiętasz, jak próbowałaś mi się do niego wpakować?
 - Pamiętam, że nic z tego nie wyszło,
 - Wszystko jeszcze można odwrócić.
 - Bez wątplenia, ale odwróć to ze swoim instruktorem jazdy.
 - Nie dosłyszałam nazwiska – zaatakowała Krystyna Aldonę, która bezbłędnie podjęła narzucone przez Artura kłamstwo.
 - Laskowik. Alina Laskowik. – Wyciągnęła do Krystyny rękę. – Miło było panią poznać, ale...
 - Jest pani spokrewniona z tym... komikiem? – naciskała rozeźlona teraz nie na żarty Krycha.
 - Och, to mój kuzyn, lecz, pani wybaczy...
 - Odczep się od nas, i to już – wycedził przez zęby aktor.
 - Mam z... pani mężem do omówienia kilka służbowych kwestii – zawtórowała już bez uśmiechu Aldona.

Ze stężałą od nienawiści twarzą pani Nawrot odeszła na stronę, gdzie otoczył ją momentalnie wianuszek owych zamożnych, urodziwych, eleganckich kobiet i rozpoczął się sabat czarownic na Łysej Górze. Gdyby Artur i Aldona mogli usłyszeć, o czym czarownice „radziły”, ścierpłaby im skóra i stanęły włosy na głowie. I zaczęliby z pewnością żałować, że tu przyszli. Tymczasem jednak raczyli się spokojnie whisky, obydwójce, gdyż

aktor postanowił, że alfę pozostawi w spokoju i do wynajętej przez Damiana rezydencji pojedą taksówką.

– Wybaczam ci – szepnęła Aldona, kiedy zasiedli przy małym stoliku.

– Cieszę się, ale co mianowicie?

– Że nie chciałeś mnie tu przyprowadzić.

– Ano, nie chciałem. – I pomyślał o Damianie.

Ona wszakże pomyślała co innego: fajny jednak z niego drań. Jest wrażliwy. Usiłował zaoszczędzić jej tej drażliwej konfrontacji z żoną.

3

Dym, bierne palenie, też zabija.

Wituś, niegdyś mafijny komornik, dopuszczany u Magielińskich do wszelkich poufałości, z harcami erotycznymi włącznie, w dalszym ciągu pełnił u nich jednak odpowiedzialną funkcję cerbera. Pracował zazwyczaj w środku, siedząc na krześle u drzwi, lecz tym razem wyszedł na klatkę schodową, aby odetchnąć od morderczych, tytoniowych oparów.

W psiarni kopcili, u Magielińskich kopcą, Nawrot kopcił w tym swoim szykownym samochodzie... Przecież to można trzasnąć kopytami! Sam też od czasu do czasu lubił sobie zapalić przy kielichu, lecz wyłącznie w czystych, wietrzonych pomieszczeniach, i w gruncie rzeczy czuł się wolny od tego paskudnego nałogu. Nigdy nie przejdzie mu natomiast chyba pociąg do kobiet, niekoniecznie pięknych, ale tych, od których wprost emanuje zmysłowością. A od tej cudownej, rozkosznej laski Nawrota bucha ona każdym zakamarkiem ciała. No i pozwoliła objąć się w pasie! Kto wie, jak potoczy się dzisiejsza noc?...

Usłyszał kroki na schodach. Jako były gliniarz potrafił wydedukować, kto nadchodzi: kobieta czy mężczyzna, stary czy młody. Na żulię, różnych artystycznych głodomorów bez kwiatów i obowiązkowej butelki było jeszcze troszeczkę za wcześnie. Zwalali się z reguły około dziesiątej, kiedy już wszyscy w mansardzie byli uchłani i bardziej skłonni do ustępstw, byle ich się tylko pozbyć.

Westchnął. Zza zakrętu schodów wyłonił się bezczelnie uśmiechnięty Bartek Szybka Noga, aktualny policjant, którego Wituś serdecznie od dawna nie znosił. Ten wszakże uważał, że są kumplami.

– Sie ma! – powiedział, wulgaryzując, jak i pożyteczny skądinąd Jurek Owskiak, ten przyjazny, typowo łódzki zwrot, bo powinno

być: Sie masz, czyli: Jak się masz?

Wituś odburknął coś na to pozbawione sensu powitanie. I przepuścił gościa. Nie mógł go zwodować na spokojne morze odpływu, bowiem Szybka Noga był wyśmienitym dupcyngierem i cieszył się wielkim wzięciem u kobiet.

Ile ona może mieć lat? – wrócił tkliwie do swoich rozważań. – Pięćdziesiątki dobija, ale Polki w tym wieku wyglądają jak znużone szkapy. Ej, chyba przekroczyła dopiero czterdziestkę. W starym piecu diabeł pali. Coś w tym jest. Diabeł pali, a ogień bucha, parząc obłądnie.

– Pan do kogo? – zagadnął młodzieńca, który wyrósł przed nim niespodziewanie.

– A to nie jest przypadkiem pracownia państwa Magielińskich? – Młody, układny mężczyzna obdarzył go uśmiechem.

– Ano, przypadkiem jest – przyznał Wituś, obserwując intruza z uwagą. Był w czarnych okularach i odwróconej daszkiem do tyłu bejsbolówce, w niebieskich adidasach, niebieskiej bluzie i krótkich, beżowych spodniach do kolan. – Czemu pan pyta?

– Bo sporo o niej słyszałem.

– Coś dobrego? – badał były egzekutor wszelkich mafijnych zaległości.

– Wesołego.

– Chce pan wejść?

– A można?

– Jeśli został pan zaproszony... – zawiesił Wituś swój niski, chropawy głos.

– No nie, ten zaszczyt mnie nie spotkał.

– Więc nie można.

– Szkoda. – Młodzieniec, który z czymś tam Witusiowi się kojarzył, zrobił obrót i odszedł takim krokiem, jakby wcale mu nie było szkoda.

– Kim pan jest? – rzucił za nim egzekutor, słysząc, że zeskakuje po dwa stopnie ze schodów.

– Badaczem łódzkich obyczajów – odkrzyknął młody gość, trzymając w ręku niedużą, niebieską torbę Adidasa.

- Pewnie jakiś sportowiec albo muzykant - zawyrokował odzyskiwacz długów i wrócił do swoich słodkich rozmyślań o pięknej kobiecie. Na schodach zaczęły pojawiać się już pierwsze głodomory.

4

Jako się rzekło: impreza z początku wlokła się niby kulawy zając przez łąkę, brakowało zapalnika. Lecz obecność Aldony i Artura sprawiła, iż dostała ostrogą w bok i ruszyła galopem. Strzelały korki od ruskiego szampana, lało się wino, płynęła szeroka strugą wódka i whisky. Uściski i ukradkowe pocałunki stały się śmielsze, jak to zwykle bywa, kiedy powściągliwe niewiasty umoczą dziób.

Do siedzących przy karcianym stoliku Artura i Aldony ciągle ktoś podchodził: a to po autograf, a to po miłe słówko lub też tylko, by popatrzeć z bliska na Aldonę, której, w przeciwieństwie do Nawrota, sprawiało to przyjemność. W pewnym momencie, u boku promieniejącej Stefanii, stanął przed nią pewny swych męskich powabów Bartek Szybka Noga.

– Pozwól, Alino – zaskrzeczała swym drażniącym głosem gospodyni – że ci przedstawię naszego asa Bartosza, mistrza karate i wielkiego znawcę kobiecej urody. Ze względu na sportowe osiągnięcia nosi przydomek Szybka Noga.

– W biegach? – zainteresowała się Aldona.

– Nie – zaprotestował chełpliwie nadęty gliniarz. – W uderzeniach.

– To zaszczyt poznać wybitnego karatekę – rzekła uprzejmie Aldona. I na tym koniec. Uśmiechnąwszy się łaskawie, więcej już na nich nie spojrzała, podtrzymując rozmowę z Nawrotem.

Obydwoje, tak Stefania, jak i Bartek, poczerwienieli z urazy. Ona chciała pokazać, że od dawna jest z „Aliną” w zażyłych stosunkach, kto wie nawet, czy nie miały romansu, on zaś pragnął zademonstrować damie o pańskich manierach, jak wygląda prawdziwy mężczyzna, nie na ekranie bynajmniej, lecz w realnym życiu.

Sceny tej nie uronił sabat czarownic, spiskując pod batutą Krystyny.

– On się nada! – zaopiniowała pierwsza czarownica.

- Wprost do tego stworzony – przytaknęła druga.
- No to mamy już trzech – orzekła Krystyna. – Przydałby się do kompletu czwarty.
- Znajdziemy – oświadczyły zgodnym nieomal chórem wszystkie czarownice.
- I pilnujcie wrzutki!

Człowiek postronny niewiele by z tego zrozumiał. Okrucieństwo zazdrosnych bądź urażonych kobiet przekracza wszelkie moralne granice. Z mężczyznami jest zresztą podobnie, tyle że płęć piękna góruje nad nimi krętaństwem, wyrachowaniem i bezwzględnością.

Mówiliśmy przed chwilą o galopie, który konie wykonują na torze, zaś ludzie na parkietach w takcie dwudzielnym. Ktoś sobie o tym przypomniał i zakrzyknął:

- A co z muzyką, pani Stefanio!
- Miały być tańce!
- I będą!

I towarzystwo zaczęło się wyklócać, co puścić. Gusta były podzielone, gdyż rozpiętość wieku wynosiła od trzydziestu pięciu do siedemdziesięciu. Jedni, ci starsi, chcieli Elvisa Presleya i Beatlesów, inni twardego, agresywnego rocka; ktoś znowu wspomniał o Lady Pank i paru znanych polskich zespołach, protestując przeciwko słuchaniu ciągle tych anglosaskich cwaniaków. A dlaczego nie wrócić do tego, co było na początku: romantycznych walców i tang sprzyjających namiętnej miłości? Stanęło wreszcie na tym, że wszystkiego będzie po trochu, ale najpierw Krzysio Krawczyk. To taki fajny i wszechstronny pieśniarz, najlepszy od czasów Niemena, do tańca i do rózańca, nawet zajazzować potrafi ze swingiem. On jeden z Polaków, poza Violetta Villas, śpiewał na estradach z amerykańskimi gwiazdoram i w nieosiągalnym dla innych Las Vegas.

- A tuż obok, w sąsiednich hotelach, występowały w tym samym czasie znakomite zespoły Duke'a Ellingtona i Louisa Primy – krzyknął jakiś miłośnik jazzu i zaimprovizował z pamięci:

Andżelina ty masz gaz,

daj mi dupy jeszcze raz,
Andżelina! Andżelina!
suku, suku, mama, mija!
O, ma! ma! Zumbu, zumbu, baku da!
O, ma! ma! trali! Lali! U-cha, cha!

Dostał za swój pijany występ skąpe brawa i z głośnika popłynęły młode i stare kawałki byłego Trubadura, wzruszające i wykonane z niebywałym biglem.

- Dałem gitarę, ale żonę wziąłeś sobie sam - powtórzyła z nostalgią Aldona.

- Nie jesteś śpiąca?

- Wprost przeciwnie.

- Ale nie pij już, proszę.

- Czemu? Już dawno nie czułam się tak... luźno.

W sercu Artura narastał lęk i niepokój. Działo się wokół nich coś dziwnego, niedobrego. Wszystko wibrowało erotyzmem. Krzysiek śpiewał: *O! o! o! Noc za krótka na sen!* Odkąd Aldona zbyła w wielkopańskim stylu Stefanię i Bartka, część gości patrzyła na nich krzywo. Konwent czarownic intrygował zawzięcie. Do Aldony podszedł niewyżyty seksualnie chirurg estetyczny, zamożniejszy od wszystkich bez wyjątku ratujących życie ludzkie kolegów, i ukłoniwszy się wpierw szarmancko Arturowi, zapytał, czy pozwoli zaprosić uroczą panią do tańca.

Nawrot był skłonny wyrazić zgodę, lecz Aldona uprzedziła go, odmawiając tym razem bez uśmiechu:

- Jestem zmęczona.

Nieprzywykły do porażek konował spurpurowiał niczym praśnięty w policzek i łamiącym się tenorkiem ponowił ofertę:

- Tylko jedno maleńkie, króciutkie tangusio, miła pani.

- Od kogoś się pan nauczył takich idiotycznych zdrobnień? - demolowała go Aldona. - W *Karierze Nikodema Dyzmy* występuje taki ministerek. Ale pan zapewne nie ma czasu na lektury. Powiedziałam, że jestem zmęczona. Żegnam.

- No, to jest komplet. - Ucieszyła się pierwsza czarownica, której asystował Bartek Szybka Noga.

– Doktorek nie puści takiej zniewagi – zauważyła druga.
– No to kujmy żelazo póki gorące! – Popędziła swoje wiedźmy Krystyna.

– Już?

– Już.

– Może poczekać, aż skończy się ten kawałek?

– A jaki będzie następny?

– *Taniec z szablami* Arama Chaczaturiana.

– Skąd wiesz? – Wytrzeszczyła oczy Krystyna.

– Słyszałam, jak zamawia to sędzia.

– Stary pierdziel chce pokazać, jaki z niego kulturalny jegomość.

– Przecież tego w żaden sposób nie zatańczy nawet mistrz świata.

– On widocznie potrafi.

– Ano, zobaczymy, zobaczymy.

Kiedy rozległ się szybki, porywający utwór ormiańskiego kompozytora, na parkiet, podrygując nóżkami, wydreptał drobniutki, siwiutki osobnik w asyście dwukrotnie wyższej od siebie i czterokrotnie cięższej kolubryny, której bary i piersi mogłyby przyprawić o trwogę mistrza świata wszech wag Tysona. Czego by nie powiedzieć o gościach Stefy, nie mieli zwyczaju natrzęsać się z czyjegoś nieszczęścia, tym razem przecież wszyscy chóralnie wybuchnęli zdrowym, niepohamowanym śmiechem, odwracając albo zakrywając przy tym twarze, bo sędziulek mógłby ich zapamiętać i wpakować za kraty, jak nie na całego, to w zawiasach.

Trzeba przyznać, że Temida w stanie spoczynku dzielnie wytrzymała ten szyderczy atak i obejmując rączynami ogromną, lecz wcale niebrzydką i w najmniejszej mierze niespeszoną kobietę, która wśród koszykarzy mogłaby uchodzić za rarytas, podrygiwała z werwą w rytm szalonej, armeńskiej galopady, za co zebrała w końcu oklaski.

– No, to do rzeczy – nakazała swoim wiedźmom żona Artura.

Działy wedle ściśle wytyczonego planu. Dwie, bez wątpienia przystojne, podeszły do aktora, podczas gdy Bartek Szybka Noga

stanął zdeterminowany przed Aldoną.

– Drogi panie Arturze, żadnych tłumaczeń! Zapraszam pana do tańca – powiedziała pierwsza.

Druga, stojąca obok czterdziestka, zrobiła taką minę, jakby chciała powiedzieć dokładnie to samo, ale została uprzedzona.

Artur zerknął na Aldonę, a ta skinęła niechętnie głową:

– Trudno.

Ledwie Nawrot wstał i ruszył z kobietą na parkiet, nad Aldoną pochylił się Bartek i syknął złowieszczo w zaniepokojoną twarz:

– Ja też zapraszam. Żadnej odmowy, bo będzie awantura.

Aldona pojęła natychmiast, że drań nie żartuje i uległa. Druga z czterdziestek, widząc że uwaga wszystkich skupiona jest na parkiecie, przysiadła na krześle Aldony i wrzuciła jej coś do szklanki.

W trakcie tańca, wolnego, czternastotaktowego bluesa *Royal Garden* – który Krawczyk, stary kawalarz, śpiewa trochę po Armstrongowski, i nie po angielsku, lecz po polsku, z chórkami przyjaciół za plecami: Mańkiem Lichtmanem i Sławkiem Kowalewskim, i z onomatopcją – Bartek Szybka Noga bezskutecznie usiłował skrócić dystans i przytulić się do pięknej, złocistej, pachnącej jak szczęśliwa młodość kobiety, ona zaś, z zaciętą miną, odpychała go oburącz, marząc, aby czym prędzej wrócić do stolika.

Royal Garden Blues tymczasem rozwijał wieszczę strofy.

Krzysiek:

Nadciąga burza, nadjeżdża fura

Chórek:

Będzie zadyma, będzie awantura

I wszyscy razem, w tercji:

Czarna jest chętna, biała jest zła

I sztop Krawczyka, a capella:

Zu di, zu bu, rata, tita

Sumbu dumbu da!

Tańczyła, bo co miała zrobić? Wyższy i znacznie silniejszy od niej Bartek znowu próbował przyłgnąć do smukłych, ponętnych ud i brzucha kobiety.

– Zostaw pan – warknęła.

– A co? Jestem taki straszny?

– Okropny. Łapy przy sobie! – Wyrwała się i wróciła na miejsce. Po chwili usiadł przy niej Nawrot.

– Dopiję tego drinka i spadamy – oświadczyła, ciągnąc łapczywie ze szklanki.

5

Właściciel kwatery, w której zamieszkał młodzieniec w kamienicy przy Sienkiewicza, był już dla gościa nad wyraz uprzejmy i zdołał zaprosić go na kolację, w której brała również udział jego ładna, ukochana wnusia, Kasieńka. Ten na pozór toporny mężczyzna okazał się znakomitym gawędziarzem, zaprzysięgłym łodzianinem, prawdziwym znawcą Ziemi Obiecanej. Ich nieczęste rozmowy, gdyż młodzieniec rzadko bywał w domu, wałęsając się gdzieś, zawsze ze swoją nowiuteńką torbą w dłoni, którą odebrał rzekomo od swojej narzeczonej, miały zazwyczaj formę monologu: gospodarz mówił z zapalem i nieomal bez przerwy, młody człowiek słuchał uważnie albo przynajmniej udawał, że słucha, krążąc myślami wokół innych dręczących go spraw i spoglądając od czasu do czasu na „wnusię”.

– Dzisiaj niby jest lepiej – ciągnął swoje wywody starszy pan – ładniej, czystiej, zasobniej, przed sklepami nie ma kolejek i można wszystko w nich kupić, panie tego. Wiele nowych obiektów przybyło: dworców, stadionów, ośrodków kultury, tak? Ogrodzili parki, wyremontowali ulice, postawili ławki na autobusowych przystankach, panie tego, bo kiedyś były tylko na tramwajowych, tak?

– Dziadku, nie męcz pana Andrzeja – interweniowała Kasieńka.

– Ależ skąd! – zaprotestował gwałtownie. – To, o czym pan mówi, bardzo mnie interesuje jako człowieka, który, bądź co bądź, urodził się w Łodzi.

– Widzi pan, ona – spojrzał z czułością stary na wnuczkę – miała zostać wedle moich i rodziców życzeń lekarką, prawniczką albo, panie tego, inżynierką, bo są to poważne, gwarantujące godziwe życie zawody. Tymczasem uparła się, żeby iść na Akademię Sztuk Pięknych i wykształcić... na artystkę, a takie dziewczęta nie lubią poważnych tematów.

– Och, niech pan nie będzie w ocenach zbyt surowy – łagodził Andrzejek, deliberując, co to za ziółko. Jeśli dziadek sądzi, że prawiczka, to jest w błędzie. Z niejednej gorącej patelni wciniała już jajka i zawsze jej smakowały. Ale z wypuszczeniem zatrutego grotu można jeszcze poczekać.

– Stara Łódź też miała swoje uroki, panie tego – rozpędzał się od nowa dziadek artystki. – Dzieckiem będąc, budząc się rano widziałem przez okno las kopających kominów, które zatrwały podobnie atmosferę i poznikały bez śladu razem z fabrykami i robotnikami od włókna i przędzy, tak? I melduję panu: jak były kominy, nie było zatrzęsienia samochodów, od których roi się teraz na każdej ulicy i które znacznie bardziej zapaskudzają powietrze, khe! khe! duszno w płucach, panie tego, tak?

Andrzejek przytakiwał ochoczo głową. Niewiele brakowało, aby sięgnął po notes, by zapisać uwagi starego dla potomnych.

– Lubi pan futbol? – zagadnął go znienacka stary.

– Nie bardzo – przyznał ostrożnie młodzieniec.

– A ja i owszem, mam na tym punkcie szmergla i wcale się tego nie wstydzę, panie. Poza przemysłem... Łódź, że tak powiem, futbolem stała. Była, rzecz jasna, filharmonia, był Teatr Wielki i parę innych teatrów, lecz prawdziwą sławę w kraju i w Europie zapewniała Łodzi piłka nożna. I tu od razu panu powiem, że myślę, jak to określają górnolotnie w telewizji, kompleksowo. Za ŁKS-em raczej całe życie stałem, ale bez nienawiści do Widzewa, czego kibice nie mogli mi wybaczyć. Albo rybka, albo... no wie pan, nie będę kończył przy wnusi.

– Nie zgorszysz mnie, dziadku – uspokoiło go dziewczę z cicha pęk.

– A ja im na to: jak Widzew kosi najlepsze europejskie kluby, to ŁKS na tym zyskuje, bo przecież nie u siebie, na tym parcianym kurniku grają, tylko przy alei Unii. No i poza tym, najważniejsze, miastu przysparzają chwały.

– I sławy – wtrąciło znowu odcytane najwyraźniej dziewczę.

– I sławy – przytaknął wnusi dziadulek. – ŁKS też miał zresztą pucharowe błyski za Antoniego Ptaka. Słyszał pan o nim? W Gorzowie Wielkopolskim?

– Słyszałem?

– Mistrza Polski z ŁKS-u zrobił i też harcował z chłopakami po Europie, popularyzując robotnicze miasto o nieszczęsnej nazwie. Wiem, wiem! Teraz już nie robotnicze, ale wobec Antoniego Ptaka niewdzięczne, a w każdym razie: obojętne, bo włodarze Łodzi w żaden sposób nie nagrodzili, nie uhonorowali Ptaka za jego wybitne osiągnięcia. Jedyne Maki, ten pisarz, co grał niegdyś na trąbce w sławnym łódzkim zespole Tiger Rag, oddał mu ponoć w swojej książce sprawiedliwość, lecz książka, mimo nacisków wydawcy, nie ukazała się jeszcze; pewien zazdrosny współpracownik Ptaka podstawił autorowi nogę, paraliżując robotę nad tekstem. No, ale znając upór Makiego, w końcu się ukáže i wtedy przeczyta ją cała Polska. Nie zanudzam pana?

– Przeciwnie.

– To słuchaj pan dalej. Kiedyś były w Łodzi dwa liche stadiony i dwie europejskiej sławy drużyny. Teraz powstały i wciąż się rozrastają dwie supernowoczesne areny piłkarskie z windami, natryskami, barami, dachami, lożami dla ważniaków jak w Madrycie albo Barcelonie; z monitoringiem i systemem zabezpieczeń. I dla kogo to wszystko, pytam z pijanym hałasem. Nawiasem mówiąc: może przeleci pan coś mocniejszego?

– Nie dziękuję, winko wystarczy.

– Dziadek od razu powinien postawić na stole tego stocka, to pan Andrzej może by się zdecydował – podjudzała Kasieńka.

– Nie, nie, naprawdę dziękuję. Bez koniaku też się pana świetnie słucha.

– Więc, drogi panie, kiedyś były marne stadiony i znakomite zespoły. Teraz odwrotnie: są dwa znakomite boiska i dwie drużyny rozpychające się łokciami w trzeciej lidze. Powiedz pan, czy to nie skandal?! Już nie drugie teraz, niestety, lecz trzecie miasto w kraju, bo wyprzedził nas Kraków, nie ma w ekstraklasie jednego choćby markowego klubu. Przecież to wyje o pomstę do nieba!

– Dziadku – wdarła się znowu w dywagacje starego wnuczka z cicha pęk. – Mówisz, że ja nie lubię poważnych tematów, lecz pan Andrzej – za każdym razem akcentowała to imię – nie

przepada za futbolem, więc pozwól mu trochę od niego odpocząć.

– Może masz rację – przyznał pokornie dziadunio. – Choć mówiłem o nim w szerszym, społecznym znaczeniu. – I zmienił tonację: – No to weźmy na tapetę, panie tego, sprawę żebraków i bezdomnych...

Ile ona może mieć lat? – zastanawiał się młody gość. – Dwadzieścia jeden? Dwadzieścia dwa? Trzeba uważać, żeby się w nocy nie wpakowała do łóżka, bo byłyby z tego duże kłopoty.

– ...nie twierdzą, że ich za Peerelu nie było – snuł rozważania gospodarz. – Szczególnie Cygaństwo rumuńskie, ale i rodacy. I to głównie na Piotrkowskiej. Siedzieli oparci plecami o ścianę albo na wózkach inwalidzkich, choć w biegu na sto metrów mogliby wygrać z Szewińską, i wystawiali łapę, pracując zwykle dla jakiegoś cwaniaka żrącego ciastka w Hortexie...

– To taki lokal ze słodyczami, panie Andrzeju.

– Wiem.

– ...lecz jeśli chodzi o bezdomnych, nie uświadczyłeś ich zimą na ławkach, na klatkach schodowych, w bramach, w kiblach, na dworcach, w krzakach okalających trawniki. Dlaczego? – zapytał sam siebie. – Bo były wolnostoje, znaczy się: lokale przeznaczone do rozbiórki, tak? W normalnym domu nie płacił jeden z drugim za gaz i światło, to mu je wyłączali. Komorne rosło, ale nikt go nie wyrzucał na bruk. Żył przy świecach, palił szmatami, odpadkami, pozrywanymi z ławek deskami, w ostateczności nawet porąbanymi na kawałki meblami. No i zawsze miał w odwodzie wolnostoje. – Gdy wymawiał tę nazwę, wnuczka uśmiechała się znacząco. – Pewnego razu odwiedziłem jeden taki grzmot pomiędzy Kilińskiego i Sienkiewicza. Zamieszkany był do ostatniego metra, od parteru po trzecie piętro. Ale wyburzyli go, zabierając ludziom dach nad głową. Wyburzyli także inne wolnostoje albo zabarykadowali je, zakleszczyli, zaplombowali, byle tylko ludzkość nie miała gdzie spać. Kościoły – zamknięte. Szpitale – tylko dla chorych. Schroniska dla zwierząt – tylko dla kotów i psów. Komisariaty – tylko dla przestępców. Bezdomny chlajus da sobie jeszcze jakoś radę, gdyż go gliniarze o miękkich

sercach zawiozą do izby wytrzeźwień. Ale reszta? Co ma robić reszta, skoro zatrzasnęli jej przed nosem wszelkie drzwi.

– A ty, dziadku, byłbyś zadowolony, gdyby u nas na klatce zamieszkał jakiś bezdomniak?

– Ja?

– Tak.

– No nie wiem.

– Rano zapukałby nieśmiało i poprosił o herbatkę.

– To by dostał.

– A nazajutrz o coś niewielkiego na ząb.

– Widzi pan, jaka przemądrzała? – Zachichotał gospodarz.

Młody gość doszedł do wniosku, że pora na zatrutą strzałę.

– Pani studiuje w Akademii Sztuk Pięknych?

– Tak – odparła. Pochlebiało jej, że Andrzejek zapamiętał to i że do tego wraca.

– Na którym roku?

– Na trzecim.

– Więc zapewne musi pani znać Janusza Magielińskiego, miewa tam przecież ze studentami zajęcia.

W blade policzki uderzyła gorąca, dziewczęca krew. Spłonęła szkarłatem.

– Miałam z nim ćwiczenia – przyznała zmienionym, ściszym głosem.

A więc to prawda – zanotował z satysfakcją. – Zakochała się w malutkim, utalentowanym figlarzu, który molestował również inne studentki, otrzymując wielokrotnie burę od surowego rektora.

– Wykupili tu bodajże za dobrych czasów pracownię na poddaszu, on i jego żona Stefania.

Stary przysłuchiwał się rozmowie z pogodnym zaciekawieniem, lecz wnuczka była zdumiona.

– Prowadzi pan śledztwo? – Roześmiała się w opanowanej już tonacji.

– Skądże znowu.

– Więc jakim cudem zdobył pan te wszystkie... informacje. – Nie dodała „panie Andrzeju”.

– Poznałem przypadkiem kilku jego studentów.

– Gdzie?

– W galerii malarstwa.

– Interesuje się pan sztuką?

– I to bardzo.

Teraz nie on ją przesłuchiwał, lecz ona jego. Sprytna suczka!

– Zna pan Rubensa?

– O, tak. Byłem w Antwerpii, w kościele, gdzie wisi jeden z jego obrazów, no i odwiedziłem zamienioną w muzeum, wielką rezydencję tego genialnego malarza i cichego szpiega. Uwielbiam *Trzy gracje* i *Lądowanie w Marsylii*. Widziała pani?

– Nie miałam tego szczęścia.

– Całe życie przed panią. Luwr koniecznie należy zobaczyć, muzea watykańskie oraz Prado w Madrycie, nade wszystko Prado.

Nie tylko odzyskała do gościa zaufanie, ale była w nim po prostu zadurzona, co dziadunio spostrzegł i zaakceptował.

– Czemu Prado akurat tak pana urzekło, panie Andrzejku?

– No wie pani, Velazquez, Murillo, Goya, jego *Rodzina królewska*, *Maya naga*, *Maya ubrana*, *Rozstrzelanie powstańców madryckich*, gobeliny, grafiki, niesamowite *Kaprysy*.

– Mimo wszystko Włosi mieli większych malarzy – podjęło zafascynowane erudycją „Andrzejka” dziewczę, aby pokazać, że też coś kuma.

– Mieli ich z pewnością więcej, ale nie wiem, czy większych. W Toledo, w skromnym kościele, obejrzałem szesnaście obrazów *El Greca*.

– Poddaję się – westchnęła dziewczyna. – Ale czemu interesują pana Magielińscy?

– Na Włochów mnie nie stać, ale chciałbym kupić któryś z obrazów Janusza jako prezent dla naszego ojczulka. Byłem u nich, lecz jest tam jakaś impreza i nie chcieli mnie wpuścić.

– Wpuszczają tylko zaproszonych i starszych.

– A gdybym przyszedł z panią? Zrobiliby wyjątek?

– Nie sędzę, ale mogłabym wywołać pana profesora na zewnątrz.

- Byłbym wdzięczny.
 - Co ty na to, dziadku?
 - Idź, ale przed dwunastą chcę cię zobaczyć z powrotem.
- I uważaj na siebie.
- Oczywiście.

6

Aldonę wzięło. Nie zważając, że ktoś może to zobaczyć, pieściła uda Artura pod stolikiem.

- Chcę! – wyszeptała.
- No to wzywam taksówkę i jedziemy do ciebie.
- Teraz, natychmiast!
- Gdzie?
- Wszystko jedno. Dziwnie się czuję i muszę się położyć.
- Zaczekaj!

Podszedł do Stefanii i wyłuszczył sprawę:

- Jest zmęczona, miała bardzo ciężki dzień, chciałaby trochę odsapnąć.

- Ależ oczywiście, drogi Arturze, oczywiście. Zawsze do usług. Chodźcie za mną.

I wprowadziła ich do jednego z tych pomieszczeń za czerwoną kotarą, gdzie było szerokie łóżko, dwa nocne stoliczki po obu stronach zagłowania, zaś na wprost ogromne lustro, umywalka i sedes.

Nim wyszła, zaczęli się rozbierać, choć w zasadzie to on ją, dziwnie opieszale, rozbierał, ściągając z niej kurtkę, bluzkę, spodnie i majteczki. Sam, rozgorzały i skwapliwy, zdjął tylko spodnie do kolan i wszedł w nią z niehamowaną, dziką chciwością. Z początku odpłacała mu tym samym, wkrótce jednak zwiędła, zobojętniała i nieruchomo przyjmowała pieszczoty.

Czerwona, uczepiona u sufitu poręczą zasłona odjechała na bok i Artur, nawet o tym nie wiedząc, kończył miłosny akt przy pełnej widowni.

Rozległy się brawa.

Chichoty.

Westchnienia.

Potem jednak zapadła cisza. Dwóch krzepkich osobników, którzy pojawili się nie wiadomo skąd, na wezwanie Bartosza

zapewne, ucapiło Artura za ramiona i oderwało od ciała Aldony. I do ataku ruszył teraz Szybka Noga, też tylko do kolan ściągając spodnie.

Półprzytomna jeszcze, kontaktująca resztką świadomości Aldona próbowała się bronić.

- Nie, nie - prosiła błagalnie, zasłaniając twarz i zaciskając opalone kolana, ale gliniarz rozgarnął je i na oczach, trzydziestu, może czterdziestu osób rozpoczął się okrutny seans gwałtu.

Jedni patrzyli na to z fascynacją, inni z odrazą, niektórzy z zazdrością i pożądaniem. Tylko w megalomańskim pisarzu zagrało nagle sumienie

- To skandal! Barbarzyństwo! Tak nie wolno! - krzyczał, ale oberwał od osiłka pięścią w brzuch i osunął się na podłogę.

Bartek tymczasem, obserwowany z podziwem przez wiedźmy i triumfującą Krystynę, kontynuował ponure dzieło. Nie wystarczał mu seks, chciał także miłości. Rozgniatł ustami spuchnięte wargi Aldony, wpychał w nie język, tarmosił nos, całował oczy i uszy.

- Jeszcze, jeszcze! Nie oszczędzaj dziwki! - posykiwała Krystyna, zerkając mściwie na męża, który, zakleszczony przez osiłków, płakał.

Po Szybkiej Nodze położył się na Aldonie Januszek, romantyczny jak zwykle i tkliwy.

- Jesteś piękna, kocham cię - szeptał. - Zrobię to delikatnie i czule. Zapomnisz zaraz o tym brutalu. Będzie ci dobrze jak w raju.

7

Przed siedzącym na schodach Witusiem, byłym policjantem i egzekutorem długów, pojawił się znowu zagadkowy młodzian w czarnych okularach i odwróconej do tyłu bejsbolówce. Tyle że tym razem intruz, niby to dziennikarz, nie był sam. Miał u boku młodą, znaną Witusiowi dziewczynę, którą Janusz Magieliński obracał czasem na poddaszu.

– Serwus – pozdrowiła go panienka.

– Ano, serwus, serwus – odparował, wyrwany z marzeń o pięknej, tajemniczej kobiecie.

– Co słysząc?

– W porządku.

– Wpuścisz nas?

– Nie ma mowy.

– Przecież mnie znasz.

– I co z tego?

– Ten pan – wskazała na młodzieńca – chce kupić od profesora obraz.

– Niech wpadnie jutro.

– A dzisiaj zamienić z nim kilka słów.

– Słuchaj no, mała – warknął cerber egzekutor – to nie jest impreza dla młodzieży.

– Przecież jestem pełnoletnia.

– Nie szkodzi. Nie zostałam zaproszona ani ten pan, więc zmiatajcie.

– Oj, Wituś, Wituś. Miałam cię za porządnego gościa. Szczerze mówiąc, nawet mi się podobałeś.

– Ty też mi się podobasz. – Wymiękał egzekutor, patrząc na zdrowe, dziewczęce kształty.

No, no! – dumiał młodzieniec. – Wnusi zaczynają puszczać hamulce.

– Niech nas pan wpuści na pięć minut przynajmniej – poprosił.

– Jedyne, co mogę zrobić, to zawołać wam taryfę. – Grzecznie i przyjaźnie, lecz stanowczo położył im ręce na ramionach i sprowadził schodami na podwórko.

8

Aby uwierzyć, że nie jest to gwałt, lecz normalne, dobrowolne kochanie, Januszek założył sobie bezwładne ramiona Aldony na szyję i powtarzał w rytm wykonywanych ruchów:

– Moja śliczna, moja cudowna. Kocham cię, kocham, kocham, kocham.

Stefania uśmiechała się szyderczo; prokuratorów, rosły chłop, drapał się bezwiednie w krocze. Malutki sędzia szepnął do niego:

– Pyskamy stąd.

– Poczekaj.

– Na co?

– To jest takie... rajcujące.

– Nie masz chyba zamiaru?...

– Czy ja wiem?

– Rób jak chcesz, ja w każdym razie uciekam. Twoje notowania i tak nie są wysokie.

Ale prokuratora nie obchodziły już notowania. Nie obchodziła go żona i dzieci. Postanowił, że po lekarzu, który właśnie zmienił Januszka, on będzie następny.

Aldona, kompletnie już nieprzytomna, krwawiąca z nosa i ust, była niczym więcej jak manekinem, gumową lalką, czymś, co mogłoby tylko zachwycić miłośnika nekrofilii. I pomyśleć, że kara śmierci została w Polsce zniesiona, a jakiś spasiony babszyl nie może wyżyć za dziesięć tysięcy miesięcznie! Chirurg estetyczny surowo egzekwował swoje prawa. Nie miał zamiaru darować zniewagi. Nie chodziło jedynie o „maleńkie, króciutkie tangusio”, „idiotyczne zdrobnienia”, „ministerka od Nikodema Dyzmy”. No, poczekaj, teraz mi zapłacisz.

Był wysoki, przystojny i mściwy. Nie wybrał swej szalbierczej w wielu wypadkach specjalizacji, aby pomagać skrzywdzonym przez los bądź naturę kobietom, tylko żeby je łupić z pieniędzy, zaś te młodsze, uległe, sprawdzać w łóżku, w czym przypominał

niektórych – podkreślam: niektórych! – ginekologów oszalałych na punkcie pięknej płci.

– Może i nie masz pięćdziesiątki, ale tak cię urządzę, że będziesz wyglądała na sześćdziesiąt – posykiwał w głucho ucho Aldony, zmalretowanej, sponiewieranej, zaczynającej budzić już litość w najtwardszych nawet sercach.

9

Młody człowiek zapłacił z góry taksówkarzowi, który miał w nader krótkim kursie odwieźć wnuczkę do domu, a sam, ku rozczarowaniu dziewczyny, nie wsiadł i czekał.

Wspinający się po schodach Wituś zauważył to przez okno na półpiętrze, ale machnął ręką. Dziwny gościu, fakt. Nie wygląda na reportera. Ale na bandytę również nie wygląda. Może rzeczywiście chce kupić obraz Januszka i „wejść” przy okazji w towarzystwo?

– Witek!

– Co?

– Daj choć piątkę, bo wyskoczę przez okno. – Ostatni już chyba głodomor, niegdyś utalentowany portrecista, teraz szkielet człowieka w łachmanach, wyciągnął błagalnie rękę o brudnych i długich, zakrzywionych szponiasto paznokciach, w którą Wituś wcisnął momentalnie dziesięć złotych.

– Oj, Tomek, Tomek – powiedział. – Weź się za siebie, idź na odwyk, nie jest za późno.

– Dzięki – wyartykułował uszczęśliwiony ludzki wrak. – Zawsze był z ciebie porządny gość.

– Akurat!

Odsunął ciężkie drzwi i wszedł do spowitej mglistym światłem mansardy. Uśmiechnął się, widząc zgromadzoną publiczność, zapatrzoną w pomieszczenie za czerwonym parawanem.

– A więc mamy – mruknął do siebie – jakiś wesoły trójkącik albo czworokącik.

Przed odwróconym do niego plecami tłumem leżał na podłodze jakiś człowiek. Wituś podniósł go i usadowił na krześle.

– Co się stało?

– Stałem w obronie i dostałem w brzuch – odpowiedział nie bez trudu biały jak ściana pisarz.

– W czyjej obronie?

– Tej kobiety od Nawrota. Tam się odbywa zbiorowy gwałt.

Wituś roztrącił tłum. Miał na sumieniu różne małe i duże grzeszki. Zdradzał żonę, współżył z sąsiadką, odwiedzał agencje towarzyskie. Ale gwałt! Zbiorowy gwałt! Przecież to jest kryminal, dziesięć, dwanaście lat więzienia. No i coś okrutnego, ohydneho, niegodnego mężczyzny.

Dwaj trzymający Nawrota osobnicy uciekli na widok jego wścieklej twarzy. Aktor osunął się na podłogę, egzekutor zaś dopadł wciąż robiącego swoje chirurga, syczącego zajadle:

– A masz, suko, masz!

Uchwycił go za bujną, przetkaną srebrem czuprynę, zerwał z Aldony, postawił na nogi i z całą swoją nienawistną siłą wyrzwał w zęby.

Rozległ się przerażający trzask. Jedyne, o czym padający chirurg pomyślał, gdy kilka przednich i dolnych zębów wypełniło mu usta, to – co było potworne dla przystojniaka – że jest wycofany z obiegu i że tym razem jemu potrzebny będzie chirurg. Szczękowy.

Wituś chwycił brzeg lekkiej kołdry i okrył nagie ciało Aldony, wciąż półprzytomnej, lecz odzyskującej z wolna świadomość.

– Zaraz wracam do pani – powiedział, tocząc w koło rozwścieczonym wzrokiem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby nie pojawił się w porę, gwałt trwałby dalej, ktoś tam już czekał w kolejce.

Krystyna czmychnęła, więdźmy za nią. Prokuroteck wymknął się chyłkiem. Bartek Szybka Noga podszedł do Witusia z uśmiechem.

– Nic się nie stało, kolego – parsknął. – Sama chciała.

Wituś złapał go za szyję, przygiął w karku i wyrzwał pyskiem o wystawione kolano. Teraz również rozległ się trzask i również, w sensie dosłownym, posypały się zęby. Noga musiał połknąć kilka, bo się zakrztusił.

– Pożalujesz tego – wymamrotał.

– Jeśli sądzisz, że jesteś jeszcze gliną, to się mylisz – odparł Wituś, zadając mu, z lewej i z prawej, dwa szybkie, nokautujące ciosy w tułów. I spojrzał pytająco na Januszka.

- Ja to robiłem delikatnie, z miłością – sumitował się malarz.
- Ale jednak!

Nie skarcił Januszka. Nie był święty. Miał na względzie własny interes. Lecz o Aldonie, jeszcze niedawno pięknej, teraz zakrwawionej i zbezczeszczonej, nie zapomniał. Zmoczył pod zlewem białą jednorazową chusteczkę, klęknął u wezglowi szerokiego łóżka i zaczął delikatnie ocierać zakrwawiony nos i zakrwawione, spuchnięte od wymuszonych pocałunków usta kobiety.

- Jak się pani czuje? – zapytał.

Wyszeptała:

- A jak mam się czuć? Fatalnie.

- Wezwać pogotowie?

- Nie, nie. – Tknęła lekko omdlałymi palcami jego dłoń. – Błagam pana, zaklinam, żadnego pogotowia, żadnej policji, żadnych dochodzeń. Niech mi pan to przyrzeknie.

- Przyrzekam, ale może sprowadzę przynajmniej lekarza?

- Lekarz już był – zauważyła gorzko. – Udzielił mi już pierwszej pomocy.

- To co mogę dla pani zrobić?

- Odwieź mnie do... wynajętego mieszkania. – Podała adres.

- Naturalnie, proszę pani, naturalnie. Proszę się już o nic nie martwić.

Odwrócił głowę i zobaczył chłopaka w czarnych okularach i bejsbolówce. A jednak przechytrzył mnie, wszedł tu za mną – pomyślał. – Widział to i owo, a reszty od A do Z się domyślił. No, patrzcie, a już zaczynałem wierzyć, że naprawdę chce kupić obraz. Hmm. Może być z tego wielki bum! Wielka sensacja! – Lecz kiedy młody zdjął okulary i ich spojrzenia spotkały się, wyczytał w oczach intruza podziw i wdzięczność.

10

Damian Ross bezskutecznie czekał na Aldonę całą długą i nudną sobotę. W bibliotece szpitalnej nie znalazł nic do czytania, więc leżał z rękami pod głową na łóżku i rozmyślał o pewnym wzruszającym opowiadaniu Francisa Scotta Fitzgeralda, zamieszczonym bodajże w tomie *Tales of the Jazz Age*, który znał po angielsku, albo w wydanym po polsku zbiorze o tym facecie, Benjaminie Buttonie, który urodził się jako starzec, a potem z roku na rok stawał się młodszy. Zgubił gdzieś tę książkę, o czym wspomniał doktorowi Oszczygłowi.

Mark Twain zamarzył kiedyś, jakby to było fajnie, gdyby życie ludzkie biegło w przeciwnym kierunku i to on właśnie, ulubieniec wszystkich amerykańskich artystów, zainspirował Scotta, do napisania tej dowcipnej, wielokrotnie filmowanej bajdy.

W owym polskim wydaniu była wszakże jeszcze inna, szarpiąca serce historia, w znacznym stopniu autobiograficzna i z góry przewidująca tragedię. Scott, w odniesieniu do siebie, napisał ją z niezwykłą skromnością. Otóż...

Młody pisarz, autor kilku zaledwie powieści, stworzył kilkadziesiąt poczytnych opowiadań, stymulowany przez piękną, bezgranicznie oddaną mu żonę. Kiedy zachorował śmiertelnie i leżał już wyłącznie w łóżku, żona, w której kochali się na zabój wszyscy mężczyźni, opiekowała się nim do samego końca i nie zdradziła go ani razu, nawet po śmierci. A ta śmierć?...

Francis Scott Fitzgerald zmarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, mając zaledwie czterdzieści cztery lata. Był do ostatniej chwili bezgranicznie wierny i zakochany w żonie, która jednak sprawiała mu kłopoty. Zatem bohaterką jego smutnej opowieści jest kobieta wyidealizowana: taka, jaką chciałby ją widzieć, a jaką nie była.

Podobnie rzecz się miała z Damianem. Też był w Aldonie przez ćwierć wieku nieomal bardzo zakochany, wiedząc wszakże, iż

najpierw starsza od niego o parę lat „trzydziestka”, a później bujna już, chwilami kapryśna kobieta ma swoje liczne potrzeby, w tym również wolności seksualnej, z czym musiał się pogodzić.

Przeczuwał, że właśnie z tych powodów nie odwiedziła go w sobotę. A przecież teraz, właśnie teraz, kiedy leży bezradny w szpitalnym łóżku i nieubłagana Czarna Pani nadchodzi szybkim krokiem, aby zadać ostatni cios, mogłaby zrezygnować ze swobód albo ograniczyć je przynajmniej i być przy nim w godzinie żalu i trwogi.

Lecz kiedy późnym niedzielnym wieczorem pojawiła się wreszcie, wystarczył jeden rzut oka na jej twarz, aby zrozumieć, czemu nie przyszła w sobotę.

– Co się stało? – spytał przerażony, zapominając o swoich pretensjach i troskach.

Milczała.

– No mów. Komu masz się wyżalić, Aldono, jak nie swojemu jedynemu przyjacielowi?...

– Lepiej chyba, żebyś nie wiedział. Nie pomoże ci to w chorobie.

– Nic mi już nie pomoże.

– Lekarze twierdzą co innego.

– Och, lekarze! – Machnął niecierpliwie ręką. – Przyjaciele. Nie chcą odbierać mi ostatnich nadziei.

– No, ale nowy kardiowerter w Lublinie, dieta, spokój, inny tryb życia...

– Wierzysz w cuda?

– Jeśli chodzi o ciebie – tak.

– Dość! – Teraz zniecierpliwiał się na dobre. – Mów, kto cię skrzywdził.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Jak się nie dowiem, będzie jeszcze gorzej. Artur wykręcił jakiegoś fokstrota?

– Czy ja wiem?

– Spałaś z nim?

– Tak.

– Gdzie? – Łudził się, że powie: w hotelu.

– W tej... przygotowanej przez ciebie rezydencji.

Zabolało.

– Kiedy?

Znowu uciekła w milczenie.

– Nie powiesz chyba, że od razu tej pierwszej nocy?

Przełknęła ślinę i przyznała:

– Niestety.

Znowu zabolalo. Tym razem bardziej.

– Kto był inicjatorem? Ty czy on? – zapytał, masując odruchowo serce.

– Oboje czuliśmy potrzebę – przyznała.

– Jasne. Czuliście potrzebę – wyszeptał gorzko. – Kochać się albo, dosadniej mówiąc, pieprzyć na przygotowanym przeze mnie boisku.

– Wybacz!

– No pewnie! Wybacz. Miłości życia i najbliższemu przyjacielowi, któremu zaufałem, stary dureń, bo nie miałem nikogo innego. Ale... to już wszystko, co chciałaś mi powiedzieć?

– Nie, Damianie, to dopiero początek.

– Więc dobij mnie, spokojnie mnie dobij. Czego jeszcze dokazałaś z moim przyjacielem?

– Byłam z nim na nielegalnych walkach psów i widziałam tam przez chwilę naszego...

– Cicho. Żadna to dla mnie nowina. Zawsze lubił sporty ekstremalne.

– Ale nie w tym problem.

– A w czym?

– Napatoczył się tam na nas pewien człowiek, niejaki Wituś...

– Ach tak, Wituś. Były policjant i bezlitosny egzekutor długów.

I co on zrobił, ten... łysy, krępy troglodyta?

– Zaciągnął nas...

– Nas, to znaczy kogo?

– Mnie i Artura.

– Tylko? A wiesz? Ten twój i mój...

– Chyba nas śledził.

– I dokąd Wituś was zaciągnął?

- Na imprezę do niejakich Magielińskich.
- Chryste Panie!
- Znasz ich?
- Owszem. Byłem raz w tej cholernej mansardzie, ale kiedy zobaczyłem, co się tam wyprawia, nigdy już więcej nie poszedłem.

- Nie bądź taki święty.
- Nie jestem.
- Sami też mamy to i owo na sumieniu.
- I bardzo tego żałuję.
- Nie wierzę. Bywało, że czerpałeś z tego nie tylko literackie natchnienie, lecz także całą furę frajdy.

Nie był to dla Damiana wygodny temat.

- Podwójne bydlę z Artura, że cię tam zabrał.
- On się opierał – powiedziała zgodnie z prawdą. – Wcale nie chciał iść.

- Ale w końcu poszedł.
- Bo go namówiłam.
- Czemu?
- Nudziłam się.
- A tak ci niby zależało na dyskrecji. Żeby nie hotel, tylko kwatera. Żeby nie taksówka, tylko samochód. Żeby nie zostawiać żadnych tropów, bo o twoim sekretnym wypadzie mógłby się dowiedzieć pierwszy albo drugi mąż. Więc oświadczam ci, że po tej wizycie u Magielińskich dowiedzą się o tym nie tylko obydwaj mężowie.

Mimo całej swej ogromnej tragedii, całej publicznej zniewagi i rozpacz Aldona zauważyła ze wzruszeniem, że kochankowi dygoczą ręce. Jak on może tymi biednymi łapinami tak pięknie i czytelnie pisać te swoje książki?

- Niech się dowiedzą – powiedziała. – Już mi na tym nie zależy.
- Nie?
- Nie.
- A na czym ci zależy?
- Dobrze wiesz.

– Wydarzyło się u tych... malarzy coś jeszcze? – dopytywał, wpatrując się bacznie w lekko opuchnięte wargi i opuchnięte od płaczu oczy.

– Nic wielkiego.

– Więc mów.

– Przrzeknij mi tylko, że nie palniesz żadnego głupstwa.

– Niczego nie przrzekam.

Wtuliła twarz w jego ramię i po chwili poczuł gorącą wilgoć napływających łez, rozprzestrzeniającą się na pizamie.

– To ci zaszkodzi – wyrzekła ze szlochem.

– Gorzej i tak już być nie może.

– Będę cię miała na sumieniu.

– Już mnie masz, z tym, że ja też nie jestem bez winy.

Aldoną, mimo upału, wstrząsał lodowaty dreszcz.

– Zgwałcili mnie – wyznała wreszcie.

– Żartujesz – wykrztusił powoli, jakby coś stanęło mu w gardle.

– Nie, Damianie. Zostałam brutalnie i bezlitośnie na oczach kilkudziesięciu gapiów zgwałcona.

– U tych malarzy?

– Tak.

– I Artur do tego dopuścił?

– Został obezwładniony.

– Obezwładniony? W jakich okolicznościach?

– Kiedy kochał się ze mną.

– Poszłaś z nim do łóżka w obcym, zatłoczonym domu? – Damian Ross oddychał ciężko.

– Wcześniej, kiedy zostałam zmuszona do tańca, dziewczyna wsypała mi coś do szklanki z alkoholem.

– Pigułkę gwałtu?

– Tak sądzę.

– I czemu to zrobiła?

– Na polecenie żony Artura.

– Krystyny?

– Tak.

– Więc ona też tam była?

– Była. I to wściekła jak osa. To ona nakręciła ten gwałt.

W każdym filmie i w każdej choćby nie wiem jak naturalistycznej książce bohater taki jak Damian już dawno odprawiłby na zawsze kochankę, ale prawdziwe życie jest życiem i pisarz Ross chciał poznać wszystkie najdrobniejsze szczegóły.

– Ilu cię zgwałciło? – Nie pytał jak zazdrosny czy też chorobliwie podniecony mąż, lecz jak policjant, sędzia śledczy czy też prokurator.

– Trzech. Zdążyło tylko trzech. – Przestała płakać i mówiła teraz zimno, pogodzona z wyrokiem, jaki wyda Ross. – Inni jednak czekali w kolejce.

– A ci trzej to kto?

– Pierwszym był gliniarz, Bartosz. Zrobił to wyjątkowo grubiańsko i mściwie, bo czymś go tam uraziłam i uciekłam mu z parkietu w trakcie tańca. To jego kumple z policji obezwładnili Artura.

– Miał może jakieś nazwisko?

Aldonę zatkało.

– Miał pseudonim.

– Jaki?

– Szybka Noga.

– Uuu – wyrwało się Damianowi.

– Chcesz mnie obrazić?

– W żadnym wypadku.

– I zapytać, czy naprawdę był to gwałt? Czy nie sprawiło mi to przyjemności?

– To już ty powiedziałaś, nie ja. O tym, że ty mogłabyś mnie czymkolwiek obrazić, nie może być nawet mowy.

– Nie liczyłeś chyba na cud.

– Cuda to towar deficytowy.

– Mam odejść? – Podniosła zgrabne pośladki z krawędzi łóżka.

Tego, o czym pomyślał w owej chwili, nigdy się nie dowiedziała.

– Przeciwnie, masz zostać. Muszę poznać tę sprawę od początku do końca.

– No to przyjmij do wiadomości, że gwałcił mnie, kiedy z bólu i zamroczenia traciłam przytomność.

– A kto był tym drugim?

– Gospodarz.
– Janusz Magieliński?
– Ano.
– Nie uchodzi za brutalnego.
– Bo nie jest. Gwałcił mnie, gdy nie miałam już siły poruszyć ręką lub nogą i wydusić z siebie słowa. I zapewniał mnie cały czas, bardzo długi czas, że mnie kocha i że robi to z miłości.

– A ten trzeci?
– Najgorszy!
– Kto zaczęł?
– Chirurg kosmetyczny.
– Trudno uwierzyć.
– A jednak. Odmówiłam mu, kiedy chciał ze mną zatańczyć „jedno tylko maleńkie, króciusieńkie tangusio”, wykpiłam ponadto jego zdrobnienia, więc kiedy dorwał mnie, nie było już gwałtu, lecz prawdziwa egzekucja, fizyczna, psychiczna i moralna...

Przerwała.

Łzy znowu płynęły po policzkach.

Ross rozmasowywał ręką serce.

W progu pokazała się zatroskana pielęgniarka.

– Jakiś młody mężczyzna – oznajmiła z wahaniem – chciałby złożyć panu wizytę.

– Wykluczone!

– Mówi, że to ważne.

– Siostra wybaczy, lecz to, o czym rozmawiamy z panią, jest ważniejsze.

– Mógłby poczekać...

– Niech przyjdzie jutro!

– Czy... pani nie potrzebuje przypadkiem pomocy? – zerknęła na zapłakaną Aldonę.

– Dziękujemy za troskę, jest siostra niezwykle miła, ale damy sobie jakoś radę – wyręczył kochankę Damian.

Kiedy wyszła, obydwójce wymienili znaczące spojrzenia i Damian wyszeptał:

– Myślisz, że to on?

– Jestem pewna.

- Wie coś o tej... twojej tragedii?
- Wie wszystko.
- Dlaczego? Skąd ten wniosek?

Aldona znowu rozszlochała się z rozpaczy.

- Ten chirurg robił to z taką zaciekłością i nienawiścią, że zaczęłam krwawić. Wszyscy trzej próbowali na siłę mnie całować, wedrzeć się w zaciśnięte wargi, więc najpierw krwawiłam z nosa i ust, a później i... z brzucha. Syczał bez przerwy...

- Ten konował?

- Tak. „A masz, ty suko! A masz! Może nie skończyłaś pięćdziesiątki, ale tak cię urządzę, że będziesz wyglądała na sześćdziesiąt!” I trwałoby to dalej, nie brakowało chętnych, podjudzanych przez zachwyconą Krystynę; czekał już w pełnej gotowości prokurotek, lecz wtedy wdarł się w sam środek tego parszywego towarzystwa Wituś...

- Ten były policjant? Łysy egzekutor długów?

Aldona nie odpowiedziała na pytanie, ciągnąc z przerażającą satysfakcją:

- ...jak prawdziwa burza się wdarł, jak rozwścieczone tornado! Roztrącił ciźbę zapatrzoną w łóżko, na którym byłam gwałcona. Zdarł ze mnie chirurga, za tę bujną, siwową grzywę go zdarł i z taką siłą wyrzwał w plugawy ryj, że bydlę zaczęło pluć zębami.

- Nie wiedziałem, że potrafisz być aż tak wulgarna, nienawistna i zażarta.

- No to już wiesz. Jeszcze gorzej oberwał ten paskudny, zapatrzony w siebie gliniarz. Jego obstawa uciekła w popłochu: tych dwóch drągali, trzymających Artura. Więc Wituś ucapił go za łeb i roztrzaskał mu twarz o kolano. Też słyhać było zgrzyt wybitych zębów. Nieszybko pokaże się na ulicy. Malarzowi tylko darował, bo ma tam z nim jakieś układy.

- A co z Arturem?

- Stracił przytomność i leżał nieruchomo na podłodze.

- Bardzo wygodna forma wycofania się z opresji.

- Sądzisz, że udawał?

- Grał. Przecież jest aktorem.

- Ja też parokrotnie traciłam przytomność. Również grałam?

- Nie, ty nie grałaś. Ty przegrałaś. Ze swoją bezdenną głupotą, ze swoimi nawykami, ze swoim pożądaniem. Było pogotowie?
- Nie. Ubłagałam Witusia, aby nie wzywał pogotowia i, broń Boże, policji. Żadnych roszczeń, żadnych dochodzeń, żadnych badań lekarskich.
- No, jakieś tam badania musisz zrobić, bo oni, jak sędzę, gwałcili cię bez zabezpieczeń.
- Chyba tak, lecz jest coś, czym zadręczam się jeszcze bardziej.
- Naszą wielką, słodką tajemnicą?
- Żebyś wiedział. On wcisnął się tam jakoś za Witusiem i to i owo zobaczył, a reszty się domyślił, bo jest bystry.
- I porywczy.
- Obydwaj potraficie to świetnie maskować, ale... nie ma żadnego zmiłuj się!
- Nie ma.

11

Artur Nawrot wrócił do domu późną nocą w niezłej formie. Nie był pijany, nie był poturbowany, nikt nie obrabował go z pieniędzy. Jeśli coś mu dolegało, to tylko sumienie, toczył więc swoim zwyczajem ze sobą wewnętrzny dialog:

„Nie chciałem tam iść. Chciałem być z nią sam na sam w jakimś hotelu albo w tej cholerniej rezydencji”.

„Ale w końcu poszedłeś”.

„Bo nalegała”.

„Szczerze pragnąłem tego uniknąć”.

„Mogłeś trochę mocniej się opierać”.

„Zmusili mnie. Ona i ten cały odzyskiwacz długów”.

„Ale jesteś mężczyzną. Mogłeś wrzasnąć: nie! Mogłeś uprzedzić ją, co się u Magielińskich wyprawia”.

„Dużo by to dało!”

„Miałbyś przynajmniej czyste serce”.

„I mam”.

„Mimo że widziałeś cały ten ohydny, publiczny, zbiorowy gwałt?”

„Nie ja to zacząłem, lecz ona. Pieściła mnie pod stołem i chciała się natychmiast kochać”.

„Mogłeś odmówić”.

„Napalonej kobiecie trudno odmówić, szczególnie, gdy sam jesteś napalony”.

„Fakt”.

„Ano widzisz”.

„Ale powiedz to Damianowi”.

Damian! Wyjął z kieszeni butelkę wódki, zwiniętą przytomnie ze stołu w mansardzie i napił się, nie szukając szklanki. Zapalił, strząsając popiół na posadzkę kuchni. Za oknem świergotały już wróble i gruchały gołębie. W murze naprzeciw, w omszałej szczelinie, wiły sobie gniazdo.

Najbliższy przyjaciel, znany pisarz, biesiadny kumpel... tylko do kieliszka... Zaufał mu w ciężkiej chwili i ciężkiej chorobie. Powierzył mu kobietę życia, tajemną miłość, o której nikt nic nie wie. A on co? Nawalił na całej linii. Nawet jeśli jej nie uwiódł, bo ona też była od początku chętna, doprowadził do afery, do zbrodni, która Bóg jeden raczy wiedzieć, jak się skończy.

Pogotowia nie było, policji nie było, oprócz tych dwóch, co go trzymali, kiedy ten trzeci gwałcił. Jak go wołali? Bartek. Szybka Noga. Kawał bandyty. Czuł mrowie w udach, bo ściągnęli go z Aldony, nim skończył. Jakim cudem takie menele trafiają do policji? No dobrze, a on sam? Sławny aktor, Artur Nawrot? Jakim cudem trafia na ekran, aby grać role szlachetnych komisarzy?

Analizował sytuację, pijąc teraz szybko i paląc zachłannie:

Jest bogata. Roszczeń żadnych wnosić nie będzie. Wycofa się w cień, poleci do Stanów albo do tej swojej przyjaciółki na Korfu i poczeka we własnym interesie, aby sprawa przycichła i rozeszła się po kościach. Damianowi do niczego się raczej nie przyzna. Musiałaby chyba stracić głowę.

Damian! Kiedy zagrał w filmowej adaptacji jego głośnej powieści, otrzymał od pisarza czuły list. A gdy Ross przebywał za granicą, często wysyłał mu karty. Powlókł się do biblioteki, aby odszukać je w szufladzie. A skoro znalazł, zaczął czytać, zaczynając od listu:

Cześć, Artur!

Serdecznie gratuluję. Doskonale wcieliłeś się w tego mojego bandziora. Nikt z krajowych aktorów lepiej by tego nie zrobił. Masz talent! Dbaj o niego! Nie dzwonię, lecz piszę, żeby zostało ci coś na pamiątkę. Zresztą, zawsze twierdziłem, że pióro jest ważniejsze od telefonu, bo zostawia po sobie trwałe ślad.

Co do mnie, pracuję nad kolejną powieścią. Jedną z postaci, barwnych i zawadiackich, piszę „pod ciebie”. Rozmawiałem już z reżyserem, który kupił książkę na pniu, więc z pewnością znowu będziesz miał okazję błysnąć.

*Trzymaj się!
Damian Ross*

Przeczytał jeszcze kilka kart z pozdrowieniami. Zawsze lakonicznych, zawsze serdecznych i zawsze z tym prostym, pozbawionym zakrętasów podpisem. Nagle jednak aż podskoczył z wrażenia. Wykrzyknął głośno, sam do siebie:

– A dziennikarze!? Zapomniałeś o dziennikarzach. Było ich tam kilku! Z kamerą!

Dopił flaszkę, aby zagłuszyć niepokój. Teraz spać, spać! A potem przebłagać Aldonę. Boże! Przez swoją głupotę stracił nie tylko przyjaciela, lecz również wspaniałą, ustosunkowaną kobietę! A Nowy Jork był blisko! Może nawet Hollywood!

Mógł wyciągnąć się na bibliotecznej kanapie, ale zapragnął nagle łóżka we własnym pokoju. Miękkiej poduszki, lekkiej kołdry, uchylonego okna, za którym świtało już łagodnie, i butelki wody mineralnej na nocnym stoliku.

Już kiedy leżał i nachodził go sen, wrócił na moment do wewnętrznych, moralnych rozważań:

„Przecież sama chciała”.

„Ale nie gwałtu”.

„Kto jak nie ona nalegał, żeby iść na imprezę z Witusiem?”

Zapadł nagle, po kilku męczących, burzliwych nocach i dniach, w kamienny sen.

Był to sen erotyczny. Zrobiło mu się gorąco, rozkosznie, mokro i trwało to kilka minut, po czym nie czuł już nic.

Ocknął się dopiero w południe. I zamrugał oczami na widok leżącej obok niego, triumfalnie uśmiechniętej Krystyny.

12

Doktor Andrzej Oszczygieł, człowiek nie zawężający swoich horyzontów myślowych wyłącznie do medycyny, co zresztą cechuje wielu innych, znakomitych lekarzy, w trakcie rannego, poniedziałkowego obchodu wręczył Damianowi elegancko owinięty papierem i zapętany kolorową tasiemką prostokąt.

Po niedzielnej rozmowie z Aldoną pisarz czuł się wyjątkowo źle. I źle wyglądał: roztrzęsione ręce, podkrążone oczy, blade, zapadłe, nieogolone policzki... Towarzysząca ordynatorowi gromadka kardiologów patrzyła na niego z niepokojem. Był jednak dobrze wychowany i wymamrotał, zmuszając się do uśmiechu:

– Bardzo dziękuję, cokolwiek to jest.

Oszczygieł też się uśmiechnął:

– Książka.

– To raczej ja powinienem wręczać państwu książki z wdzięczności za cierpliwość i opiekę.

– Więc stwórzmy precedens.

Podarek należy obejrzeć natychmiast, próbował zatem rozwiązać dygoczącymi palcami tasiemkę. Zdanie z powieści Dostojewskiego mignęło mu w skołatanej głowie. Jak to było? Raskolnikow podał staruszce fałszywą, też owiniętą w papier i przewiazaną jakim sznurkiem papierośnicę, a ona nie mogła jej rozplątać i pokrzykiwała ze złością: „Aleś supel zawiązał!” czy coś w tym stylu.

Uporał się wreszcie z tasiemką, zdjął papier i stwierdził ze wzruszeniem, że jest to zagubiony, opłakiwany przez niego wybór opowiadań Scotta Fitzgeralda: *Ciekawy przypadek Benjamina Buttona*. Utwór, który odnosił do Aldony, miał tytuł *Zasadzki szczęścia*. Zaczął czytać:

„Gdyby Wam kiedyś przyszło zajrzeć do starych roczników pism z pierwszych lat naszego stulecia, znaleźlibyście wciśnięte

pomiędzy opowiadania Richarda Hardinga Dawisa i Franka Norrisa, i kilku innych dawno już nieżyjących pisarzy, utwory niejakiego Jeffreya Curtaina: jedną czy dwie powieści i być może około pięćdziesięciu krótkich opowiadań, które można by – gdyby to kogoś interesowało – znaleźć w pismach aż do roku mniej więcej tysiąc dziewięćset ósmego, gdyż potem nagle zniknęły.

Po przeczytaniu wszystkich tych utworów nabierzecie pewności, że nie mamy tu do czynienia z arcydziełami – ot, zabawne opowiadania, trochę już dzisiaj przestarzałe, lecz niewątpliwie z gatunku tych, co pozwalały przetrwać okropne pół godziny w poczekalni dentysty”.

Damian odłożył książkę. Cały fantastyczny Scott – pomyślał. – Oj, brachu, brachu! A ty mi pomożesz przetrwać dzień w poczekalni życia.

Jednak nim wrócił do lektury, znowu zaczął rozważać, jak wyrwać się na parę godzin ze szpitala, jeśli nie dzisiaj, w poniedziałek, to jutro. Miał pieniądze, które wziął od Aldony, i zastanawiał się, czy nie przekupić jakiejś sprzątaczkii bądź sprzątacza – pielęgniarki nie wchodziły w rachubę – aby przyniosły mu cichaczem ze szpitalnej szatni buty i ubranie. Trzymał przecież w szafce obok łóżka numerek i „miotła” mogłaby zabajerować szatniarkę, że pacjent „wychodzi”.

Nie było to wszakże takie proste. Pacjent „wychodzi”, kiedy ma zgodę lekarza, zaś szatniarka sama mu wówczas przynosi łachy do sali. Więc może łatwiej byłoby dać w łapę jakiemuś gościowi, żeby mu skombinował sandały, które zawsze jakoś pasują, oraz spodnie i długi, luźny, lekki płaszcz.

Aldona wciąż była mu droga i bliska i gwałt na niej musi być pomszczony. Gwałcicieli i podżegaczy nie znajdzie zresztą... nawet gdyby znalazł, nie dałby sobie z nimi rady, ale... pozostają jeszcze instytucje, które należy surowo ukarać, trudno jednak dokonać tego w szpitalnej piźniamie. Dom wariatów!

Co mu jeszcze zostaje?

Doktor Andrzej Oszczygieł, znakomity kardiolog, miłośnik muzyki i literatury, odwiedzający go czasem w wolnych chwilach, aby z nim o tym i owym pogadać.

Nie musiał długo czekać. Olbrzym zajrzał do niego, na jego uśmiechniętej zwykle twarzy malowała się powaga.

– Jeszcze raz gorąco panu dziękuję za książkę – uprzedził lekarza, który najwyraźniej chciał mu coś ważnego powiedzieć.

– Nie ma za co, ale, panie Damianie... – Wbrew długoletniej znajomości i przyjaźni zaczęli nagle mówić ze sobą oficjalnie.

– Owszem, jest za co! – storpedował znowu lekarskie słowa niesforny pacjent. – Znakomite, przezabawne historie. Czytał je pan?

– Znakomite. Czytałem – potwierdził Oszczygieł. – Porozmawiamy jednak o tym kiedy indziej. Jak pan się czuje?

– Podle.

– Coś musiało pana głęboko poruszyć i zdenerwować.

– To prawda – przyznał Damian Ross.

Lekarz obserwował ekran monitora.

– Ma pan arytmie, skurcze dodatkowe, i to jeden po drugim.

– Wcześniej też je miewałem.

– Tak. Dwa, trzy na minutę. Teraz jest ich kilkadziesiąt.

– Umrę?

– Tego nie powiedziałem, ale trzeba czym prędzej wymienić tę nieczynną elektrodę w Lublinie.

– Pan nie może tego zrobić w Łodzi?

– Mogę. Instaluję między innymi rozruszniki serca, czego pan doświadczył i o czym pan wie. Lecz jeśli chodzi o arcytrudne wypreparowanie elektrody, wciąż mistrzem w tej sztuce pozostaje profesor Kutarski, któremu asystuję zresztą od kilku lat w operacjach i do którego pana za tydzień zawiozę.

– Z góry strasznie, ale to strasznie dziękuję! Ale pan doktor wybaczy, jest coś, co mogłoby szybko poprawić moje samopoczucie i mój stan zdrowia.

– Mianowicie?

– Gdybyście wypuścili mnie na parę godzin ze szpitala, Andrzejku?

– Pan żartuje?

– Przeciwnie. Wczoraj doznałem szoku, dowiadując się o nieszczęściu, jakie spotkało jedną z bliskich mi osób, i gdybym

dostał od was krótki urlop, mógłbym temu zaradzić.

– Ależ, panie Damianie, biorąc pod uwagę stan pańskiego serca, z naszej strony byłoby to zabójstwo, z pańskiej samobójstwo.

– Wróciłbym przecież.

– Albo i nie. Jak pan to sobie wyobraża? Puszczamy pana samego w miasto, bez żadnej opieki...

– Miałbym opiekuna.

– Tego aktora?

– Nie. Ten aktor sam będzie potrzebował wkrótce pomocy.

Lekarz zerknął na niego z ukosa.

– Więc tę złocistą piękność, która odwiedziła pana wczoraj?

– Już pan wie?

– Wszyscy wiedzą.

– No dobrze. Tę złocistą piękność. – Tym razem Damian utkwiał w lekarzu badawczy wzrok.

– Nie posłużyła panu jej wczorajsza wizyta.

– Ale coś mi uprzytomniła.

– To ktoś z rodziny?

– Powiedzmy.

– Jest lekarką?

– W pewnym sensie. Niejednokrotnie wyciągała mnie z opalów.

– Co się dzieje z serdecznym palcem pańskiej ręki? – zmienił nagle temat Oszczygieł, patrząc na jego zgięty paluch.

– Wyskakuje mi ze stawów.

– Ja się akurat na tym nie znam, choć myślę, że należałoby iść z tym do ortopedy, do jakiegoś specjalisty od dłoni.

– Pójdę, ale to nic wielkiego. – Chwycił palec drugą ręką i wyprostował go z trzaskiem. – Widzi pan?

– Widzę. – Nastroszył się lekarz, zaczynając w duchu przeklinać pacjenta.

– Już jest dobrze. Anita Włodarczyk miała w trakcie zawodów to samo i machnęła rekord świata.

– Tyle że nam, w pańskim przypadku, nie zależy na medialnym rozgłosie.

– Nie dam ku temu powodów.

– Oby!

– Błagam, panie doktorze! Tylko dwie, trzy godziny i wrócę do was tanecznym krokiem.

– Ja się nie zgadzam. Stanowczo i ostatecznie.

– Więc proszę przekonać Wranicza.

– Wranicz traktuje pana jak krewniaka nieomal i też się nie zgodzi.

Teraz Damian się nastroszył. Spowaźniał i zmienił ton:

– Więc podpiszę wszelkie należne papiery i wyjdę na własne życzenie.

– Zobaczymy. – Wściekły kardiolog wykręcił się na pięcie i odszedł oburzony. Ładna mi wdzięczność. Wszyscy skaczą wokół niego, a on swoje!

13

W tym biegnącym od Piotrkowskiej podwórku, gdzie około trzydziestu metrów od bramy była po prawej stronie oficyna, w której na pierwszym piętrze stało „cywilne” mieszkanie Magielińskich, a ponad trzecim ich sławetna mansarda, jeszcze dalej, w głębi owego tajemniczego podwórka – a każde łódzkie podwórko jest raczej wąskie, mroczne i owiane jakąś tam legendą – po lewej z kolei stronie mieszkający na parterze lokator ogroził sobie tuż przy oknie zielonymi sztachetami maleńki plac.

Mieszkańcy Łodzi i Warszawy, a także innych, gęsto zaludnionych i zabudowanych miast, choć niechętnie się do tego przyznają, marzą o tym, aby mieć w pobliżu kawałek wsi: jakieś drzewko, trawniczek, klombik z kwiatami, krótko mówiąc: miniaturę ogródka, na który w ponurych latach starości można sobie przez szybę okienną popatrzeć. Przestańmy mydlić sobie oczy. Następnym, ostatnim ogródkiem będzie grób.

Kilka drzewek cyprysowych, kilka krzaków dzikich, kłujących róż posadził sobie wspomniany lokator na tym ociupeńkim placu, gdzie panoszyła się również, uwłaczając wszelkim zasadom proporcji, skradziona z parku Poniatowskiego ława.

W wielu łódzkich, przydomowych ogródkach można ujrzyć takie „podwędzone” ławy. Na Zdrowiu, na Julianowie, na Radiostacji różne takie transplanty dane było autorowi oglądać. Lecz ta tutaj, w podwórku przy Piotrkowskiej, stanowiła prawdziwy zabytek, godny, aby znaleźć się w muzeum Ziemi Łódzkiej. Rzeczywiście była ławą a nie ławką. Kładła na obydwie łopatki nawet te, które można zobaczyć na Teneryfie, kompletnie zafajdane przez gołębie, czy w nowojorskim Parku Centralnym.

Była z desek, solidnych i grubych. Miała wyprofilowane, wygodne siedzenie, sięgające zdrożonemu przechodniowi aż po łydki – podczas gdy te dzisiejsze wżynają się w uda – i krągłście wygięte oparcie, na którym można wesprzeć swój obolały

kręgosłup. Ciężkie, żelazne nogi, zżarte przez rdzę, i, po obydwu stronach, ogromne, żelazne poręcze dopełniały reszty owego szlachetnego, choć nieszlachetnie przeniesionego zabytku.

Czwartego lipca, w poniedziałek dwa tysiące szesnastego roku, otworzywszy z haczyka maleńką, śliczną, zieloną, symboliczną raczej bramkę w niziutkich sztachetach, przysiadł na tej ławie znany już czytelnikowi młody, przed trzydziestką jeszcze męzczyzna w niebieskiej bluzie, niebieskich adidasach i z niebieską torbą u boku.

Zagadkowy ten osobnik usiłował poprzedniego dnia zobaczyć się w szpitalu z Damianem Rossem, lecz dowiedziawszy się od uprzejmej, przystojnej, poruszonej najwyraźniej czymś pielęgniarki, że to niemożliwe, gdyż chory pisarz prowadzi teraz bardzo ważną rozmowę z jakąś panią, zapytał o wygląd tej pani. Czy była blondynką, szczupłą i opaloną złościście, w czapeczce na głowie i skórzanej kurtce? Usłyszawszy od zaskoczonych pielęgniarki, że tak, uklonił się szarmancko, z uśmiechem, który mógłby powalić na kolana każdą gwiazdę filmową, aczkolwiek pielęgniarka ustała, i odszedł, oświadczając, że jego spotkanie z panem Damianem Rossem nie będzie już konieczne.

A teraz siedział na tej historycznej ławie i obserwował leniwie podwórko przez słoneczne okulary.

Nie wszyscy łodzianie są źli, gdy ktoś obcy okupuje ich własność. Większość wprawdzie nie jest zachwycona: „Czego pan tu chce? Usiąść tak możesz pan sobie na Piotrkowskiej!”, „Spierdalaj pan, bo wezwę policję!”. Wszakże dobijający osiemdziesiątki, krąglutki, pogodny lokator z parteru, samotny i spragniony, być może, towarzystwa, zobaczywszy młodzieńca przez okno, otworzył je i oświadczył z dumą:

– To moje.

– Och, najmocniej przepraszam – odparł z właściwym sobie urokiem intruz i skinął głową, zdejmując okulary. – Rozparłem się tu bez pytania.

– I dobrze. Jest pan zmęczony?

– Nie, wprost przeciwnie.

– Więc co pana do nas sprowadza?

– Skończyłem, widzi pan, historię i tak sobie pomyślałem, że warto by coś napisać o łódzkich, przylegających do Piotrkowskiej podwórkach.

– Ho, ho! A to ci heca!

– Bo widzi pan – kłamał niby jak z nut, choć mówił prawdę młodzieniec – można przejść tysiąc razy Pietryną od placu Wolności do placu Niepodległości (ciekawe swoją drogą, kiedy powstanie plac Niezawisłości, a zaraz po nim plac Suwerenności) i nie mieć o tej ulicy zielonego pojęcia. Zgoda, poznałeś frontony domów i kamienic, lecz to tak jakbyś poznał samą powłokę człowieka, nie wiedząc nic o jego wnętrzu.

– A to ciekawe, ciekawe! – wykrzyknął parterowy lokator. – Proszę mówić dalej, ale... napije się pan może kawy lub herbaty?

– Mam winko. – Opalone palce trąciły torbę. – Szkła tylko brakuje.

– Już się robi. Już do pana idę. – Podał młodzieńcowi przez okno dwie szklanki i taboret, po czym zamknął je starannie, podobnie jak wejściowe drzwi, bo któż to wie?... i zasiadł obok gościa na ławie historii. Ten zaś ciągnął swój wywód:

– Dzieje tego miasta i tej ulicy nie są zapisane na zewnątrz, na fasadach murów, tylko właśnie tu, na stroniących od blichtru podwórkach, z których każde kryje w sobie więcej uroku, więcej tajemnic, więcej tragedii, miłości i zbrodni niż niejedna książka.

Wyjął z torby butelkę chilijskiego, czerwonego wina, która otwierała się z nakrętki, bez korkociągu, i nalał obficie do dwóch ustawionych na taborecie czyściusieńkich szklanek.

– Za łódzkie podwórka! – Trącił się ze starym i pociągnął.

– Za podwórka! – powtórzył z zapalem lokator i nadpił łyk, krzywiąc się ze wstrętu.

– Nie lubi pan wytrawnego wina?

– Nie przepadam. Przecież to, bez urazy, paskudny kwas.

– Woli pan pewnie wina słodkie?

– Jasna sprawa – przytaknął lokator.

– Nie pamiętam tych czasów, lecz były podobno niegdyś w sklepach różne owocowe specjały: „Czar pegieeru”, „Uśmiech sołtysa”, „Rozkosz parobczaka” czy coś w tym rodzaju.

– Były i są – mruknął stary, nie sięgając już więcej po szklanke.
– Nie widziałem ich nigdy w sprzedaży. – Spojrzenie młodego błądziło ospale po podwórku. Stefania Magielińska dwukrotnie wybiegała szybkim krokiem z klatki, wracając z jakimiś zakupami, Janusz Magieliński natomiast był niewidoczny.

Właściciel ogródka machnął się papierosem z miną zawiedzioną i równie kwaśną jak ten „paskudny, chilijski kwas”.

– Może źle pan szukał – mruknął zgryźliwie.

– Chce pan powiedzieć, że produkują je w dalszym ciągu? – podjął uprzejmie konwersację gość.

– Ma się rozumieć.

– I gdzie można je kupić?

– A choćby tutaj, w pierwszej lewej oficynie u Stasiaka.

– Ile kosztuje?

– Cztery złocisz flaszeczka.

Młody jak sztukmistrz wyczarował z kieszeni dziesięć złotych.

– Więc kup pan sobie dwie flaszeczki, żebym nie musiał pić tego świństwa sam.

– Nie godzi się – wzbraniał się stary z miną słodką teraz jak landrynka, bowiem przy jego skromnej emeryturze liczył się każdy grosz.

– Nalegam!

– Pod warunkiem jednakowoż, drogi panie, że zrobię jakieś kanapeczki.

– Jadłem niby obfite śniadanie, ale coś tam może i przekąszę – zgodził się gość.

Potem pili dwie godziny, każdy swoje. Staruszkowi rozwiązał się język i zilustrował młodemu obyczaje sąsiadów.

Ta Zosia z drugiego piętra naprzeciw to cichodajka. Ten elegancki pan z trzeciego w prawej oficynie handluje prochami. Józwiak donosi. Kowalewska pożyczka pod zastaw. Machnicka wciąż odbiera rentę męża, który dawno już umarł. Ten łajdak, wstrętny łajdak Kołodziej maltretuje żonę i to tak, że biedaczka wstydzi się wyjść na ulicę z posiniaczoną twarzą i podbitym lipem.

– Czemu nie zgłosi tego na policję? – zaciekawił się młody.

- Bo go kocha.
- Zabije ją w końcu, zatłucze. Skoro już zaczął, nie skończy.
- Tfu!

Co się tyczy Magielińskich, to nic złego w gruncie rzeczy nie można o nich powiedzieć, poza tym, że urządzają od czasu do czasu huczne, wyuzdane podobno erotycznie – jak to określił po staroświecku – ubawy. Zosia cichodajka chciała się do nich wkłęcić, ale ją spławili, mówiąc wprost, że u nich za te sprawy płacić nie trzeba.

Sympatyczny staruszek, podchmieliwszy sobie tęgo ulubionym owocowym winkiem, wyłożył zatem młodemu wszystkie, poza pedofilią, przywary i grzechy, jakie trapią nie tylko to podwórko, to miasto, ten kraj, ten świat, ale i całą od wieków, od początku istnienia ludzkość.

- Magielińska jest troszkę wyniosła, ale mówi zawsze „dzień dobry” i w normalne, powszednie dni zajmuje się głównie mieszkaniem na piętrze. Co do pana Magielińskiego natomiast – konkludował stary – dusza człowiek! Zawsze uprzejmy, zawsze uśmiechnięty i niezwykle pracowity. Już o dziesiątej rano idzie na poddasze, żeby malować te swoje cenne ponoć obrazy. Siedzi tam aż do obiadu, po czym znowu wraca na strych. Czasami odwiedza go ktoś, nieraz sam wychodzi, aby przechylić piwo w jednym z tych ogródków na Piotrkowskiej i popatrzeć sobie na młode dziewczuchy, do których ma słabość. I wie pan co, młody przyjacielu? – bezwiednie ściszył głos parterowy lokator.

- Nie wiem, ale chętnie się dowiem.

- On tę Zośkę cichodajkę, nie wpuszczaną na ubaw, gości nieraz u siebie, kiedy pani Magielińska gdzieś wyjeżdża.

- A to ci figlarz! – palnął wesoło młody z twarzą nienawistną i złowrogą.

Prawnicy, wszelkich rang i specjalności, lubią pławić się w luksusach. Prokuratorzy, kasta w jednej połowie uczciwa i użyteczna, w drugiej zaś wyjątkowo arogancka i bezczelna, nie stanowią pod tym względem wyjątku. W siedzibie pewnej łódzkiej prokuratury rejonowej nie było jednak bijącego w oczy przepychu. Zgoda! Mahoniowa szafa, mahoniowe biurko, mahoniowy stojak (o pięknych lwich nogach i zaokrąglonych narożach), wypełniony aktami i literaturą sądową; miękkie, też obrzeżone mahoniem fotele i krzesła, koronkowe firanki i brązowe zasłony w oknach... Wszystko to jednak w holenderskiej, gustownej tonacji.

Siedzący za biurkiem, szpakowaty, elegancki, po pięćdziesiątce już mężczyzna zatopiony był w lekturze jakichś sążnistych dokumentów: zeznań, oświadczeń, oskarżeń, komplementów i gróźb pod jego własnym adresem. Czasami zdarzała się pasjonująca sprawa i ślęczenie nad nią nie było męczarnią, zazwyczaj wszakże z akt wiało beznadziejną nudą, powtarzały się bez przerwy te same nazwiska, te same okoliczności, ten sam przedmiot konfliktu, tyle że w różnych odsłonach: białej, czarnej i szarej.

Prokurator był świadom, że ma lukratywny zawód, że ma władzę, że ma przywileje, że ma pieniądze, że, niczym Bóg, może komuś pomóc lub kogoś ukarać. A jednak często, w takich choćby chwilach jak ta, przeklinał swoją nudę, swoją robotę, swój obowiązek zapoznania się z zapisaną paskudnym charakterem lub drukiem nawałnicą faktów. Praca w kamieniołomach byłaby lżejsza, ale...

– Life is brutal and full of zasadzkas – szepnął do siebie, nie wiedząc, że zaraz się o tym przekona.

Prokuratorzy, jak i sędziowie, mają szczególną ochronę. Żeby dotrzeć do nich, trzeba się opowiedzieć i wylegitymować, a do

tych najważniejszych przejść nawet przez czujniki wykrywania metalu. Ale Damian Ross, ubrany inaczej niż w Manufakturze, gdzie stracił przytomność, bo na kategoryczne żądanie Aldona przyniosła mu do szpitala czarny garnitur, czarny krawat i czarne buty, szepnął coś odźwiernemu-ochroniarzowi u wejścia i wdarł się do gabinetu niczym rozjuszony lew.

– Skandal! – I jak lew zaczął ryczeć, zapominając o chorobie: – Hańba, zbrodnia! I tych dwóch musi za to zapłacić! A tych czterech i ta baba trafić na długie lata za kraty.

Odźwierny próbował zamknąć drzwi, przed którymi zgromadził się już tłumek, a kilka osób wpakowało się do środka.

Pisarze tym różnią się od aktorów, że wszyscy znają ich nazwiska, nie znając twarzy, podczas gdy u aktorów każdy rozpoznaje twarz, mając kłopoty z nazwiskiem. No ten tam! Jak mu tam! Partnerował Tyszkiewicz i Olbrychskiemu!

Damian Ross nie był jednak prokuratorowi obcy. Spotkali się kiedyś na gruncie towarzyskim i zapalali nawet do siebie szczątkową sympatią. Na pytające spojrzenie odźwiernego-ochroniarza, czy ma nieproszonego petenta spacyfikować, machnął więc dłonią z nakazem, żeby wyprosił gapiów i zamknął drzwi, a kiedy tak się stało, poprosił pisarza spokojnie i grzecznie:

– Niech pan usiądzie, panie Damianie, i powie mi, o co chodzi.

– O gwałt, brutalny gwałt na kobiecie! – odparł wciąż niebywale wzburzony Ross.

– Nazwisko ofiary?

– To nie ma znaczenia.

– Jak to nie? – zdziwił się prokurator. – Więc czemu staje pan w jej obronie?

– Powiedzmy, że spełniam obywatelski obowiązek.

– A nazwiska gwałcicieli?

Damian, nieco spokojniejszym już tonem, opowiedział dokładnie wszystko, czego dowiedział się od Aldony.

Prokurator, włączony dyktafon, niezależnie od tego robił notatki. Oprócz gliniarza, malarza, chirurga i Krystyny wymieniony został również Nawrot.

– To ten aktor? – zapytał z osłupieniem prokurator.

- Tak. On był wszystkiego przyczyną.
- Czy ofiara wniesie oskarżenie?
- Pragnie tego uniknąć.
- To poważny błąd.
- Czy ja wiem? Ma zazdrosnego męża, a pan zdaje sobie sprawę, jacy potrafią być zazdrośni mężowie.
- No dobrze - westchnął prokurator. - A świadkowie? Czy są przynajmniej gotowi zeznawać świadkowie?
- Są! - przytaknął rozwścieczony znowu do białej gorączki pisarz. - Nie wiem, czy zechcą zeznawać, ale można ich do tego przymusić.
- Kogo? Kto to widział na własne oczy?
- Pewien maleńki, drobniuteńki sędzia i pewien ciemny, wysoki, szczupły prokurator na emeryturze, och, sorry! w stanie spoczynku.
- Byli naocznymi świadkami gwałtu?
- Byli! Od dawna uczestniczą obydwaj w imprezach u Magielińskich.
- To bardzo poważne oskarżenie.
- I trzeba poważnie je przyjąć!
- Wiem chyba, o kogo chodzi - mruknął szczerze teraz zatroskany prokurator.
- Ja myślę. Przecież to pańscy koledzy.
- Niech pan oszczędzi sobie złośliwości - uprzejmy głos prokuratora był teraz zimny jak lód. - Zamierzam zająć się sprawą, ale niech się pan nie rozpędza, nie rozpala.
- Bo co?
- Bo mogę stracić do niej serce.
- Łatwo pana zniechęcić.
- Każdy prokurator na moim miejscu już dawno byłby zniechęcony.
- A to czemu?
- Po pierwsze: ofiara nie wnosi i nie wniesie osobiście skargi. Woli, aby pan to za nią załatwił, bo ma zazdrosnego męża i za wszelką cenę pragnie uniknąć skandalu.
- A po drugie?

- Brak wiarogodnych świadków.
 - Sędzia i prokurator nie wystarczą?
 - Mogą odmówić zeznań.
 - Sędzia uciekł przytomnie, kiedy to się zaczęło, lecz prokurator z lubością oglądał zbrodnię do końca i gotów był nawet wziąć w niej udział.
 - Ale nie wziął.
 - Bo ktoś mu przeszkodził.
 - Pan wybaczy, lecz to już tylko pomówienia i domysły, zaś pan jest w tej sprawie osobą postronną.
 - Czyli umywa pan ręce?
 - Tego nie powiedziałem.
- Blady jak ściana, cmentarnie ubrany pisarz dźwignął się z najwyższym trudem z krzesła, uklonił i ruszył chwiejnym krokiem do wyjścia.
- Dziękuję, że mnie pan przynajmniej wysłuchał.
 - To mój obowiązek.
 - Dobrze i to.
 - Pan kiepsko wygląda. - W głosie prokuratora znowu zabrzmiało szczere, życzliwe współczucie.
 - Już mi to dzisiaj mówili.
 - Mogę polecić kierowcy, aby odwiózł pana do domu.
 - Nie wracam do domu. Przedtem muszę odwiedzić jeszcze jedną instytucję.
 - Tak czy owak, niech pan na siebie uważa.

15

Podobna, tragiczna scena rozegrała się w jednym z łódzkich komisariatów. Człowiek ubrany przed południem w powszedni dzień na czarno, jakby szykował się do trumny i szukał kogoś, kto zatrzaśnie wieko, stanął przed sześćdziesięcioletnim, wybierającym się na emeryturę komendantem i zaczął obrzucać go obelgami, chaotycznie wspominając gwałt.

Komendant wiedział, z kim ma do czynienia, bo Damian Ross został wcześniej sprawdzony przez oficera dyżurnego, i, podobnie jak prokurator, wskazawszy pisarzowi krzesło, powiedział znacznie surowszym tonem:

– Po co te wrzaski? Niech pan usiądzie i spokojnie wyłoży mi sprawę tego gwałtu.

– Spokojnie?! Mam mówić o tym spokojnie?! – rzucał się Damian Ross.

Policja od dłuższego już czasu poprawiała swój wygląd, swoje maniery i opanowała sztukę poważnej, grzecznej konwersacji.

– Jest pan chory i nerwy panu tylko mogą zaszkodzić, nie mnie.

– Pańscy ludzie dokonali tej zbrodni!... Dotarło?! Już za sam fakt, że widzieli, a nie przeszkodzili, należy wywalić ich z roboty i postawić przed sądem! Nie zaprzeczy pan chyba, że Bartek... jakże mu tam... Szybka Noga... jest pana podkomendnym.

– Był – poprawił stary policjant.

– Do kiedy?

– Do wczoraj.

Damian uniósł pytająco brwi:

– I co pan z nim zrobił?

– Zwolniłem go dyscyplinarnie.

– Za co?

– Za ten gwałt właśnie.

– Jak się pan o tym dowiedział? – głos pisarza złagodniał wyraźnie.

– Pracownia państwa Magielińskich jest od pewnego czasu obiektem naszych zainteresowań.

– Szkoda, że nie można powiedzieć tego o łódzkiej prokuraturze – zauważył Damian.

– To normalne. – Stanął w obronie prokuratury policjant. – My zwykle zaczynamy, oni kończą.

– Więc to będzie miało swój koniec?

– Oczywiście, jeśli tylko zgłosi się do nas z oficjalną skargą poszkodowana.

– A jeśli nie, jeśli z pewnych względów się nie zgłosi?

– Wówczas koniec już był. Rozdział zamknięty.

Pisarz milczał chwilę, coś tam w swojej skołatanej głowie rozważał i nagle znowu wystrzelił agresywnie:

– Tych dwóch gliniarzy, przepraszam: policjantów, którzy obstawiali Bartka Szybką Nogę, również pan zwolnił dyscyplinarnie?

Komendant spokojnie zaprzeczył:

– Nie.

– A to czemu? – napierał Ross, raz po raz nadziewając się na kontrę.

– Bo oni sami się zwolnili.

– Też wczoraj?

– Rok temu. Są ochroniarzami u prywatnego przedsiębiorcy, gdyż on więcej płaci.

Pisarz zasępił się, tymczasem komendant przeszedł do kontrataku, wprawiając go w osłupienie:

– Kim jest właściwie dla pana ta Polka z amerykańskim paszportem: Aldona J. niegdyś L.?

– To przesłuchanie? – Damian przewrócił oczami.

– Niech pan nazwie to sobie, jak chce.

– Urzędowe?

– Skoro już pan tu przyszedł, urzędowe – powiedział sucho komendant, włączając dyktafon.

– Takie, że trzeba mieć u boku adwokata?

– Jak pan się uprze. Choć nie sądzę, aby adwokat był panu potrzebny.

- Muszę na to pytanie odpowiedzieć?
- Byłoby dobrze.
- Powiedzmy, że jest dla mnie kimś bliskim.
- Spokrewnionym lub spowinowaconym?
- Nie! - zaprzeczył Damian zbyt szybko i gwałtownie.
- Proszę pana - zrobił nagle dygresję komendant. - Znam niektóre pana książki, w których występują źli i dobrzy gliniarze (nie obrażamy się za ten synonim). Ludzie nie przepadają za nami, ale niech mi pan wierzy: większość z nas wstąpiła do policji, aby służyć społeczeństwu, nie tylko, aby je karać, ale aby je bronić i chronić.

Coś wzruszającego było w tym wyznaniu starego policjanta.

- Wiem o tym - mruknął Ross.
- Więc jeśli pan chce, żeby ci dranie, co skrzywdzili pańską „bliską” znajomą, ten Bartek, ten malarz, ten pozał się Boże chirurg estetyczny...

- Najpodlejszy z nich wszystkich!
- ...ponieśli zasłużoną karę i odsiedzieli w więzieniu każdy po dwanaście lat, niech pan będzie ze mną szczery i skłoni panią Aldonę, aby złożyła na nich oficjalną skargę.

- Ona tego nie robi.

- Bo zazdrosny mąż?

Chryste Panie! - przemknęło Damianowi przez myśl. - Ten facet wie o wszystkim!

- To tylko jeden z powodów.

- A inne?

- Nie każda zgwałcona kobieta ma odwagę stanąć przed sądem i trafić na czołówki wszystkich mediów, nie tylko polskich zapewne. Pan, taki sumienny, doświadczony gliniarz, naprawdę tego nie rozumie?

- Rozumiem.

- Więc niech pan znajdzie sposób, aby ukarać tych łotrów bez udziału kobiety.

- Prosi mnie pan o rzeczy niemożliwe. Nie jestem cudotwórcą.

- A ja, mimo wszystko, sądzę, że pan jest. I jeszcze jedno. W tym gwałcie brały również udział kobiety. Jedna podjudzała,

druga wrzuciła coś Aldonie do szklanki. No i patrzył jeszcze na to przez chwilę sędzia i do samego końca prokurator, gotów przyłączyć się do zabawy.

– O tym też wiemy – mruknął policjant.

– Wituś?

– Nie zaprzeczam i nie potwierdzam. No i jeszcze ten pański przyjaciel, aktor.

– Nie jest już moim przyjacielem.

– Tu akurat nie dziwię się panu. Do szpitala pan wraca?

– To i tego już się pan dowiedział?

Komendant pominął tę kwestię i – podobnie jak prokurator – zaproponował chłodno:

– Może panu pomóc? Sierżant Nowak odwiezie pana do szpitala...

– Nie, dziękuję. – Damian wstał, znowu z ogromnym wysiłkiem, i serdecznie uścisnął mu rękę. – To bardzo uprzejme z pańskiej strony, ale nie chcę sprawiać wam kłopotów.

– To żaden kłopot.

– Owszem. Już i tak sporo ich dostarczyłem, ale, panie komendancie...

– Tak?...

– Wierzę mimo wszystko, że pan pošle kilka osób do pudła.

– Tego niestety przyrzec nie mogę.

16

Czekająca w taksówce tuż za rogiem ulicy Aldona prowadziła ze sobą moralny spór. Dobrze zrobiła czy niedobrze, mówiąc o wszystkim Damianowi? Z punktu widzenia lekarzy – z pewnością źle! Przecież dla chorego przewlekłe na serce człowieka był to przysłowiowy gwóźdź do trumny... Zdradę, której dopuściła się z aktorem, biedny Damian mógłby jeszcze zrozumieć i wybaczyć, znał jej nieokiełznany temperament; lecz powinna mu przynajmniej zaoszczędzić szczegółów tego gwałtu. Zachowała się jak egoistka, jak ostatnia idiotka. Należało we własnym interesie przełknąć tę gorycz i raz na zawsze o niej zapomnieć, zamiast rozdrapywać rany.

Zobaczyła, jak się zbliża w tym swoim upiornym, czarnym stroju, który przyniosła mu na żądanie do szpitala. Trup!... Szaroblady, chudy, zgarbiony, szedł ku niej chwiejnym krokiem pijaka, zataczając się z boku na bok. Nie wiedziała, gdzie był, bo ją w to nie wtajemniczył, mogła się najwyżej domyślać, że dwukrotnie opuszczał taksówkę, aby interweniować u kogoś w jej sprawie i że obydwie te interwencje wytrąciły go z równowagi.

- Źle się czujesz?
- Wspaniale – odburknął, padając obok niej na tylne siedzenie.
- Wracamy do szpitala?
- Nie.
- To dokąd teraz?
- Do mnie, do domu.
- Po co?
- Bo się stęskniłem.
- A szpital? Przrzekałeś, że po dwóch, trzech godzinach będziesz z powrotem.
- Zmieniłem plany.
- Lekarze nigdy ci tego nie wybaczą.
- Udobrucham ich jakoś.

– Do mnie też będą mieli pretensje.
– Trudno.
– Mogę mieć dodatkowe kłopoty, że przyniosłam ci ubranie i ułatwiłam wyjście.

– Tylko w przypadku, gdyby coś mi się złego stało.
– A nie stanie się nic złego?
– Mam nadzieję.

Złapał jeszcze kilka płytkich, chaotycznych oddechów i zamilkł. Przerazona kobieta chwyciła go za rękę.

– Żyjesz?!

Nie odpowiedział.

Taksówkarz też był przerażony, gdyż przysłuchiwał się z ciekawością ich dramatycznej wymianie zdań i przeklinał się w duchu za ten kurs.

– Co z nim?
– Nie wiem – odparła bezradnie kobieta.
– Ale oddycha, żyje?
– Niech pan zobaczy, proszę! Niech pan sam zobaczy.

Tyleż wystraszony co wściekły odwrócił swoje potężne ciało na siedzeniu dla kierowcy i spojrzał badawczo na białą, zapadłą, bezkrwistą twarz Damiana.

– On właśnie przed chwilą zmarł, proszę pani. Jedziemy na pogotowie.

Usiłowała rozpaczliwie protestować:

– Jeśli zmarł, pogotowie nic mu nie pomoże.
– Ale przynajmniej nikt nie będzie miał do mnie pretensji, że wioząc ciężko chorego pasażera, nie próbowałem udzielić mu pomocy.

Przez całą niedzielę, gdy był już w jakiej takiej formie, później zaś w poniedziałek i wtorek, Artur Nawrot poszukiwał Aldony, a w zasadzie polował na nią niczym myśliwy, któremu wymknęła się z rąk cenna i bardzo niebezpieczna zdobycz.

Kołował swoją alfą romeo po mieście. Kilkakrotnie stawał przed wynajętą dla niej przez Damiana kwaterą i godzinami wgapiał się w furtkę u bramy przekonany, że ją w końcu zobaczy. Musi przecież gdzieś spać, gdzieś odpoczywać, gdzieś brać prysznic i zmieniać bieliznę.

Raz drgnęło mu serce, gdy furtka stanęła otworem, lecz zamiast Aldony wyszedł z niej na cichą, ustronną ucieczkę wielce zadowolony z czegoś gospodarz. Artur Nawrot zebrał się na odwagę i z wymuszonym uśmiechem zapytał go o „uroczą lokatorkę”, lecz niechętny mu od początku mężczyzna stracił swój promienny wyraz twarzy i posłał go do wszystkich diabłów, oświadczając, że „urocza lokatorka” już tu nie mieszka.

Jeśli nie tu, to gdzież mogłaby się zatrzymać tak wymagająca i kapryśna dama, przyzwyczajona do wszelkich możliwych luksusów jak pupa do papieru toaletowego?

Zaczął obchodzić po kolei te wszystkie nowe hotele przy Piłsudskiego. Był w Ambasadorze, w Campanile, w Novotelu, w Ibis Hotel oraz w Boutique Hotel's po drugiej stronie ulicy. Portierzy i recepcjoniści poznawali go jako aktora i skwapliwie udzielali mu informacji, rozkładając jednak bezradnie ręce:

– Nie, przykro nam. Pani z amerykańskim paszportem o tym imieniu i nazwisku nie raczyła niestety u nas zamieszkać. Ależ oczywiście, oczywiście! – Przyjmowali od niego wizytówkę, prosząc niekiedy, aby się na niej podpisał. – Gdyby pojawiła się nagle, natychmiast damy panu o tym znać, o ile dama nie będzie temu przeciwna.

W środę zszokowany aktor zaniechał dalszych poszukiwań. Wszystkie łódzkie i krajowe media zawiadomiły z głębokim żalem, że poprzedniego dnia, we wtorek, około południa, zmarł nagle w pełni sił twórczych, w wieku czterdziestu dziewięciu lat, znany i ceniony pisarz Damian Paweł Ross. Był autorem kilkunastu powieści, paru cenionych zbiorów reportaży i opowiadań, tworzył również scenariusze filmowe. Dużo podróżował, mimo że od dłuższego czasu poważnie chorował na serce.

Nad Arturem, który tego dnia miał wyjechać na plan serialu do Warszawy, pochyliła się z niewyraźną miną Krystyna.

– No cóż, najlepszy twój przyjaciel zmarł, czujesz się winny?

Od feralnej soboty byli ze sobą parę razy w łóżku, ale spojrzął na nią z nienawiścią.

– A ty? – odbił pytanie.

– A ja to niby czemu? – zdziwiła się nieszczerze.

– Szczułaś do gwałtu na jego znajomej.

– To oni się znali?

– Nie udawaj. Wczoraj nikt może o tym nie wiedział, dzisiaj wiedzą wszyscy.

W czwartek w gazetach i tygodnikach ukazały się liczne wspomnienia i nekrologi – szczerze i oficjalne. W niektórych informowano, że pogrzeb odbędzie się w piątek, o godzinie trzynastej – cmentarz na Dołach – i że pisarz zostanie pochowany w alei zasłużonych.

Artur ucieszył się. Tam na pewno spotka wreszcie Aldonę, a ona na pewno mu wybaczy, jak by w ogóle było co wybaczać. W końcu to nie on chciał iść do Magielińskich i nie on gwałcił.

Jak wielu znanych i przystojnych aktorów miał o sobie wysokie mniemanie. Teraz, kiedy Damian nie żyje, nic już nie stoi na przeszkodzie, aby byli razem i polecili do Stanów Zjednoczonych, gdzie bogata i ustosunkowana kobieta pomoże mu zrobić prawdziwą aktorską karierę. Był tego absolutnie pewny.

Lecz w piątek, przed pogrzebem, do którego przygotował się jak najbliższy, rozpaczający przyjaciel w czarnym od stóp po głowę, żałobnym stroju, znowu zaczepiła go w domu Krystyna.

Tym razem jej twarz nie była już niewyraźna. Tym razem była przerażona, a ręce dygotały chorobliwie.

- Słyszałeś już? – zapytała, dzwoniąc zębami.
- Co niby miałbym słyszeć?
- Zamordowali Januszka.
- Magielińskiego?
- Tak.

Teraz i jemu struchlało serce i przemknęły przez głowę ponure, zatrważające myśli.

- Kiedy?
- Wczoraj wieczorem.
- Gdzie?
- W pracowni.
- I kto to zrobił?

- Tego akurat nikt nie wie, ale piszą o tym wszystkie łódzkie gazety. Masz! – wręczyła mu kilka tytułów. – Poczytaj sobie.

Zapalił roztrzęsionymi jak u żony rękoma papierosa i czytał, w żaden sposób nie mogąc zebrać rozbieganych myśli. Ale to, co potworne i śmiertelnie groźne, dotarło jednak do niego...

Popularny łódzki malarz został w bestialski sposób zasztyletowany w swojej pracowni, usytuowanej w głębi odbiegającego od Piotrkowskiej podwórka. Policja dla dobra śledztwa nie udziela w tej makabrycznej sprawie żadnych informacji, lecz ludzie spekulują, że był to mord rytualny albo zabójstwo na tle rabunkowym, gdyż państwo M. uchodziło za osoby zamożne, kryjące w różnych zakamarkach gotówkę i skarby, bądź też zbrodnia będąca konsekwencją frywolnej atmosfery, jaka od czasu do czasu na hucznych imprezach urządzanych w tej pracowni panuje.

To ostatnie domniemanie właśnie najbardziej przeraziło Artura i Krystynę Nawrotów.

- Ktoś z gości musiał puścić parę – wykrztusiła przez ściśniętą krtani Krystyna.
- Ktoś z gości albo ktoś z sąsiadów.
- Sąsiadów nie zaprasza się tam.
- Ale mają swoje uszy i oczy.

- Chryste, zmiłuj się nad nami.
- Swoje mikrofony, kamery, lornetki – dobijał żonę Artur.
- Słuchaj, kochanie. – Niestroniąca od uciech życia inicjatorka gwałtu ścisnęła kurczowo aktora za szyję, wtulając w niego twarz. – Musimy odtąd trzymać się razem i prowadzić bez zarzutu.

Zarechotał szyderczo:

- Teraz to mówisz? Ja nie mam nic na sumieniu, gdyby doszło do rozprawy w sądzie.

- Nie będziesz chyba zeznawał przeciwko mnie.

Zdjął ręce żony ze swojej szyi i odsunął ją od siebie.

- Od tej pory każde z nas śpiewa swoją balladę. Uszanowanie.

- Gdzie idziesz?

- Jadę na pogrzeb.

- Och, błagam cię, zaklinam! Nie zostawiaj mnie samej, najdroższy!

- Coś ty powiedziała? – znowu rechotał jak łaskotana ropucha, czego nauczył się w teatrzykach dla dzieci.

Wyszedł i opanowany, spokojny, pojechał na cmentarz. Pierwsze uderzenie było jak grom, ale oswoił się już ze śmiercią Januszka. Jemu przecież osobiście nic nie grozi. Zawsze był z malarzem w dobrej komitywie, nie nawrzeszczał na niego, gdy ten łagodnie, wprost miłośnie zgwałcił nieprzytomną Aldonę. Inni, owszem, mogą i powinni się martwić, ale nie on.

Wszakże coś mu tam jeszcze doskwierało. Tak czy owak, trzeba będzie uważać i przyhamować trochę z seksem. Pod tym względem akurat Krystyna ma rację. Znalazł wolne miejsce, zaparkował, minął tę dolną, białą bramę i wszedł, a właściwie wcisnął się do zatłoczonej cmentarnej kaplicy, przed którą też zdążył się już zgromadzić potężny tłum żałobników.

Mahoniowa trumna o złotych okuciach, z odchylonym wiekiem, pozwalała spojrzeć po raz ostatni na pisarza, który w niej spoczywał. Mistrzowie domu pogrzebowego, owi charakteryzatorzy, przygotowujący nieboszczyka, aby w ostatniej swojej roli na powierzchni życia prezentował się jak należy, zrobili swoje i Damian Ross, smoliście, lecz wytwornie ubrany,

pięknie uczesany, o zaróżowionych policzkach, sprawiał wrażenie, jakby miał podnieść się za chwilę z łoża śmierci, podziękować czytelnikom za liczne przybycie na wieczór autorski i o własnych siłach ruszyć do czarnej limuzyny, czekającej na niego pod kaplicą.

Stojącej obok katafalku kobiecie, pierwszej i jedynej, byłej żonie Damiana, lały się po policzkach sznury łez. Płakało również kilka innych kobiet, cicho, ale szczerze i rzewnie, co wzbudzało szepty i westchnienia.

Ludzie obserwowali się czujnie nawzajem. W przesyconych kadzidłem oparach takich uroczystości wiele można wywnioskować. Dlaczego mąż patrzy ze złością na żonę? Czemu raptem odeszły od siebie dwie zaprzysięgłe przyjaciółki? Co jest powodem, że ta zagadkowa, nieznana nikomu niewiasta tak szczelnie zakryła twarz welonem?

– Mam ją – szepnął do siebie bezwiednie Artur i zaczął przeć w stronę owej zjawy. Odepchnął kogoś, to znowu potrącił, nastąpił na but. Zakłócał nastrój tej doniosłej chwili.

– Uważaj pan. – Tęgi mężczyzna boleśnie przytrzymał go za łokieć, ale inny sumitował:

– Daj mu spokój.

– Rozpycha się jak cham.

– Ale to najbliższy przyjaciel Damiana.

– Tym bardziej powinien zachowywać się godnie.

– To aktor.

– I co z tego?

– Może chce pocałować przyjaciela w czoło albo uścisnąć mu rękę?

Nareszcie, nareszcie! – uradowany Artur pochłonięty był jedną tylko myślą. – Zaraz będę przy niej. Zaraz dotknę znacząco jej dłoni i zrozumie to, choć jest w długich, czarnych rękawiczkach. Jest samotna jak palec, więc spadnę jej dosłownie z nieba. Zjemy kolację przy świecach, a potem, przy szampanie, kawiorze i truskawkach, przez całą noc będziemy się pieprzyć i dam głowę, że sama, pierwsza, poprosi mnie, abym poleciał z nią do Nowego Jorku.

Nie zważał na dwóch wysokich osobników, tkwiących nieruchomo za plecami Aldony. Obydwaj, ten młody i ten starszy, mieli na oczach czarne okulary, a na dłoniach białe rękawiczki. Nie wiedział, że zza tych swoich ponurych, czarnych szkieł śledzą każdy jego ruch.

Jedno zdanie, krótkie i bezczelne, zdążył tylko wypowiedzieć:

– Aldono, ukochanie moje, od kilku dni szukam cię po całym mieście, wiedząc, że i ty...

I to wszystko. Jak w imadle: na obydwu wątych bicepsach poczuł stalowy ucisk mocarnych rąk, a na plecach pod marynarką chłód jakiegoś przedmiotu. I ten złowieszczy, cichy nakaz:

– Idziemy, kanalio, i ani słowa, chyba że chcesz, aby egzekucja odbyła się tutaj?...

Nawet jeśli ktoś coś zauważył, a musiał zauważyć zadartą na plecach Artura marynarkę, wołał zachować milczenie.

Dwóch mężczyzn przepchnęło Artura przez zatłoczoną kaplicę i przez zgromadzony gęsto przed kaplicą tłum, w którym nie brakło dwóch telewizyjnych operatorów i grupki pracujących na własny użytek innych osób z kamerami.

– Skandal! – odezwał się ktoś, rozpoznawszy znanego aktora.

– A to czemu?

– No, proszę tylko popatrzeć! Zmarł znany pisarz, trwają uroczystości pogrzebowe, a oni i to muszą wykorzystać dla własnych potrzeb i kręcić sobie w najlepsze film.

Za bramą młodszy z dwóch strażników Aldony ucapił Artura za modną, wypielęgnowaną przez telewizyjnych fryzjerów grzywę, szarpnął, aż w oczach pokazały się łzy, i wypuścił jad:

– Spierdalaj stąd, ty nędzny aktorski śmieciu! I żebym cię tu więcej nie widział! Zrozumiałeś, fujaro?!

Artur nie był bohaterem i przytaknął:

– Zrozumiałem, ale...

Ochroniarz Aldony, kiedy aktor brał oddech, uderzył go od niechcienia w brzuch, sprawiając, że ofiara nie mogła przez kilkanaście sekund złapać powietrza i krztusiła się rozpaczliwie.

– Żadnego „ale”, żadnych pytań, żadnych próśb, aby kiedykolwiek jeszcze zbliżyć się do pani Aldony, zrozumiałeś, czy

mam powtórzyć?

– Tak.

– Co: tak?

– Zrozumiałem.

– To zjeżdżaj stąd! Nie twierdzę, że rachunek twoich grzechów został zamknięty. Najgorsze masz jeszcze przed sobą, ale teraz – sio!

I został sam, pośród dwóch wrogich sobie staruszek handlujących kwiatami, które widziały wprawdzie starcie między panami, lecz nie zapominały o interesach.

– Chryzantemki dam panu śliczne za pół ceny, panie kawalerze – zachęcała pierwsza.

– U mnie masz pan szeroki wybór: kwiatki żywe i kwiatki sztuczne, które na cmentarzu przeleżą cały rok i nikt ich nie ukradnie – licytowała druga.

– Tfy! – Splunął.

– To ciężki grzech pluć przed cmentarzem – oburzyła się pierwsza.

– Gotowe nieszczęście – przytaknęła druga.

Usiadł za kierownicą i nim ruszył, wypalił zachłannie papierosa, czekając, aż ustanie dygotanie rąk.

– Dranie! Łotry! Tego młodszego musiałem gdzieś spotkać – prowadził ze sobą konwersację. – Szlag by ich trafił! Gdyby dane mi było porozmawiać z Aldoną, na pewno nie odprawiłaby mnie z kwitkiem. Nie dała mi numeru swojej komórki, ale zna mój. Może jeszcze zadzwoni? A jak nie, to jest przecież Krystyna i ta modelka. Jak jej tam? Bonita, Lolita? No i jedna z tych serialowych laleczek też jest chętna.

Był zachwycony, że ma taki silny charakter. Inni z byle powodu odpalają zawałami, a on z każdym nieszczęściem potrafi uporać się w pół godziny. Zmarł mu przyjaciel, zerwała z nim Aldona, zamordowali Januszka, on zaś błyskawicznie uporał się z tym.

Zatrzymał się przy Kopcińskiego, obok stacji benzynowej i Tesco, i kupił sobie butelkę whisky. Ładna, młoda kasjerka obdarzyła go uśmiechem.

– Ja pana znam, wiem, kim pan jest – powiedziała, wydając mu resztę.

Podjął flirt:

- Nie wierzę.
- Ależ tak!
- Może to pani udowodnić?
- Gra pan w telewizji, w kryminalnych serialach.
- Ogląda pani?
- Często.
- I jak? Podobają się pani?
- Raz bardziej, raz mniej, ale pan zawsze wypada, jak należy.
- Dziękuję.
- Nie ma za co.
- Wpadnę tu jeszcze któregoś dnia i zabiorę panią na kawę.
- Będę czekać.

I ja mam się byle czym zamartwiać – rozmyślał, znowu wpadając w rozkoszny stan samouwielbienia. – Koń ma wielki łeb, niech się martwi.

Skręcił w Piłsudskiego i mijał wszystkie te hotele, w których szukał Aldony. Pomyśleć, że niegdyś przez sto lat szczytów wygody i komfortu szukać musiałeś w starym, pocziwym Grandzie.

Wjechał wąską bramą w podwórko, zaparkował w wyznaczonym dla siebie miejscu i w pogodnym nastroju zaczął wspinać się po wydeptanych schodach, chłonąc nozdrzami biedaczy koktajl zapachów. Ryba i kapusta, kapusta i ryba. No i smażona cebula, kwaśny odór wypranej bielizny, smród kotów polujących dzielnie na szczury i woń tanich kosmetyków.

Przed drzwiami mieszkania leżała zaadresowana do niego koperta.

Lubił mówić do siebie, co charakteryzuje wielu aktorów, więc powiedział głośno i radośnie:

– Jak idzie, to idzie. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby był to liścik od Aldony.

Minął sypialnię Krystyny, rozsiadł się wygodnie na fotelu w bibliotece, nalał sobie szklanekę whisky i zapalił z rozkoszą,

bowiem papieros i alkohol pasują do siebie jak rozkochane małżeństwo, i dopiero teraz rozerwał kopertę, aby przeczytać „liścik”, który postawił mu włosy na głowie:

Cześć, Artur!

Nawet w najśmielszych marzeniach nie sądziłem, że jest z Ciebie taki wspaniały przyjaciel. Nikt lepiej i troskliwiej nie potrafiłby zaopiekować się Aldoną podczas mojej choroby. Twoja opieka nad tą wspaniałą kobietą przerasta wszelkie moje oczekiwania. Nie nudziła się ani przez chwilę, no i miała wspaniałe towarzystwo, ze szczególnym uwzględnieniem mężczyzn, za co należy się wszystkim sowita nagroda.

Dobry obyczaj nakazuje, aby zacząć od gospodarza, pana Janusza Magielińskiego. Ale spokojnie, o innych też nie zapomnę, na Ciebie też przyjdzie pora, choć w tych sprawach nikt nie zna dnia ani godziny, dzięki czemu ospała akcja ludzkiej egzystencji nabiera dramaturgii i tragizmu.

Serdeczne pozdrowienia dla Małżonki!

Dzięki za obecność na pogrzebie!

Do zobaczenia!

Damian Ross

Z papierosa spadł na podłogę słupek popiołu. To jakiś ponury żart, makabryczny kawał! Pet parzył mu środkowy i wskazujący palec, więc rozgniół go w popielniczce i powłócząc jak starzec nogami, z których uleciała raptem wszelka moc, podszedł do biblioteki, aby wyjąć z szuflady list i zagraniczne karty od Damiana i porównać charakter pisma.

To był ten sam charakter, ten sam osobliwy podpis Damiana. Ale nawet gdyby był inny, i tak sytuacja przedstawiała się groźnie! Przerazająco! Makabrycznie!

– Chryste Panie, po co mi to było! Ale to przecież jego wina, sam mnie w to wplątał. A ona też mogła się w końcu opamiętać.

Nie zastanawiając się długo, chwycił list i poczłapał z nim do Krystyny.

18

Wyrzucony z policji na zbity pysk Bartosz W., karateka o wdzięcznym pseudonimie Szybka Noga, momentalnie znalazł dobrze płatną pracę ochroniarza w jednym z łódzkich supermarketów i oddychał pełną piersią, gdyż nie zanosilo się na żaden proces o gwałt.

Nie ma ofiary, nie ma sprawy. Czas leczy rany, pamięć ludzka jest ulotna.

Szybka Noga miał ponętą żonę i sześciolatniego synka, co nie znaczy, że nie lubił sobie pofiglować na boku. Cieszył się pośród okolicznych piękności zasłużoną renomą niestrudzonego kochanka i chętnie budował na tej opinii przelotne związki.

Nie zawsze był bezinteresowny. Pobierał czasem opłaty od kobiet brzydkich, od starych i od bogatych. Lecz zdarzało się, że i sam dawał prezenty: a to bombonierka, to kupiona w szmateksie torebka, a to pierścionek z tombaku... Tej nocy jednak posunął się jeszcze dalej. Wręczył prześlicznej, gorącej, nadzwyczajnej w miłosnych zapasach mężatce buteleczkę podrabianych perfum. Osiemnaście pięćdziesiąt! Bagatela! Pół litra możesz za to kupić! A ona z ironiczną minką odstawiła flakonik na stronę i powiada:

- Nie wysilaj się, Bartek.
- Czemu? Nawet ich nie powąchałaś - powiedział z wyrzutem.
- Mam tego całą szafę. Wolę, żebyś dał mi to, czego nie mogę dostać od męża. No, chodź! Nie daj się prosić.
- Coś ty dziś taka szybka? - droczył się Bartuś, wiedząc, jak podkreślić kobietę.
- On za trzy godziny wraca.
- I co by zrobił, gdyby przyłapał nas razem?
- Rzuciłby mnie.
- Taką wspaniałą... pupkę?
- Stać go na to, żeby mieć lepsze. - Ściągnęła mu spodnie i slipy i przewróciła na łóżko.

Śmiał się, strasznie mimo wszystko podniecony.

– Widzę, że w tym związku nie mam nic do gadania.

– Żebyś wiedział.

Kochał z werwą pod jej dyktando, w czym przypominała Aldonę:

– Teraz tak! A teraz tak! Teraz niżej! Teraz wyżej! Och, kochanie... naprawdę masz duży potencjał... Całuj! To takie słodkie, takie rajcujące...

W przerwach palili i popijali jakiś koniak, Martell czy coś takiego. Zawróciła mu w głowie. Już dawno mu się nie zdarzyło zabujać w kobiecie i tęsknić do niej jak niegdyś do żony.

– Spotkamy się jeszcze? – dopytywał.

– Chyba tak. – Śmiała się srebrzyście, zadowolona i pewna swoich uroków.

– Kiedy?

– Tego to akurat nie wiem.

– Ale mnie więcej.

– Ciii, nie nalegaj. Zadzwońię do ciebie. A teraz ubierz się jak grzeczny chłopczyk i zmiataj do żony.

Zrobił, jak prosiła, wiedząc, że w gruncie rzeczy nie jest to prośba, lecz rozkaz. Pożegnalny pocałunek z jej strony złożony był od niechcienia. Biały kot wychynął z mroku i wskoczył jej na obnażony brzuch, w rozchył między dwiema połami szlafrocza.

– Mruczuś, Mruczuś kochany. – Smyrała go miłośnie po grzbiecie. – Gdzieś to się włóczył całą noc, nicponiu? Znowu u sąsiadów będą kocięta?

– To twój kot?

– Nie, dziki, ale przychodzi, kiedy chce i dostaje miskę.

– Łobuz?

– Straszliwy. Wszystkie kotki w okolicy zaciąza.

– Coś mi się zdaje, że on jest dla ciebie ważniejszy od męża.

– Oczywiście. Chadza własnymi drogami i nie włązi mi w paradę. Ty jesteś tego najlepszym dowodem. No, zmiataj i uważaj na siebie... bądź ostrożny.

– A to czemu? – spytał zaczepnie.

– Bo ktoś ci może przyłożyć.

- Jeszcze się w Łodzi taki nie urodził.
- Czyżby? A te dostawki na przednich zębach?

Nastroszył się:

- To widać?
- Nie, to czuć. Są obłuzowane. Powinieneś stosować coregę.
- Ty coś wiesz? - sondował Szybka Noga podejrzliwie.
- A co niby miałabym wiedzieć? - odpowiedziała niewinnie i ziewnęła szeroko, z kpiną.
- No to do widzenia.
- Ano do widzenia, do widzenia, chociaż... któż to wie, proszę pana, któż to wie?...

Taka wspaniała noc zakończona jednak nieprzyjemnym zgrzytem. Była połowa sierpnia i od ziemi ciągnęło już chłodem. Pohukiwał puszczyk, dzięcioł ostukiwał krótkimi, precyzyjnymi seriami drzewo. Wzdrygnął się. Rozbłysły w krzakach czyjeś żółte oczy, przypominające, ech! po co wspominać...

Po lewej stronie był las, po prawej wille bogaczy. Śpiące psy pomrukiwały w budach, dając znać, że czuwają, ale czekać im się jakoś nie chciało. Gdzieś tam, za oświetlonymi oknami, grała jeszcze muzyczka. Ustronna dzielnica Łodzi tonęła w sennej ciszy i spokoju i każdy głośniejszy akord budził grozę.

Nie uchodził za nazbyt bystrego człowieka, miał raczej instynkt karateki, lecz w jego ospałym umyśle pojawiły się nagle pytania i wątpliwości. Ten mąż, który miał wrócić za trzy godziny, te ruszające się protezy na zębach, co wyczuła podczas pocałunków... To ostatnie, dziwne zdanie, którym go pożegnała: „Do widzenia, chociaż... któż to wie?...” Cały ten krótki, ulotny romans był od początku trochę zagadkowy i tajemniczy, co przydawało mu uroku, ale... na dobrą sprawę nie podała mu nawet wyraźnie swojego imienia. „Kasia, Marcelina... sam sobie wybierz, wedle swojej wygody. Monika i Angelika są w modzie... Zresztą... po co ci imię, Szybka Nogo, ja mam ksywkę Przeznaczenie”.

- Daj no ognia, panie kawalerze - zaczepił go młody facet z papierosem w zębach.

– Spierdalaneiro, frajerze! – wrzasnął, rozwścieczony, że ktoś zakłóca mu proces myślenia.

– Ładnie to tak traktować po nocy człowieka w potrzebie? – zagadnął łagodnie nieznajomy.

– Ja ci zaraz pokażę, co jest ładne, co nieładne, śmierdzielu!

– Naprawdę?

– Nie wiesz nawet, z kim zadzierasza?

– A może wiem? – odparował wesoło młody, wysoki mężczyzna z takim spokojem, jakby już było po walce i to jemu właśnie sędzia miał unieść do góry pięść.

Bartek sprężył się, zamieniając wszystkie mięśnie w stal. Zaraz pokaże temu łachudrze, jak karcać cztery pasy karate. „Łachudra” tymczasem odstąpił dwa kroki w tył, wyciągnął kolbę, odbezpieczył i zapytał poważnie:

– Wierzysz w Jedyne Boga, Szybka Nogo?

– Ty! Ty! Nie wygłupiaj się! – wydukał przerażony Bartek. – Dam ci zaraz fajera i całą paczkę szlugów.

– Na kolana!

– Nie wygłupiaj się, błagam, zaklinam!

– Na kolana! Masz trzydzieści sekund, aby pojednać się z Bogiem.

– Przecież możemy się dogadać! – jęczał, osuwając się na klęczki, Bartek Szybka Noga.

– Nie możemy – padła bezlitosna odpowiedź.

– Nic takiego nie zrobiłem.

– Zrobiłeś.

– Jestem bogaty, wszystko twoje, wszystko twoje. – Płakał rzęsiстыми łzami.

– Tyle że ja też jestem bogaty.

– Więc mam inną propozycję...

– Czas minął.

Młody, szczupły i wysoki osobnik musiał być wyborowym snajperem lub trenować gdzieś sportowo na strzelnicy, bowiem wpakował Szybkiej Nodze kulę w czoło, dokładnie między oczy.

– Mnie zostawcie pomstę, powiedział Pan, więc przepraszam, Boże Najwyższy i Sprawiedliwy, że musiałem cię wyręczyć.

Był w rękawiczkach. Pistolet położył na lewej dłoni trupa, wiedząc, że był mańkudem. W samobójstwo i tak nikt nie uwierzy. Lecz warto krzyżować tropy.

19

Silny charakter Artura Nawrota sprawił, że po kilku tygodniach nie tylko o pogrzebnym liście Damiana zapomniał, lecz nawet żartował z niego czasami. Dobry kawał! Jeden z wybitnych, warszawskich krytyków literackich wtajemniczył go, w czym rzecz:

– Są to stare chwyty, zastosowane już wcześniej przez kilku dowcipnych pisarzy, między innymi André’a Gide’a, noblisty, zaprzysięgłego ateisty, zionącego nienawiścią do Kościoła i księży, co dał wyraz w powieści *Lochy Watykanu*. Czytałeś?

– Nie.

– A szkoda. Gide, ciotka Teodozja, wróg wszelkich norm moralnych, zmarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku, przedtem jednak, nim wyciągnął kopyta, napisał coś, zakleił w kopercie i zaadresował do któregoś ze swych wierzących przyjaciół. Kiedy w kilka dni po śmierci pisarza adresat otworzył kopertę, przeczytał: „No widzisz? Jednak miałem rację, kolego. Żadnego Boga tu, po drugiej stronie życia, nie widziałem. – André Gide”.

– Niezły numer. – Śmiał się rozbawiony aktor.

– Identyczny Damian Ross wyciął tobie – stwierdził wybitny krytyk. – Ale jest w tym jeden niepokojący szkopuł.

– Jaki?

– Że ten list nie nadszedł pocztą, tylko podrzucony został pod drzwi.

– O czym to świadczy?

– O tym, że maczała w tej intrydze szpony trzecia ręka.

– Tak czy owak zagadka przestała być zagadką. Dziękuję!

– Nie ma za co.

Trzecia ręka! Dobre sobie! Pierwszy chłopak z ulicy mógł za pięć złotych to zrobić. Od miesiąca zginął po tej niemiłej aferze wszelki ślad. Damian Ross i Janusz Magieliński spoczywają

w swoich mogiłach, Aldona J. poleciała prosto z Łodzi do swojej angielskiej przyjaciółki na Korfu i teraz jest już pewnie u boku swojego zazdrosnego męża w Stanach, który nawet jeśli coś słyszał, to jej wybaczył, bo przedstawiła mu swoją wersję wydarzeń. Artur wciąż jeszcze ubolewał trochę, że ani razu nie zadzwoniła do niego przed wyjazdem, ale zawsze to lepsze, niż stracić życie w starciu z jej ochroniarzami.

Z Krystyną było mu teraz całkiem dobrze. Kochali się często, puszczając wodze nie tylko fantazji, gdyż kilkakrotnie wzięli sobie na deser modelkę. On miał swoje tajemnice na boku, bo przecież ta gwiazdeczka z serialu uległa mu chętnie, ona swoje, spotykając się od czasu do czasu z młodymi chłopcami, w sumie jednak byli całkiem udanym małżeństwem.

Osiemnastego sierpnia, w czwartek, ktoś zadzwonił gwałtownie do drzwi ich mieszkania przy Piotrkowskiej. Obydwoje byli ostrożni. Podeszedł i popatrzył przez wizjer, czując mrowienie na plecach.

- Kto jest?
- Poczta.
- O tej porze? Wieczorem?
- List polecony.

Nie zdejmując łańcucha, uchylił drzwi, złożył podpis na jakiejś kartce i wziął przez szparę tę nieoczekiwaną przesyłkę.

- Od kogo? - zaciekała się Krystyna.
- Zobacz - odrzekł zbielełymi ustami.
- Znam ten charakter - teraz i ona mówiła zatrwożonym głosem.
- To jest jakiś sen, jakaś makabra, jakiś koszmar.
- Otworzysz?
- A powinienem?
- To już twoja decyzja, kochanie.
- Może lepiej od razu iść z tym na policję?
- Ty chyba zwariowałeś! - rzuciła się Krystyna. - Chcesz nas oboje pogrążyć, idioto!
- Ty, ty! Uważaj, kto tu jest idiotą! Dużo więcej na sumieniu masz w tej sprawie niż ja.

– Nie kłóćmy się, Arturze – łagodziła.
– Podrę to, nie czytając, i wrzucę do kosza.
– Wtedy nie będziesz wiedział, z której strony padnie cios.
Zresztą... może jesteśmy przeczuleni? Może tam nie ma nic złego?

– Czytamy?

– Czytamy.

Rozerwał kopertę i siedząc ramię w ramię z Krystyną, chłonął przerażający zaiste tekst:

Cześć, Artur!

Milczałem jakiś czas z powodów strategicznych. Czekałem, aby uderzyć konkretnego dnia, czyli dziś: w nocy ze środy na czwartek. Tym razem zasłużoną karę poniósł ten brutalny policjant, Bartosz, drugi po Tobie gwałciciel.

– Ja nie gwałciłem, ja nie gwałciłem! – Przerwał lekturę przesłania siny ze wściekłości i przerażenia aktor.

– On widocznie sądzi inaczej – zauważyła Krystyna. – No, dalej!...

Dostał to, na co zasłużył. Szczegółów dowiesz się zapewne dopiero jutro, w piątek, więc kup wszystkie łódzkie gazety.

To wszystko. Nie zapowiadam, kto będzie następny w kolejce, żeby nie odbierać tej swoistej sztuce kryminalnej dramaturgii.

Serdeczne pozdrowienia dla Małżonki.

O Tobie też nie zapomnę!

Damian Ross

– Czego ten cholerny drań chce ode mnie? – zasunęła rozjuszona kobieta.

– Dobrze wiesz.

– Jemu osobiście nic nie zrobiłam.

– On widocznie sądzi inaczej.

– Nęka mnie!

– Musisz się z tym pogodzić.

- I co dalej?
- Wspominałaś komuś o tym pierwszym liście, po śmierci Januszka?
- Nie, nikomu, jak Boga Kocham!
- Więc skoro nie pokażemy go policji – potrząsnął z furkotem przesyłką – o tym drugim też nie wspominaj. Zrozumiałaś?
- Tak.
- Ma to zostać tajemnicą między nami, między tobą a mną i nikim więcej, jasne?!
- Oczywiście!
- Nie będziemy przecież kopać się z koniem. Tu rzeczywiście musi być jakaś trzecia ręka, która próbuje nas pogrążyć. – O krytyku literackim nie wspomniał.

Przegadali do rana. Silny charakter Artura znowu dał o sobie znać, gdyż w końcu zasnął i po gazety poleciała Krystyna. W „Expressie Ilustrowanym” i w „Dzienniku Łódzkim” wiadomość o śmierci Bartosza W. znalazła się na pierwszej stronie, w lokalnym wydaniu „Gazety Wyborczej” na trzeciej. Tytuły zachęcały do czytania:

ZAGADKOWA ŚMIERĆ BYŁEGO SPORTOWCA I POLICJANTA!
SAMOBÓJSTWO CZY MORDERSTWO?
BARTEK SZYBKĄ NOGĄ NIE ŻYJE!

Reasumując:

W nocy ze środy na czwartek, w ustronnej łódzkiej dzielnicy, w tajemniczych okolicznościach poniósł śmierć trzydziestosiedmioletni Bartosz W., niegdyś znany karateka i policjant, ostatnio ochroniarz w jednym z łódzkich supermarketów. Osierocił żonę i sześciolatniego synka. Był barwną, kontrowersyjną postacią, zarówno w świecie sportu, jak i prawa. Z policji został usunięty z uwagi na udział w licznych bijatykach i, łagodnie mówiąc, nadużywanie pałki, a także z powodu naruszania norm obyczajowych.

Cieszył się sławą notorycznego podrywacza. Brał udział w tak zwanych grupowych „podwieczorkach seksualnych”. Posądzany

był również o gwałt.

Ciało Bartosza W., pseudonim Szybka Noga, znalazł na obrzeżach lasu cierpiący na bezsenność Władysław B., emerytowany tramwajarz. Naszemu reporterowi powiedział:

„Codziennie rano, o szóstej, wychodzę na spacer po lesie, a sypiam kiepsko, bo jako motorniczy, a potem kontroler pracowałem przez czterdzieści lat na różne zmiany, wyprowadzając często tramwaje z zajezdni późną nocą. Było już, jak to dzisiaj, latem, widno i od razu zauważyłem ciało tego mężczyzny. Jeden rzut oka wystarczył i już wiedziałem, że nie żyje. W czole, dokładnie między brwiami, miał dziurę po kulce i wcale nie dużo krwi. Więc nie dzwoniłem na pogotowie i nie próbowałem udzielać mu pomocy, wiedząc, że w takich przypadkach nie należy niczego ruszać, a już tym bardziej, że na odwróconej grzbietem ku ziemi ręce nieboszczyka leżał pistolet. Po policję od razu zadzwoniłem, a oni przyjechali natychmiast, spisali mnie, przepytali i poradzili, abym wrócił do domu. Słyszałem, jak gadali między sobą:

- Samobójstwo?
- Wykluczone!
- Miał paskudną sprawę na sumieniu.
- Ale za bardzo kochał życie, aby palnąć sobie w łeb.
- I nikt go przecież za tę „paskudną sprawę” nie ścigał.
- Nie o to chodzi, panowie. Przecież on mieszka w Śródmieściu, więc trzeba zadać sobie pytanie, co porabiał w tej ustronnej dzielnicy.
- Jakaś kochanka?
- Właśnie. Znajdźmy tu jego jakąś kochankę, a ona dostarczy nam klucz do tajemnicy”.

Przeczytawszy wspólnie wszystkie trzy reportaże, opatrzone zastrzeżeniem, że policja wstrzymuje się na razie od wniosków i nie udziela na ten temat żaden informacji, Artur i Krystyna spojrzeli na siebie pogodnie.

- O gwałcie wprawdzie wspomnieli, ale nikt nie połączył śmierci Bartka z zabójstwem Janusza.

- I na szczęście w pierwszym zabójstwie był nóż lub sztylet, a w drugim spluwa.
- Dwa różne narzędzia zbrodni.
- I o to chodzi.
- Nikt poza nami nie wie, że te sprawy mają wspólny mianownik.
- I niech tak zostanie.
- Teraz chyba, kochanie, pora się przespać.
- Czas najwyższy.

20

Chirurgia kosmetyczna nie jest wcale odkryciem dwudziestego wieku, dokonany w Hollywood, aby ratować starzejące się gwiazdy filmowe, bo już w zamierzchłych czasach, przed narodzeniem Chrystusa, zdarzali się lekarze potrafiący wyprostować garbaty nos, zniwelować blizny, a nawet, żeby zadowolić Marcjusa, odessać tłuszcz z brzucha Kleopatry, o czym wie każdy szacowny historyk.

Wszelako w szalonym, atomowym, dwudziestym stuleciu chirurgia kosmetyczna uzyskała status suwerennej sztuki medycznej, nie tak wprawdzie szlachetnej i ważnej jak kardiologia czy okulistyka, lecz uznanej z lekkim przymrużeniem oka przez świat.

Jak w każdej sztuce, pośród chirurgów estetycznych (autor ma kaprys, aby tak akurat ich nazywać) trafić można na prawdziwych, służących w dobrej wierze ludzkości artystów i na szarlatanów, od których roi się nade wszystko w malarstwie, lecz spotykasz ich również w muzyce i literaturze.

Dziewięćdziesiąt procent chirurgów estetycznych wybiera swój zawód z uwagi na bezinteresowną miłość do kobiet. Pieniądze, ciężkie pieniądze, też oczywiście się liczą, lecz intymne obcowanie z płcią piękną działa na ich wyostrzone zmysły jak narkotyki. Spasiony, chcący zgubić dziesięć kilogramów mężczyzna – precz! Nie ma terminu! Męskie wola, podgardła, obwisłe policzki, fałdy pod pachami napawają ich obrzydzeniem. Co innego niewiasty. Z reguły przecież przychodzą te, które są piękne i pragną być jeszcze piękniejsze. Tak właśnie było w opisywanym przez nas przypadku.

Z początkiem września w gabinecie Romana W., przystojnego, nie najmłodszego już estetyka, z bujną czupryną i niewidocznym mostkiem na przednich zębach, pojawiła się młoda, seksowna dziewczyna.

– W czym mógłbym miłej pani pomóc? – zapytał doktor Roman, czyniąc zapraszający gest, aby usiadła.

Zrobiła to w sposób wdzięczny i odparła:

– Chciałabym podciągnąć sobie troszeczkę cycki.

Lekarz poczuł w spodniach pożar.

– W tej sukience wyglądają znakomicie.

– Ale są chyba zbyt obfite i ciężkie, a mój narzeczony... wie pan, jacy potrafią być mężczyźni.

– Ano wiem, niestety – przytaknął skwapliwie lekarz i wskazując parawan, polecił delikatnie: – Proszę się rozebrać do pasa, abym mógł je obejrzeć.

Posłuchała i stanęła przed nim smagła, obnażona, ze sterczącymi sutkami.

Zaczął je fachowo obmacywać i błogosławić opatrzność za wybór zawodu.

– Może faktycznie przydałby się maleńki retusz – zdiagnozował.

– No widzi pan, sam pan widzi, doktorze.

– Ale wie pani, co jest najważniejsze? – W dalszym ciągu mięchał bujne, wspaniałe piersi, po czym skierował ręce pod pachy.

– Co, panie doktorze? Och, proszę mnie tak nie łaskotać... nie łaskotać, bo się zsikam...

– Że nie wyczuwam żadnych guziczków.

– To znaczy?

– Jest pani zdrowa, a rak piersi atakuje dzisiaj młodsze nawet od pani kobiety. Należy zatem badać się raz na kwartał.

– U pana?

– Choćby u mnie, bo ja, miła pani, jestem nie tylko chirurgiem, lecz również ginekologiem i znam się na tych sprawach jak nikt.

– To świetnie – ucieszyła się dziewczyna. – Będę przychodzić regularnie. Tutaj?

– Tak, zawsze tutaj. Dam pani swoją wizytówkę, aby w razie jakichkolwiek kłopotów mogła pani wcześniej zadzwonić. A tak, nawiasem mówiąc, badał panią jakiś lekarz tam... niżej?

– W pupie?

- Tak, w pupie.
- Nigdy nikt mnie nie badał.
- Więc przed zabiegiem powinniśmy to zrobić.
- Kiedy?
- Możemy i teraz.
- Nie chciałabym pana aż tak bardzo fatygować.
- Żadna fatyga. To mój lekarski obowiązek. - Znowu wytwornym gestem wskazał jej wąskie, operacyjne łóżko z czyścusińskim prześcieradłem na zielonej ceracie.

Położyła się bez najmniejszego zażenowania, bo w końcu to godny zaufania lekarz. Zdjęła majtki, podciągnęła sukienkę, rozchyliła zgrabne, opalone nogi i zapytała z figlarną nutką:

- Tak wystarczy?
- W zupełności.

Badał ją długo i sumiennie. Nie tylko w środku, lecz również pachwiny i brzuszek. Pożar płonął w najlepsze, opanował się jednak, co nagle to po diable, na pierwszy raz wystarczy.

- Gratuluję. Jest pani wręcz nieprzyzwoicie zdrowa - zawyrokował.

- Serdeczne dzięki, kamień spadł mi z serca, panie doktorze. Nigdy nie byłam tak badana, bo się wstydziłam.

- Nie ma czego.

- A ten zabieg z ... piersiami? Kiedy go pan przeprowadzi, doktorze?

- Choćby jutro wieczorem.

- I kto przy tym będzie?

- W trakcie trudniejszych operacji asystuje mi zwykle anestezjolog i pielęgniarka...

- O Boże!

- Spokojnie.

- Wolałabym, żeby nikt o tym nie wiedział.

- Ja też bym wolał. Wie pani: Izba Lekarska, Urząd Skarbowy... Sądzę, że w pani nader łagodnym i łatwym zabiegu asysta nie będzie nam potrzebna.

- Tylko we dwoje?

- We dwoje. - Nie miał przecież zamiaru operować.

- Ale - przestraszyła się nagle - tak na żywca? Przecież to boli.
- Dam pani zastrzyk znieczulający - uspokajał, gładząc sterczące suteczki. - Nie zboli.
- Więc do jutra? - Ubrała się już.
- Do jutra.
- O dziesiątej wieczorem?
- Dokładnie.
- Niech Bóg pana błogosławi, doktorze!

21

Wbrew paktowi, który zawarł z Krystyną, Artur Nawrot pokazał drugi, nadesłany spoza grobu list Damiana krytykowi literackiemu w Warszawie. Tym razem wybitny intelektualista, porównawszy charaktery pisma obu listów i tego trzeciego, który aktor otrzymał wcześniej, podrapał się w głowę.

– Nie jestem zawodowym grafologiem, ale nie ulega wątpliwości, że napisała to wszystko ta sama ręka. – I strzelił raptem: – Jesteś absolutnie pewien, że Damian Ross nie żyje?

– Absolutnie i bezwarunkowo.

– Na jakiej podstawie?

– Widziałem go w kaplicy cmentarnej, na katafalku, w trumnie.

– A widziałeś także, jak go zakopują w dole?

– Nie, tego nie widziałem – przyznał aktor.

– Czemu?

– Musiałem pilnie wracać do domu.

– No to masz problem.

– Jaki?

– Trumnę zawsze można podmienić, a nieboszczyka zmienić.

– Widziałem wyraźnie Damiana Rossa – upierał się Artur.

– Albo kogoś, kto został na Damiana Rossa ucharakteryzowany.

– Idź do diabła!

– Ty też – odparował sarkastycznie krytyk. – W końcu to twoje zmartwienie, nie moje. Ale jedno ci powiem, będziesz barował się z tym do końca życia.

22

Był to wtorek, szóstego września dwa tysiące szesnastego roku. Dochodziła dziesiąta, czyli, jak to się dzisiaj coraz częściej mówi: dwudziesta druga. Roman W., przystojny chirurg estetyczny, dopalił w parterowym oknie papierosa i zamknął je, bo ktoś pukał do drzwi.

– To pani? – zapytał ochoczo.

– Ja – potwierdził zbyt wesoło, jak na kogoś, kto za chwilę ma się poddać operacji, głos.

– Służę uprzejmie! – Zamaszyście otworzył drzwi na oścież, lecz wtedy dziewczyna odeszła, do gabinetu zaś wtarabanił się bez ceremonii wysoki, szczupły facet w okularach i króciutkim, prostym uderzeniem w zęby powalił go na podłogę.

– Cicha sza – napomniał. – Jak chcesz pożyczyć kilka minut dłużej: cicho sza.

Chirurg schował wytrącony mostek do kieszeni i wyseplenił tak ohydnie, że sam do siebie poczuł wstręt:

– O so chozi?

– O gwałt – poinformował bez ogródek napastnik.

– Ja nie chwąsiłem, sama chsiała.

Otrzymał drugie uderzenie, w nos, i zaczął krwawić jak swego czasu Aldona, gdy wymuszał na niej pocałunki.

– Naprawdę myślałeś, że ujdzie ci to na sucho?...

– Nic nie myślałem.

– Bo policja jest nieruchawa albo celowo chce być nieruchawa w przypadku takich łajdaków jak ty? – ciągnął beznamiętnie nieproszony gość.

– Mochę sowisie sapłasić.

– Co ty powiesz? Więc z ofiary chcesz teraz zrobić prostytutkę?

– Slytuj sie paaan.

- Ano jasne, że się zlituję. Nie będę cię torturować: nie wydlubię ci oczu, nie wyrwę plugawego języka. Ale co sądzisz o garrocie? Jako wykształcony lekarz musiałeś o czymś takim słyszeć. Hiszpanie często piszą to: garetta.

- Pan raszy szartować.

- Żarty mnie się dzisiaj nie trzymają. Słuchaj, śmieciu. Anna Maria Wesołowska wlepiłaby ci za twój plugawy czyn dwanaście lat i ani minuty więcej, my jednak nie jesteśmy tak łagodni: czeka cię śmierć, nieodwołalna, nieustępliwa, nieprześlądana śmierć! Musisz mieć świadomość, że zostały ci ostatnie sekundy życia i że nie ma od tego żadnego odwołania. Skazaniec mógł liczyć kiedyś, nawet w ostatniej chwili, na prezydenckie prawo łaski. Ty, łotrze, nie możesz liczyć na nic.

- Raunku, raunku - wychrypiał nieszczęśnik zsiniałymi wargami, z twarzą o zakrwawionym nosie i bladych jak wapno policzkach.

- Budynek jest pusty, krzycz sobie, ile chcesz. Z Milionowej i elektrowni Scheiblera też nikt nie przyleci. Zresztą, tak na wszelki wypadek... - Wyjął z kieszeni linkę i owinął ją wokół szyi chirurga. - Poczuj to, co czują skazani na czapę zbrodniarze w Stanach Zjednoczonych. Tyle że tam podłączone są wszystkie telefony, a nuż któryś zadrynda?... Tu żaden nie zadrynda. Młodej dziewczynie, którą tak szczegółowo zbadałeś, chciałeś podciągnąć troszeczkę cycuszki. Z młodą dziewczyną miałeś się spotkać, a za chwilę spotkasz się z kosmatym diabłem. Nie masz nawet prawa do ostatniego posiłku, do ostatniego papierosa, do ostatniego słowa. Byłeś hańbą na pięknych kartach medycyny. Zatem: żegnaj, kolego.

Chwycił drugi koniec linki i zacisnął. Chirurgowi oczy wyszły na wierzch, twarz obrzmiała i poczerwieniała od ostatniego uderzenia krwi, a z ust wysunął się język.

Młody człowiek, dokonujący egzekucji w rękawiczkach, rozejrzał się po gabinecie. Żadnych kamer i mikrofonów nie było. Nie zdjął linki z szyi chirurga. Adidasy o gładkich podeszwach nie zostawiły po sobie śladów. Wyszedł przez okno cichy i syty

niczym kot, który rozprawił się z parszywym szczurem, i zginął w ciemnościach, mrużąc do siebie:

– Masz szczęście, że nie musiałaś tego oglądać, mamó.

23

Tym razem nie było poczty polecanej. Tym razem znowu ktoś podrzucił list pod drzwi. Krystyna podniosła go, czując niemoc w omdlałych nogach, i wręczyła w bibliotece Arturowi.

– Znowu?

– Znowu.

– Ciekawe, kto teraz pójdzie na rozwałkę? – wysyczał aktor, bardziej wściekły niż przerażony.

– Albo już poszedł.

– Wciąż sądzisz, że nie powinienem tego pokazać policji?

– Jak chcesz wmieszać nas w to bagno, pokaż.

– Ale może najpierw przeczytam?

– No to czytaj!

List miał ten sam nagłówek, co poprzednie:

Cześć, Artur!

Przyjacielu od wszystkich siedmiu boleści. Nie wiem, czy wiadomość o tym ukaże się w gazetach już dzisiaj, w środę, czy dopiero jutro, w czwartek. Tak czy owak we wtorek wieczorem ukarany został czwarty po Tobie gwałciciel, ten pozał się Boże chirurg kosmetyczny Roman W.

Sorry!

Jeśli opinia publiczna stwierdzi, że kara była zbyt surowa, nieadekwatna do przewiny, to trzeba ci wiedzieć, że nasze sumienie i nasz kodeks moralny nie ucierpią z tego powodu.

Serdeczne pozdrowienia dla Małżonki. Jej koleżanki, ta, co poprosiła Cię do tańca, i ta, co wrzuciła Aldonie do szklanki pigułkę, zostały już stosownie ukarane.

Co do Ciebie: unikaj zatłoczonych pociągów, tramwajów i autobusów. Na plan filmowy w Warszawie można także pojechać rowerem.

Damian Ross

- Nie odpuszcza. - Zadzwoń zębami Krystyna, sięgając po komórkę, aby skontaktować się z przyjaciółkami.
- I nie odpuści - orzekł ponuro Artur.

24

Zbrodnia popełniona bestialsko na Romanie W., chirurgu plastycznym, odbiła się głośnym echem nie tylko w Łodzi, ale i w całym kraju. Ku satysfakcji Krystyny i Artura Nawrotów połączono ją wreszcie z dwiema poprzednimi zbrodniami, gdyż śmierć Bartosza W. (brak prochu na jego rękach wykluczał samobójstwo) też nią była.

– Może teraz policja zajmie się poważnie sprawą i bez naszej pomocy odkryje zabójcę.

– A widzisz? – cieszyła się Krystyna. – Nikt nie dowie się nawet o tych cholernych listach.

– Ten cholerny, przeklęty egzekutor sam może przyznać, jak go złapią, że je pisał.

– Ale ty nie musisz przyznać, że je dostałeś.

– Fakt! Lecz jeden był polecony.

– Podarłeś go, nie czytając i wrzuciłeś do kosza.

Policja jednak nie działała wcale zbyt energicznie. Trudno było przyjąć, że mają do czynienia z seryjnym mordercą, bowiem każdą z trzech zbrodni popełniono w inny sposób: Januszek – nóż, Szybka Noga – pistolet, Chirurg estetyczny – linka.

W każdym razie gwałt popełniony u Magielińskich na jakiejś pięknej, pochodzącej z Polski Amerykance był już tajemnicą poliszynela. W Łodzi szeptano o nim po kątach, na salonach Warszawy natomiast mówiono głośno i otwarcie. Najwięcej szumu robił wokół niego znany krytyk literacki, a trzeba wiedzieć, że nie ma bardziej złośliwego i rozplotkowanego środowiska w kraju niż stołeczny, artystyczny świat.

– On żyje! Damian Ross żyje! – wrzeszczał na cały regulator w kawiarni „Czytelnika” ów wybitny literaturoznawca.

Zasypywano go pytaniami:

– Skąd wiesz?

– Pogadajcie z Arturem Nawrotem.

- A co Nawrot ma z tym wspólnego?
- Po każdym z tych zabójstw, popełnionych na gwałcicielach Amerykanki, dostaje od niego listy.
- I gdzie on jest, ten pisarz, twoim zdaniem?
- Ukrywa się gdzieś w Polsce albo za granicą z przekonaniem, że afera przywróci mu sławę i znowu wszyscy zaczną go czytać.
- Podobno chorował ciężko na serce.
- Ale nie tak, żeby od razu umierać. Zresztą... na własne oczy widziałem te listy!

Warszawa zawsze słynęła z wścibskich, znakomitych reporterów, „śledczych” jak to dzisiaj określają media. Taki reporter, dysponujący doskonałym stylem, jest ponadto bardziej dociekliwy i uparty niż prywatny detektyw czy policjant, a to dlatego, że oni wykonują tylko swój zawód, on zaś, jak artysta, tworzy.

Jeden z takich reporterów zdybał Artura w studiu na Woronicza i zapytał, stary cwaniak, słodko:

- Jak się panu pracuje w tym serialu?
 - Wspaniale! – odparł z entuzjazmem aktor, łasy na rozgłos, szczególnie w ilustrowanych tygodnikach.
 - Co będzie tematem następnego odcinka?
 - Tego powiedzieć panu nie mogę, ale zawołam reżysera.
- Reporter strzelił lekceważąco palcami.
- Panie Arturze, a co mnie obchodzi reżyser? Z panem chcę rozmawiać, nie z jakimś anonimem.

Nawrot z rozkoszą łyknął pochlebstwo.

- Więc słucham, panie redaktorze.
- Jest pan żonaty?
- Tak.
- Szczęśliwie?
- Można powiedzieć. – Tu zmrużył oko sygnalizując, że do świętych nie należy.
- Ma pan dzieci?
- Tej łaski Bożej jeszcze nie zaznałem, choć wciąż żywię nadzieję – odparł Artur z goryczą.

– Niespełna trzy miesiące temu zmarł bliski pana przyjaciel, znany pisarz Damian Ross.

Nawrot zjeżył się momentalnie, co reporter chyba zauważył.

– Niestety.

– Jak pan to odczuł?

– Boleśnie. Był mi nieomal bratem i mentorem w kwestiach artystycznych. Grałem w filmowych adaptacjach dwóch jego powieści.

– Krążą słuchy, że kiedy tuż przed śmiercią leżał w szpitalu, uwiódł mu pan ukochaną kobietę.

– Bzdury! Wierutne kłamstwo! – oburzył się autentycznie aktor, bo pamiętał, że on w równej mierze uwodził Aldonę, co ona jego. – Opiekowałem się nią na jego prośbę.

– A co z tym gwałtem i tymi listami z za grobu?

– Nie było żadnych listów!

– Igor Narwy, ten krytyk, rozpowiada po całej Warszawie, że widział je na własne oczy.

– Pokazałem mu kilkanaście pocztówek, które Damian przysłał mi, kiedy przebywał za granicą, oraz list, bardzo pochlebny zresztą, który napisał do mnie po premierze filmu wedle jego książki i z moim udziałem,

– Po co mu to pan pokazał?

– Być może nie grzeszę talentem literackim, lecz z uwagi na długoletnią przyjaźń postanowiłem napisać o Damianie wspomnieniową książkę i radziłem się tego paskudnego pleciucha Narwego, czy wypada umieścić w niej fotokopie tych kart i tego listu.

Reporter był pełen uznania. Wiedział, że aktor łże jak pies, lecz robił to znakomicie.

– Wie pan, co jeszcze wyrzaskuje ten Narwy, faktycznie dość odrażający typ?

– Nie wiem, ale chętnie się dowiem – powiedział ze zmartwiałym sercem Nawrot.

– Że zmobilizuje wybitnych pisarzy, którzy wraz z nim wystosują do sądu i prokuratury petycję z żądaniem ekshumacji.

Artur odzyskał równowagę ducha.

- Zwariował!
- Jest pan pewien?
- Bez gadania!
- Twierdzi, że zwłoki spoczywające na cmentarzu pod nazwiskiem Damiana Rossa to całkiem inny, ucharakteryzowany na pisarza człowiek.

- Jak go pan spotka, niech mu pan powie, że jak dalej będzie mieszał i rozrabiał, nie on, tylko ja złożę do sądu i prokuratury wnioski, aby go natychmiast aresztować. Widziałem Damiana tuż przed pochówkiem w trumnie.

- Lecz nie widział pan ponoć, jak go zakopali?

- Kilkaset osób to widziało, co wystarczy!

Silny charakter Artura Nawrota i tym razem przezwyciężył kryzys. Przestrzegasz – myślał – aby unikać zatłoczonych pociągów, i tak zrobię. Z roweru też nie skorzystam. Tramwajami i autobusami, przyjacielu, nie jeżdżę już od lat.

Wracał do Łodzi tą półautostradą, która w pewnym momencie odbija w prawo, ku Rawie Mazowieckiej. Jechał z przepisową prędkością, trzymając się prawej strony. Ekshumacja? Niech sobie robią ekshumację! Te otrzymane niby od Damiana listy dawno już zniszczył. Szponami trzeciej ręki też się nie przejmował.

Okrzyknął ślimak i wjechał na prostą, odcinek bez kamer i radarów. I wtedy nieżyjący pisarz zadał mu ostatni cios.

25

Z naprzeciwka zbliżał się ku niemu ospale żółty, pancerny hummer, rzadko spotykany na polskich drogach.

- Co on wyprawia? - mruknął do siebie Artur, widząc, że kierowca torpedy zjeżdża z prawego pasa na jego pas. Zła myśl przemknęła mu przez głowę.

Leniwy hummer nabrał raptem wigoru. Przyspieszył, po czym runął na niego jak piorun. Artur uciekł na sąsiedni pas, lecz hummer zrobił to samo.

„Nie ma wątpliwości, że poluje na mnie!”

Było to ostatnie już spostrzeżenie w życiu Artura Nawrota. Szarpnął kierownicą, aby uniknąć zderzenia, rozbił się o betonowy słup, trzykrotnie przeokoziółkował, tłukąc głową o ramę szyby i znieruchomiał na łące.

Kierowca hummera, w czarnych okularach, które zdjął, i czarnych rękawiczkach zachował się dziwnie. Opuścił po wysokim stopniu szoferkę z miną wielce zatroskaną i ruszył spiesznie ku rozbitkowi, jakby czym prędzej chciał udzielić mu pomocy. Wszakże widząc po drodze zaplątany w trawie obły kamień, podniósł go i zacisnął w dłoni.

Podszedł do leżącej na boku jak znużona kobyła alfy romeo i widząc roztrzaskaną o ramę okna czaszkę aktora, odrzucił kamień, zdjął rękawiczki i z całkowitą perfidią, roztrzęsionym z rozpaczy głosem, wezwał pogotowie i policję.

Obydwie te szlachetne ekipy zjawiły się błyskawicznie.

- Co się stało? - zapytał przejęty do żywego starszy aspirant.

- Ten pan, ten pan - dukał z wprawą urodzonego łgarza młody człowiek - jechał jakoś dziwnie, zygzakami i nagle rozbił się o ten słup i wywrócił. Żyje, panie władzo? Żyje?!

Aspirant spojrzał na lekarza, a lekarz na kierowcę hummera.

- Przykro mi.

- Może nawalił system sterowniczy?

- Nie sędzę. - Aspirant bezskutecznie próbował otworzyć wgniezione drzwi. - Waldek, przynieś no łom!

Waldek, również aspirant, wykonał polecenie i kolega wepchnął żelastwo w klamkę pojazdu. Szarpnął i drzwi puściły. Ciało Nawrota wywleczono z alfy, ułożono na noszach i przykryto kocem.

- Pan wie, kto to jest? - pyknął ten pierwszy, ważniejszy aspirant.

- Skąd mam wiedzieć? - zdziwił się po mistrzowsku młody.

- Telewizji pan nie ogląda?

- Czasami.

- Chciałbym zobaczyć pańskie prawo jazdy i dowód.

- Służę uprzejmie. - Podał mu komplet dokumentów z ubezpieczeniem.

- To pański wóz?

- Pożyczony.

- Od kogo?

- Od przyjaciela. - Nie czekając, wymienił nazwisko i adres.

- A telefon?

Przeczyfrował komórkę.

Aspirant wybrał numer i jakiś miły, męski głos potwierdził, iż rzeczywiście „użyczył” hummera koledze, aby mógł pojechać do Warszawy i wziąć udział w uroczystościach zaślubin swojej siostry ciotecznej, Małgorzaty.

- Proszę jechać na ten ślub - bąknął aspirany. - Jednym pogrzeb, drugim wesele.

- Fakt - przyznał młody i fałszywa łza spłynęła mu policzkiem. - Jednym do tańca, drugim do różańca. I do pokuty.

Pogrzeb Artura Nawrota na Dołach zgromadził ponad półtora tysiąca osób. Przyszli pożegnać aktora ci, co lubili go oglądać w rolach szlachetnych komisarzy na ekranie, oraz ci, których w ten pogodny, wrześnieowy dzień przygnała na cmentarz ciekawość.

W alei zasłużonych nie było już miejsca, ale zwolniła się kwatera obok, więc Nawrot został pochowany blisko swego przyjaciela, pisarza.

Obleczona w czerń żona zmarłego w tragicznym wypadku artysty ambitnie próbowała zmusić się do płaczu i kiedy grabarze opuścili już na pasach trumnę, wykrzyknęła głosem fałszywym jak rozpacz polityka:

– Och, Artur!

I cisnęła na trumnę garść ziemi, tonąc w ramionach rodziców, którzy przyjechali z Torunia.

– Głowa do góry, córeczko – pocieszał ojciec.

– Znajdziesz sobie jeszcze kogoś w życiu – szeptała praktycznie matka.

Ceremonii przyglądało się bacznie, dociekliwie kilku mężczyzn. Był wśród nich ów poważny, powściągliwy komendant komisariatu, którego odwiedził tuż przed śmiercią Damian Ross. Pisarz próbował wymóc na nim przyrzeczenie i komendant właśnie je spełniał. Sprawę zabójstw popełnionych na gwałcicielach Aldony przekazał swojemu zastępcy, który również, bardzo chętnie zresztą, występował w jego imieniu na konferencjach prasowych.

Tuż za plecami komendanta tkwił z zaciętą miną Wituś, łysy, masywny egzekutor długów, który wrócił do swego zawodu i w dalszym ciągu entuzjazmował się walką agresywnych psów.

Skromnie, na uboczu, stała, trzymając się za ręce, młoda para: Kasia i dobiegający trzydziestki kawaler w ciemnych okularach.

Wymieniali cicho między sobą znaczące słowa.

- Nie szkoda ci go?
- Ani trochę.
- Całe życie miał jeszcze przed sobą.
- My też.

Szalbierczo zrozpaczona Krystyna usłyszała za plecami subtelną propozycję:

- Chciałbym z panią troszeczkę porozmawiać.

Odwróciła głowę. Miała przed sobą lisie oczy i przystojną, nieznaną twarz.

- Kim pan jest?
- Reporterem z Warszawy.
- Czego pan chce?
- Chodzi o te listy z za grobu od Damiana Rossa.
- Nie było żadnych listów - wysyczała nienawistnie. - Zjeżdżaj pan stąd i żebym pana więcej nie widziała, bo zawołam policję!

Mnożący pytania reportaż ukazał się w warszawskim tygodniku tak czy owak. Damian Ross został zelżony. Damian Ross został zdradzony!

Trzecia ręka Damiana Rossa wymierzyła sprawiedliwość!

Reporter przedstawił dokładnie całe bujne życie pisarza, od kołyski po grób. Będąc młodzieńcem, zakochał się na zabój w starszej o pięć lat kobiecie, mężatce, z którą, być może, miał nieślubne dziecko. Namiętna miłość między tą parą trwała całymi latami, nawet wówczas, kiedy Aldona J. wyszła ponownie za mąż i opuściła kraj. W końcu czerwca przyleciała do niego z Grecji.

Śmiertelnie chory, leżąc w szpitalu, powierzył opiekę nad nią swojemu przyjacielowi, aktorowi, który wracając z Warszawy do Łodzi, zginął tragicznie w wypadku drogowym i kilka dni temu został pochowany na łódzkim cmentarzu.

Aktor uwiódł Aldonę. Miał z nią krótki romans. Byli na nielegalnej walce psów, a potem na przyjęciu u państwa M., gdzie Aldonie wrzucono do szklanki pigułkę gwałtu. Półprzytomną i bezbronną wykorzystano seksualnie czterech „dżentelmenów” na oczach licznej widowni. Wszyscy czterej, Janusz M., Bartosz W., Roman W. i Artur N. pożegnali się z życiem. Brutalnie mówiąc: trzech pierwsi zostali w tajemniczych okolicznościach zamordowani.

Podobnie jak Janusz Głowacki, Damian Ross nie korzystał z komputera; posługiwał się wyłącznie najpierw wiecznym piórem, a potem długopisem, co było utrapieniem jego wydawców.

Wedle znanego krytyka literackiego, Igora Narwego, aktor Artur N. otrzymywał po śmierci pisarza listy zza grobu. Narwy przysięga, że widział je na własne oczy i choć nie było ekspertyzy grafologicznej, jest w stu procentach przekonany, że zostały

napisane ręką Rossa, który z góry przepowiadał w nich wszystkie trzy egzekucje.

– Ross żyje! Jego miejsce w grobie na cmentarzu zajmuje ktoś inny.

Domagał się nawet, aby to udowodnić, ekshumacji. Ale po listach nie zostało ani śladu i Narwy odstąpił od swoich makabrycznych żądań.

Wdowa po aktorze Arturze N., Krystyna, nie chciała z reporterem rozmawiać, odsyłając go do wszystkich diabłów i strasząc policją: – Żadnych listów nie było i nie będzie!

Słodkie życie Krystyny Nawrot płynęło odtąd spokojnym nurtem. Było jej trochę przykro, że stronią od niej przyjaciółki, szczególnie ta, co feralnego wieczoru zaciągnęła Artura na parkiet, i ta, co wrzuciła Aldonie do szklanki pigułkę. Pierwszej zdemolowano mieszkanie, drugiej, w biały dzień, na Piotrkowskiej, pewien kawaler, wysiadłszy z eleganckiego samochodu, rozdarł od dekoltu aż po sam dół wizytową sukienkę. Otrzymał gromkie oklaski, bo była bez majtek. Skłonił się i odjechał z piskiem opon, dama zaś, wrzeszcząc w niebogłosy, uciekła do bramy, otulając wygolone łono futrzaną narzutką.

Wdowa, po czterdziestce już, lecz wciąż ponętna i przystojna, stanowiła teraz w Łodzi znakomitą partię. Wykupione na własność mieszkanie było dodatkowym magnesem. Szurał do niej lewicowy premier i były, zamożny piłkarz ŁKS-u. Instruktora jazdy, który jęczał pod drzwiami, traktowała per noga, w dalszym ciągu jednak zachwycali ją młodzi chłopcy.

Dziwiła się, że jeden z nich, szczupły, wysoki młodzieniec w okularach, obserwuje ją często, ale nie podchodzi, choć dawała mu wyraźne sygnały. Będąc blisko, można powiedzieć: bardzo blisko z kumplem nieżyjącego Bartka Szybkiej Nogi, jednym z tych dwóch, co trzymali Artura, kiedy gwałcono Aldonę, zapytała go, co to za typ.

Ochroniarz, były policjant, rozejrzał się i rozszyfrował faceta. To jakiś gość, który urodził się w Łodzi, ale mieszka od lat na stałe w Gorzowie Wielkopolskim. Krążą pogłoski, że był w jakimś stopniu spokrewniony czy też spowinowacony z Damianem Rossem i że od pewnego czasu przepisywał z rękopisów jego książki. To on właśnie jechał pożyczonym samochodem do Warszawy, kiedy wracał z niej Artur i roztrzaskał się o słup. Był przesłuchiwany przez policję, lecz na czas zabójstw popełnionych na Januszku, Bartku i chirurgu ma żelazne alibi. Dużo podróżuje,

bo nie lubi śniegu i mrozu. Teraz na przykład, tuż przed Bożym Narodzeniem, przebywa w gorącej, egipskiej Hurgadzie z wnuczką emeryta, u którego wynajmuje mieszkanie.

– Też nie lubię zimy – powiedziała Krystyna.

– Jak chcesz, możemy do Hurgady polecieć! – zaoferował swoje usługi ochroniarz. – Znam biuro podróży, jeden telefon wystarczy. Cztery godziny i jesteśmy w raj.

– Może innym razem – zachichotała, czując na piersi ciepłą dłoń.

– A to czemu?

– Przyrzekłam rodzicom, że spędzę z nimi święta w Toruniu.

Czy ktoś lubi zimę, czy nie lubi, musi przyznać, że oczekiwanie na Wigilię i Nowy Rok jest okresem czarownym, cudownym, uwielbianym na całotkim świecie. Bóg jest blisko, Przenajświętsza Maria Panna – łaskawa, zaś Chrystus Pan – na wyciągnięcie ręki.

Dzieci są grzeczne, bo wierzą w Świętego Mikołaja, zwaśnione obozy polityczne zakopują topór wojenny. Kibole piłkarscy palą fajkę pokoju, znienawidzony sąsiad stawia przed sąsiadem pół litra. Poróżnione małżeństwa przed rozwodem idą do łóżka ze słowami: dajmy sobie ostatnią szansę, zaś trapieni wątpliwościami ateści drapią się w głowę.

Internet, telefon i komputer wyeliminowały słowo pisane, ale w tym akurat uświęconym czasie krążą po świecie karty z życzeniami „Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku!”.

Krystyna Nawrot mnóstwo otrzymała takich kart. Jedna przyszła w zaadresowanej drukiem kopercie, z łódzkim stemplem i z datą: 21.12.2016.

Otworzyła, przeczytała, omdlała i padła jak długa na łóżko. Przeklęty, znany charakter pisma informował: „To jeszcze nie koniec, nie mam dobrych wiadomości. Teraz kolej na Ciebie, koleżanko”.

Posłowie

W książce, jak to u mnie, występuje wiele autentycznych nazwisk i zdarzeń. Listy zza grobu też nie wzięły się z powietrza, gdyż onegdaj coś takiego miało miejsce w rzeczywistości. Sceny szpitalne zostały zmyślane, podobnie jak postać grubiańskiego lekarza.

Antoni Ptak oraz jego żona Agnieszka i córka Antonia ciepło gościli mnie przez dwa tygodnie w zamku nad Loarą, lecz materiał do biografii Szefa udało mi się zebrać jedynie do dwutysięcznego roku. Okres ten opisałem rzetelnie i barwnie, po czym nasze kontakty się urwały.

Mam nadzieję, że nie obraziłem nikogo w tej powieści, gdyby ktoś jednak poczuł się dotknięty – poprawię!

A.M.



Andrzej Makowiecki urodził się w sierpniu 1938 r. w Warszawie. W wieku 17 lat wraz z kwartetem Karambol otworzył jeden z pierwszych klubów jazzowych w Polsce zwany „Tawerną” albo „Dziurą”, w którym bywali m.in. Frykowski, Wajda, Skolimowski i Polański. Tam Makowiecki grał na trąbce ze słynnym zespołem Tiger Rag. Ukończył Państwową Szkołę

Muzyczną w Łodzi, na Uniwersytecie Łódzkim uzyskał tytuł magistra filologii polskiej. Podczas studiów grywał na trąbce i drukował felietony muzyczne w tygodniku „Odgłosy”.

Pierwszą książkę Boss (1964) napisał wspólnie z Andrzejem Brychtem. Samodzielnym debiutem literackim Makowieckiego było opowiadanie *Tryl* wydrukowane w tygodniku „Kultura” w 1968 r. W 1970 r. opublikował entuzjastycznie przyjęty tom reportaży i opowiadań *Przepis na wymianę twarzy*. Wkrótce dołączył do zespołu redakcyjnego „Polityki”. W 1972 r. została wydana jego powieść *Co dzień bliżej nieba*, na podstawie której powstał film. Jest autorem wielu powieści: *Powrót Wabiszczura* (1977), sfilmowany, z muzyką Czesława Niemena, *Kwadrans śpiącej królowny* (1979), *Noc saksofonów* (1984), *Rapier Napoleona* (1986), *Pięćdziesiąt melonów* (1990, wydanie okaleczone – bez pięciu kluczowych rozdziałów), *Dubler sobowtóra* (1992), *Krucjata Nikodema Dyzmy* (1993).

W latach 1979–1980 był stypendystą rządu hiszpańskiego – napisał wtedy powieść *Nie ma pociągów do Barcelony*, a w 1982 r. *Nerwy, radość, zwątpienie, zwycięstwo* – relację z piłkarskich mistrzostw świata w Hiszpanii. W 1991 r. jego reportaże z podróży po Wenezueli ukazywały się w odcinkach w „Expressie Ilustrowanym”. Rezultatem jego wyjazdu na igrzyska olimpijskie w Barcelonie w 1992 r. była książka *Szaleństwo w Barcelonie*. Od lat związany z Łodzią, wydał dwa tomy współczesnej powieści o tym mieście – *Ziemia nawrócona*, a także kilka innych łódzkich pozycji. Łączny nakład książek A. Makowieckiego przekracza milion egzemplarzy.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Część pierwsza. Wściekłe psy. Zdrada!

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

Część druga. Gwałt. Szepty. Zgony. Intrygi. Milczenie...

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

Posłowie

O autorze